

STEPHEN  
KING

JOYLAND

Prószyński i S-ka

*Donaldowi Westlake'owi*

# 1.♥

Miałem samochód, ale wtedy, jesienią 1973 roku, przeważnie chodziłem do Joylandu piechotą z Plażowego Pensjonatu pani Shoplaw w miasteczku Heaven's Bay. Jakoś czułem, że tak trzeba. A nawet że tylko tak można. Z początkiem września plaża Heaven's Beach prawie zupełnie opustoszała, co pasowało do mojego nastroju. To była najpiękniejsza jesień w moim życiu. Nawet po upływie czterdziestu lat mogę tak powiedzieć. I nigdy nie byłem bardziej nieszczęśliwy, tak też mogę powiedzieć. Ludzie uważają, że pierwsza miłość jest piękna i nigdy nie piękniejsza niż w momencie, kiedy ta pierwsza więź się zrywa. Słyszeliście pewnie z tysiąc piosenek country i popowych, które tego dowodzą; jakiemuś głupcowi złamano serce. A jednak to pierwsze złamane serce zawsze boli najbardziej, goi się najwolniej i pozostawia najbardziej widoczną bliznę. Co w tym pięknego?

## 2.♥

Przez cały wrzesień i w pierwszych dniach października niebo nad Karoliną Północną było bezchmurne, a powietrze ciepłe nawet o siódmej rano, kiedy wychodziłem z mojego mieszkania na piętrze obok schodów zewnętrznych. Jeśli wyruszałem w lekkiej kurtce, to jeszcze przed pokonaniem połowy z pięciu kilometrów dzielących miasto od parku rozrywki zdejmowałem ją i zawiązywałem w pasie.

Pierwszy przystanek robiłem w piekarni U Betty, gdzie kupowałem dwa jeszcze ciepłe croissanty. Mój cień kroczył ze mną po piasku, długi na co najmniej sześć metrów. Mewy, zwabione zapachem croissantów zawiniętych w woskowany papier, z nadzieją krążyły mi nad głową. A kiedy wracałem, zwykle koło piątej (choć bywało, że zostawałem dłużej – nic nie czekało na mnie w Heaven's Bay, miasteczku, które z końcem lata praktycznie zapadało w sen), mój cień szedł u mojego boku po wodzie. W porze przyływu drżał na jej tafli, jakby tańczył powolne hula.

Choć nie mogę być tego całkowicie pewien, myślę, że chłopiec, kobieta i ich pies byli tam od mojego pierwszego spaceru po tej plaży. Wzdłuż brzegu między miastem a radosnym, rozmigotanym kiczem Joylandu ciągnęły się domy letniskowe bogaczy. Większość po pierwszym weekendzie września była zamknięta na cztery spusty. Ale nie największy z nich, ten, który wyglądał jak zielony drewniany zamek. Chodnik z desek prowadził z jego szerokiego tylnego tarasu w miejsce, gdzie trawa nadmorska przechodziła w drobny biały piasek. Na końcu chodnika stał stół piknikowy osłonięty jaskrawozielonym parasolem plażowym. W jego cieniu siedział chłopiec na wózku inwalidzkim, w baseballówce na głowie, okryty od pasa w dół kocem nawet późnym popołudniem, kiedy temperatura przekraczała dwadzieścia stopni. Sądziłem, że miał może pięć lat, na pewno nie więcej niż siedem. Pies, Jack Russell terrier, zwykle leżał obok albo czuwał u jego stóp. Kobieta siedziała na ławie przy stole piknikowym i czasem czytała książkę, ale częściej tylko patrzyła na ocean. Była niezwykle piękna.

Idąc w jedną i w drugą stronę, zawsze machałem do nich ręką, a chłopiec machał do mnie. Kobieta nie, przynajmniej początkowo. Rok 1973 był rokiem embargo OPEC na ropę, rokiem, kiedy Richard Nixon ogłosił, że nie jest kanciarzem, rokiem śmierci Edwarda G. Robinsona i

Noela Cowarda. To był stracony rok Devina Jonesa. Byłem dwudziestojednoletnim prawiczkim z literackimi ambicjami. Miałem trzy pary dżinsów, cztery pary majtek, zdezelowanego forda (ze sprawnym radiem), sporadyczne myśli samobójcze i złamane serce.

Piękne, co?

### 3. ♥

Serce złamała mi Wendy Keegan i nie zasługiwała na mnie. Prawie całe życie mi zajęło, żeby dojść do takiego wniosku, ale znacie to stare powiedzenie: lepiej późno niż wcale. Ona była z Portsmouth w New Hampshire; ja z South Berwick w Maine. To znaczyło, że była praktycznie dziewczyną z sąsiedztwa. Zaczęliśmy „chodzić ze sobą” (tak się wtedy mówiło) na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie New Hampshire – poznaliśmy się na imprezie integracyjnej dla pierwszego roku. Prawda, że to piękne? Jak w niejednej piosence.

Przez dwa lata byliśmy nierozłączni, wszędzie chodziliśmy razem, wszystko robiliśmy razem. To znaczy wszystko oprócz „tego”. Oboje odpracowywaliśmy chesne na uczelni, ona w bibliotece, ja w Commons, uniwersyteckiej stołówce. Zaproponowano nam, żebyśmy zostali na naszych stanowiskach przez wakacje 1972 roku, i oczywiście się zgodziliśmy. Pieniądze nie były rewelacyjne, za to możliwość bycia razem bezcenna. Sądziłem, że tak samo będzie latem 1973 roku, dopóki Wendy nie oznajmiła, że jej koleżanka Renee załatwiła im obu pracę w sklepie Filene's w Bostonie.

– A co ze mną? – spytałem.

– Możesz przyjechać w odwiedziny – powiedziała. – Będę tęsknić jak szalona, ale szczerze mówiąc, Dev, trochę odpoczynku od siebie dobrze nam zrobi.

To sformułowanie bardzo często jest pierwszym gwoździem do trumny. Możliwe, że wyczytała tę myśl z mojej twarzy, bo wspięła się na palce i mnie pocałowała.

– Rozłąka umacnia uczucia. Poza tym, skoro będę miała własny kąpiel, może będziesz mógł u mnie nocować.

Mówiąc to, jednak nie patrzyła na mnie i ostatecznie ani razu u niej nie nocowałem. Za dużo współlokatorów, tłumaczyła. Za mało czasu. Oczywiście, tego rodzaju trudności można przezwyciężyć, ale jakoś nigdy tego nie zrobiliśmy, co powinno było mi coś powiedzieć; dziś, z perspektywy lat, mówi mi to wiele. Kilka razy byliśmy bardzo blisko „tego”, ale „to” nigdy się nie stało. Zawsze się wycofywała, a ja nie naciskałem. Boże drogi, byłem dżentelmenem. Później często się zastanawiałem, co by się zmieniło (na dobre lub na złe), gdybym nim nie był. Teraz

wiem tyle, że kobiety rzadko śpią z młodymi dżentelmenami. Wszyjcie to na makatce i powieście sobie w kuchni.

## 4. ♥

Perspektywa kolejnego lata spędzonego na myciu mopem podłóg stołówki i ładowaniu brudnych talerzy do starych zmywarek niezbyt mi się uśmiechała, zwłaszcza że Wendy miała być o sto kilometrów na południe, w blasku świateł Bostonu, ale to była stała praca, której potrzebowałem, a nie miałem dla niej żadnej alternatywy. Aż tu nagle, pod koniec lutego, taka alternatywa dosłownie przyjechała do mnie na taśmociągu z brudnymi naczyniami.

Ktoś czytał „Carolina Living”, kiedy wcinał danie dnia, hamburger Mexicali z frytkami Caramba. Potem zostawił pismo na tacy i w ten sposób trafiło do mnie razem z naczyniami. Miałem je wyrzucić do kosza, ale tego nie zrobiłem. Zawsze to coś do poczytania, w dodatku za darmo (musiałem odpracowywać chesne, przypominam). Wsadziłem pismo do tylnej kieszeni i zapomniałem o nim do czasu, kiedy wróciłem do swojego pokoju w akademiku. Tam wypadło na podłogę, otwarte na dziale ogłoszeń, w chwili gdy zmieniałem spodnie.

Ktokolwiek czytał ten magazyn, zakreślił kilka ofert pracy... choć koniec końców musiał uznać, że żadna mu – albo jej – do końca nie odpowiadała; w przeciwnym razie „Carolina Living” nie wylądowałoby na taśmociągu z brudnymi naczyniami. Mój wzrok przyciągnęło ogłoszenie u dołu strony, mimo że nie było zakreślone. Pierwsza, wytłuszczona linijka zachęcała: **PRACUJ BLISKO NIEBA!** Jaki student anglistyki po przeczytaniu czegoś takiego nie byłby zadowolony? I jaki zdolowany dwudziestojednolatek, dręczony narastającą obawą, że traci swoją dziewczynę, nie byłby skuszony wizją pracy w miejscu o nazwie Joyland? W Krainie Radości?

W ogłoszeniu podany był numer telefonu i pod wpływem impulsu zadzwoniłem tam. Tydzień później w mojej skrzynce pocztowej w akademiku wylądował formularz podania o pracę. W załączonym liście poinformowano mnie, że jeśli chcę się zatrudnić w wakacje na cały etat (a chciałem), będę musiał wykonywać różnego rodzaju prace, głównie porządkowe i konserwacyjne, ale nie tylko. Wymagane było ważne prawo jazdy, poza tym czekała mnie jeszcze rozmowa kwalifikacyjna. Mogłem to załatwić w najbliższe ferie wiosenne, zamiast jechać na tydzień do rodzinnego Maine. Tyle że planowałem choć część tego tygodnia spędzić z Wendy. Może nawet w końcu zrobilibyśmy „to”.



– Jedź na tę rozmowę – poradziła Wendy, kiedy jej o tym powiedziałem. Nawet się nie zawahała. – Zawsze to jakaś przygoda.

– Być z tobą to byłaby przygoda – powiedziałem.

– Będzie na to mnóstwo czasu w przyszłym roku. – Stała na palcach i mnie pocałowała (zawsze stawiała na palcach). Czy już wtedy spotykała się z tym drugim facetem? Chyba nie, ale założę się, że zwróciła na niego uwagę, bo chodził z nią na zajęcia z socjologii. Renee St. Claire niewątpliwie wiedziała, jak było, i pewnie powiedziała mi, gdybym zapytał – paplanie było specjalnością Renee, na spowiedzi ani chybi zameczała księdza – ale pewnych rzeczy człowiek nie chce wiedzieć. Na przykład dlaczego dziewczyna, którą kochałeś całym sercem, tobie uparcie odmawiała, ale z tym drugim poszła do łóżka praktycznie przy pierwszej okazji. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek w ogóle potrafi do końca wyleczyć się ze swojej pierwszej miłości; we mnie zadra tkwi do dziś. Gdzieś w głębi ducha wciąż się zastanawiam, co ze mną było nie tak. Czego mi brakowało. Jestem po sześćdziesiątce, mam siwe włosy i przeżyłem raka prostaty, ale wciąż chcę wiedzieć, dlaczego nie byłem wystarczająco dobry dla Wendy Keegan.

## 5.♥

Pojechałem pociągiem o nazwie The Southerner z Bostonu do Karoliny Północnej (przygoda żadna, ale tanio), a potem autobusem z Wilmington do Heaven's Bay. Rozmowę kwalifikacyjną prowadził Fred Dean, który był – między innymi – personalnym Joylandu. Po piętnastu minutach pytań i odpowiedzi oraz rzucie oka na moje prawo jazdy i wydaną przez Czerwony Krzyż licencję ratownika wręczył mi plastikową plakietkę na smyczy do zawieszenia na szyi. Widniało na niej słowo GOŚĆ, aktualna data i obrazek szeroko uśmiechniętego niebieskookiego owczarka niemieckiego, nieco podobnego do tego słynnego rysunkowego detektywa Scooby-Doo.

– Idź, pooglądaj, przejedź się na Carolina Spin – powiedział Dean. – Większość karuzeli jeszcze nie działa, ale ta tak. Powiedz Lane'owi, że się zgodziłem. To, co ci dałem, to przepustka na cały dzień, ale chcę, żebyś tu wrócił o... – Spojrzał na zegarek. – Dajmy na to o pierwszej. Wtedy powiesz mi, czy chcesz tę pracę. Mam jeszcze pięć wolnych miejsc, wszystkie to mniej więcej ta sama robota: Wesoły Pomocnik.

– Dziękuję panu.

Kiwnął głową z uśmiechem.

– Nie wiem, jak ci się tu spodoba, ale mnie Joyland w zupełności odpowiada. Jest może stary, może trochę się sypie, lecz to jeszcze dodaje mu uroku, tak przynajmniej sędzę. Przez pewien czas pracowałem w Disneyu; nie podobało mi się. Jest zbyt... sam nie wiem...

– Zbyt komercyjny? – podpowiedziałem.

– Właśnie. Zbyt komercyjny. Zbyt odpicowany i gładki. Dlatego kilka lat temu wróciłem do Joylandu. Nie żałuję. My działamy tu nieco bardziej spontanicznie, na wycucie... trochę jak dawne objazdowe lunaparki. Zobacz, co o tym sądzisz. I, co ważniejsze, jak się tu czujesz.

– Mogę najpierw o coś spytać?

– Oczywiście.

Dotknąłem palcem mojej przepustki.

– Co to za pies?

Uśmiechnął się szerzej.

– Wesoły Pies Howie, maskotka Joylandu. Bradley Easterbrook założył Joyland i pierwowzorem Howiego był jego pies. Zdechł dawno temu, ale i tak będziesz go często widywał, jeśli zdecydujesz się tu pracować w wakacje.

Widywałem go... i zarazem nie widywałem. Łatwa zagadka, ale wyjaśnienie będzie musiało trochę poczekać.

## 6.♥

Joyland był niezależnym parkiem rozrywki, nie tak wielkim jak Six Flags, a już na pewno nieporównanie mniejszym od Disney World, ale wystarczająco dużym, by robić wrażenie, zwłaszcza teraz, gdy Joyland Avenue, główna promenada, i Hound Dog Way, pasaż boczny, były prawie puste i wyglądały jak czteropasmowe autostrady. Słyszałem wycie pił mechanicznych i widziałem wielu robotników – największa ekipa roła się przy Thunderballu, jednej z dwóch kolejek górskich – ale klientów nie było, bo lunapark otwierano dopiero piętnastego maja. Mimo to działało kilka punktów gastronomicznych, żeby robotnicy mieli gdzie kupić lunch, a przed wysadzaną gwiazdami budą wróżki stała starsza pani, która przyglądała mi się podejrzliwie. Z jednym wyjątkiem, wszystko było pozamykane na cztery spusty.

Tym wyjątkiem był Carolina Spin. Miał pięćdziesiąt dwa metry wysokości (tego dowiedziałem się później) i bardzo powoli się obracał. Przed nim stał mocno umięśniony facet w spranych dżinsach, łysiejących zamszowych butach umazanych smarem i podkoszulku na ramiączkach. Jego kruczoczarne włosy przykryte były przekrzywionym melonikiem. Za uchem tkwił papieros bez filtra. Gość wyglądał jak jarmarczny naganiacz ze starego komiksu gazetowego. Obok niego na skrzynce po pomarańczach stał otwarty kuferek z narzędziami i duże przenośne radio. The Faces śpiewali *Stay With Me*. Facet trzymał ręce w tylnych kieszeniach, kiwał się w rytm muzyki i kołysał biodrami. Przyszła mi do głowy absurdalna, ale doskonale wyrazista myśl: Jak będę dorosły, chcę wyglądać tak jak on.

Wskazał przepustkę.

– Freddy Dean cię przysłał, co? Powiedział ci, że wszystko inne jest pozamykane, ale że możesz się przejechać na diabelskim młynie.

– Tak, proszę pana.

– Przejazdźka na Spinie to znak, że cię przyjął. Lubi, żeby jego wybrańcy zobaczyli wszystko z lotu ptaka. Weźmiesz tę robotę?

– Tak myślę.

Wyciągnął rękę.

– Jestem Lane Hardy. Witaj na pokładzie, synu.

Uścisnąłem jego dłoń.

– Devin Jones.

– Miło mi.

Ruszył w górę pochylni prowadzącej ku niespiesznie obracającej się karuzeli, chwycił długą dźwignię, która wyglądała jak drążek zmiany biegów, i lekko pociągnął ją do siebie. Karuzela powoli znieruchomiała i jeden z barwnie pomalowanych wagoników (na każdym był wizerunek Wesołego Psa Howiego) zakołysał się przy miejscu załadunku pasażerów.

– Wsiadaj, Jonesy. Wyślę cię w przestworza, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują.

Wgramoliłem się do wagonika i zamknąłem drzwiczki. Lane szarpnął nimi, żeby sprawdzić, czy się zatrzasnęły, opuścił poprzeczkę zabezpieczającą, po czym wrócił do swoich prymitywnych sterów.

– Gotów do startu, kapitanie?

– Tak sędzę.

– Siódme niebo czeka. – Mrugnął do mnie i pchnął dźwignię sterowniczą. Wielkie koło ruszyło i nagle zobaczyłem, że Lane patrzy na mnie z dołu. Starsza pani przy budzie wróżki też patrzyła. Zadarła głowę i osłaniała oczy dłonią. Pomachałem do niej. Ona do mnie nie.

Po chwili znalazłem się ponad wszystkim oprócz wymyślnych zakrętasów, spadków i wzniesień Thunderballa. Wzbijałem się w chłodne wczesnowiosenne powietrze i czułem się – głupie, ale prawdziwe – jakbym zostawiał wszystkie moje troski i zmartwienia tam, na dole.

Joyland nie był tematycznym parkiem rozrywki, dzięki czemu mógł mieć wszystkiego po trochu. Była w nim kolejka górską o nazwie Delirium Shaker i zjeżdżalnia wodna (Szust i Chlust Kapitana Nemo). Na zachodnim krańcu lunaparku znajdował się specjalny aneks dla małych dzieci, zwany Tuptusią Wioską. Była też sala koncertowa, w której – tego także dowiedziałem się później – występowali głównie mało znani muzycy country albo rockmani, których szczyt sławy przypadł na lata pięćdziesiąte lub sześćdziesiąte. Pamiętam, że Johnny Otis i Big Joe Turner zagrali tam wspólny koncert. Musiałem zapytać Brendę Rafferty, główną księgową, a zarazem nieformalną opiekunkę Gwiazdeczek, co to za jedni. Bren uznała, że jestem dureń; ja, że ona jest stara; pewnie oboje mieliśmy rację.

Lane Hardy wwiózł mnie na samą górę i zatrzymał karuzelę. Siedziałem w kołyszącym się wagoniku, kurczowo ścis-kając poprzeczkę zabezpieczającą, i patrzyłem na zupełnie nowy świat. Ku zachodowi rozciągały się równiny Karoliny Północnej, niewiarygodnie zielone w

oczach małolata z Nowej Anglii, który przywykł myśleć o marcu tylko jak o zimnym, błotnistym zwiastunie prawdziwej wiosny. Na wschodzie był ciemny, metaliczny błękit oceanu rozbijający się beżowymi impulsami o plażę, po której kilka miesięcy później miałem taszczyć moje zmaltretowane serce. Bezpośrednio pode mną widziałem pogodny bezład Joylandu – większe i mniejsze karuzele i kolejki, salę koncertową i budki z jedzeniem, kramiki z pamiątkami oraz Autobus Wesołego Psa, który woził klientów do pobliskich moteli i, oczywiście, na plażę. Na północy było Heaven's Bay. Z punktu widokowego wysoko nad lunaparkiem (tam gdzie ptaki szybują, a widoki czarują) miasteczko wyglądało jak przytulne gniazdo z dziecięcych klocków, na którego krańcach odpowiadających czterem głównym stronom świata wznosiły się wieże kościelne.

Koło znów ruszyło. Opadając ku ziemi, czułem się jak ten dzieciak z opowiadania Rudyarda Kiplinga, który jechał na trąbie słonia. Lane Hardy zatrzymał karuzelę, ale nie raczył otworzyć mi drzwiczek wagoniku; bądź co bądź, byłem prawie tutejszym pracownikiem.

– Jak się podobało?

– Bardzo – powiedziałem.

– Taa, nie jest zła jak na karuzelę dla babć. – Przekrzywił kapelusz na drugi bok i obrzucił mnie badawczym wzrokiem. – Ile masz wzrostu? Metr osiemdziesiąt pięć?

– Metr dziewięćdziesiąt.

– Aha. Zobaczmy, jak ci się będzie podobało na Spinie w środku lipca, kiedy wciśniesz całe to swoje metr dziewięćdziesiąt w futro i będziesz musiał śpiewać *Happy Birthday* jakiemuś rozkapryszonemu smarkaczowi z wata cukrową w jednej ręce i rozpuszczającym się Reksio-Rożkiem w drugiej.

– Jakie futro?

Ale on już ruszył z powrotem do swojej maszyny i nie odpowiedział. Może zagłuszyło mnie radio, w którym leciał *Crocodile Rock*. A może po prostu chciał, żeby moje przyszłe obowiązki jako członka kadry Wesołych Psów Joylandu były dla mnie niespodzianką.

## 7.♥

Miałem ponad godzinę do ponownego spotkania z Fredem Deanem, więc niespiesznie poszedłem Hound Dog Way do baru na kółkach, który wyglądał, jakby cieszył się dużym powodzeniem. Nie wszystko w Joylandzie trzymało się psiej tematyki, ale wiele rzeczy owszem, włącznie z tą konkretną jadłodajnią, która nosiła nazwę Łapy Lizać. Mój budżet przeznaczony na tę krótką wyprawę za pracą był mocno napięty, ale uznałem, że mogę się szarpnąć i wydać parę dolców na chili doga oraz papierową torebkę frytek.

Kiedy przechodziłem obok budy wróżki, na drodze stanęła mi madame Fortuna. Choć to nie całkiem prawda, bo Fortuną była tylko od piętnastego maja do obchodzonego w pierwszy poniedziałek września Święta Pracy. Przez te szesnaście tygodni ubierała się w długie zwiewne spódnice, falbaniaste bluzki i szale ozdobione przeróżnymi kabalistycznymi symbolami. Nosiła wtedy kolczyki w postaci złotych kół, tak ciężkie, że rozciągały płatki jej uszu, i mówiła z mocnym cygańskim akcentem postaci z horroru z lat trzydziestych, takiego z osnutymi mgłą zamkami i wyjąłymi wilkami.

Przez pozostałą część roku była bezdzietną wdową z Brook-lynu, zbierała porcelanowe figurki i lubiła filmy (zwłaszcza łzawe, w których jakaś laska dostaje raka i pięknie umiera). Tego dnia wystroiła się elegancko, w czarny kostium i buty na niskim obcasie. Jej szyję okalał różowy szal, jedyny akcent kolorystyczny. Jako Fortuna miała na głowie burzę siwych loków, ale to była peruka, wówczas jeszcze przechowywana pod szklanym kloszem w jej małym domu w Heaven's Bay. Jej prawdziwe włosy były krótko przystrzyżone i ufarbowane na czarno. Tylko jedno łączyło miłośniczkę *Love Story* z Brook-lynu i Wróżkę Fortunę: obie uważały się za jasnowidzki.

– Pada na ciebie cień, młody człowieku – oznajmiła.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że miała całkowitą rację. Stałem w cieniu Carolina Spin. Ona zresztą też.

– Nie tu, głupku. Na twoją przyszłość. Poczujesz głód.

Już czułem głód, i to silny, ale kanapka z baru Łapy Lizać miała go wkrótce zaspokoić.

– To bardzo interesujące, pani... hm...

– Rosalind Gold. – Podała mi rękę. – Ale możesz mi mówić Rozzie, jak wszyscy. Za to w sezonie... – Weszła w rolę, co znaczyło, że zaczęła mówić jak Bela Lugosi z biustem. – W sezonie jam jest... Fortuna!

Uściskałem jej dłoń. Gdyby nie tylko wczuła się w rolę, ale i ubrała w odpowiedni do niej kostium, na jej nadgarstku zabrzęczałyby złote bransoletki.

– Bardzo mi miło. – I, próbując naśladować jej akcent: – Jam jest... Devin!

Nieszczerólnie ją to rozbawiło.

– Irlandzkie imię?

– Tak.

– Irlandczycy są melancholijni i wielu z nich ma dar widzenia. Czy masz go ty, nie wiem, ale poznasz kogoś, kto go ma.

Prawdę mówiąc, byłem pełen szczęścia... któremu towarzyszyło przemożne pragnienie, by spałaszować coś, co rzeczywiście byłoby łapy lizać, najchętniej ociekającego sosem chili. To wszystko coraz bardziej przypominało przygodę. Powiedziałem sobie, że pewnie spojrzę na to trochę inaczej, kiedy będę szorował sedesy pod koniec dnia pracy albo ścierał rzygi z siedzeń Wirujących Filizanek, ale wtedy, w tamtej chwili, wszystko było tak, jak być powinno.

– Ćwiczysz na mnie rolę?

Wyprostowała swoje metr pięćdziesiąt kilka wzrostu.

– To nie rola, mój chłopcze. – Powiedziała „rooo-la” zamiast „rola”. – Żydzi to najlepsi jasnowidze na świecie. Wszyscy to wiedzą. – Porzuciła akcent. – Poza tym lepszy Joyland niż salon wróżbiarski na Drugiej Alei. Choć jesteś melancholijny, podobasz mi się. Wydzielasz dobre wibracje.

– *Good vibrations*, jedna z moich ulubionych piosenek Beach Boysów.

– Ale stoisz na krawędzi wielkiego smutku. – Zawiesiła głos, żeby podkreślić wagę swoich słów. Stara sztuczka. – I, być może, niebezpieczeństwa.

– Widzisz w mojej przyszłości piękną brunetkę? – Wendy była piękną brunetką.

– Nie – powiedziała Rozzie i dodała coś takiego, że mnie zatkało. – Ona należy do twojej przeszłości.

Ja-asne.

Była szarlatanką, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Uznałem, że lepiej od Rozzie trzymać się z dala. Ruszyłem w stronę baru Łapy Lizać.



Nic z tego. Poszła ze mną.

– W przyszłości spotkasz małą dziewczynkę i małego chłopca. Chłopiec ma psa.

– Założę się, że wesołego. Pewnie wabi się Howie.

Zignorowała tę kolejną próbę obrócenia sytuacji w żart.

– Dziewczynka jest w czerwonej czapce, w ręku trzyma lalkę. Jedno z tych dzieci ma dar widzenia. Nie wiem które. To pozostaje przede mną ukryte.

Ledwo słyszałem tę część jej gadki. Myślałem o jej poprzednich słowach, wypowiedzianych bezbarwnym brook-lyńskim akcentem: „Ona należy do twojej przeszłości”.

Jak się później dowiedziałem, madame Fortuna w wielu sprawach się myliła, ale rzeczywiście zdawała się mieć zdolności parapsychologiczne i tego dnia, kiedy byłem na rozmowie o pracę wakacyjną w Joylandzie, jej dar działał bez zarzutu.

## 8. ♥

Dostałem tę pracę. Pan Dean był szczególnie zadowolony z mojej licencji ratownika, którą wyrobiłem sobie w YMCA latem, kiedy skończyłem szesnaście lat. Nazywałem to lato moim Latem Nudy. Od tego czasu przekonałem się, że nuda ma wiele zalet.

Powiedziałem panu Deanowi, kiedy mam egzaminy końcowe, i obiecałem, że dwa dni po ostatnim będę w Joylandzie, gotów na przydział do zespołu i szkolenie. Podaliśmy sobie ręce i powitał mnie na pokładzie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zaproponuje, żebyśmy razem odstawili Szczek Wesołego Psa lub coś w tym stylu, ale on tylko życzył mi miłego dnia i wyszedł ze mną z gabinetu. Był niewysokim, szczupłym mężczyzną o przenikliwych oczach i sprężystym kroku. Kiedy tak stałem na małym ganku z pustaków przed biurem kadr, słuchając huku fal oceanu i wdychając wilgotne słone powietrze, znów wezbrał we mnie entuzjazm i już nie mogłem się doczekać lata.

– Jesteś teraz w branży rozrywkowej, młody panie Jones – powiedział mój nowy szef. – Nie kuglarskiej... nie całkiem, dziś działamy na innych zasadach... ale i nie tak bardzo od niej odległej. Wiesz, co to znaczy być w branży rozrywkowej?

– Nie, proszę pana, niezupełnie.

Jego oczy były poważne, ale na ustach błąkał się cień uśmiechu.

– To znaczy, że ćwoki muszą wychodzić z uśmiechem na twarzy... i, nawiasem mówiąc, jeśli kiedykolwiek usłyszę, że nazywasz klientów ćwokami, z miejsca wylecisz na zbity łeb, nie zdążysz okiem mrugnąć. Ja mogę tak o nich mówić, bo robię w tej branży, odkąd miałem mleko pod nosem. To wszystko ćwoki, identyczne jak wieśniacy z Oklahomy i Arkansas, łąjący z wybałuszonymi gałami po wszystkich lunaparkach, w których pracowałem po drugiej wojnie światowej. Ludzie przychodzący tutaj może lepiej się ubierają i jeżdżą fordami zamiast rolniczych pikapów, ale Joyland zmienia ich w ćwoków z rozdziawionymi gębami. Jeśli nie, to znaczy, że nie spełnia swojego zadania. Ale dla ciebie są szaraczkami, Jones, ślicznymi, tłustymi, kochającymi zabawę królikami, które kicają od karuzeli do karuzeli i od gry do gry zamiast od nory do nory.

Mrugnął do mnie i ścisnął mi ramię.

– Szaraczki muszą wychodzić zadowolone, inaczej wszystko tu uschnie i rozsypie się w proch i pył. Widziałem, jak to się odbywa, i dzieje się to błyskawicznie. To jest park rozrywki, młody panie Jones, więc głaskaj szaraczków i jak już będziesz musiał pociągnąć któregoś za ucho, zrób to jak najdelikatniej. Krótko mówiąc, zabawiaj ich.

– Jasne – powiedziałem, chociaż nie bardzo wiedziałem, jak miałbym zabawiać klientów, szorując Diabelskie Fury (Joylandowy odpowiednik tradycyjnych samochodzików z wesołego miasteczka) czy czyszcząc zamiatarką Hound Dog Way po zamknięciu lunaparku.

– I nie waz się zostawić mnie na lodzie. Masz tu być w wyznaczonym dniu, pięć minut przed wyznaczoną porą.

– Jasne.

– To dwie najważniejsze zasady show-biznesu, chłopcze: zawsze wiedz, gdzie masz portfel... i stawiaj się tam, gdzie cię oczekują.

## 9. ♥

Kiedy wyszedłem pod wielkim łukiem z neonowym napisem JOYLAND WITA (teraz zgaszonym) na prawie pustym parking, Lane Hardy stał oparty o jedną z zamkniętych kas biletowych i palił papierosa, który wcześniej tkwił mu za uchem.

– W lunaparku już nie wolno palić – powiedział. – Nowa zasada. Pan Easterbrook mówi, że jesteśmy pierwszym parkiem rozrywki w Ameryce, który ją wprowadził, ale że nie będziemy ostatni. Dostałeś tę robotę?

– Tak.

– Gratulacje. Freddy zasunął ci gadkę o kuglarstwie i tak dalej?

– Mniej więcej.

– Powiedział ci o głaskaniu szaraczków?

– Uhm.

– Bywa upierdliwy, ale robi w show-biznesie od zawsze, wszystko widział, większość z tego dwa razy, i w tej sprawie się nie myli. Myślę, że podołasz, synu. Masz w sobie coś z kuglarza. – Machnął ręką, ukazując lunapark i jego atrakcje odcinające się na tle nieskazitelnie błękitnego nieba: Thunderball, Delirium Shaker, zawijasy i zakrętasy Zjeżdżalni Wodnej Kapitana Nemo i, oczywiście, Carolina Spin. – Kto wie, może to twoja przyszłość.

– Może – powiedziałem, choć wiedziałem już, jak moja przyszłość będzie wyglądać: miałem pisać powieści i opowiadania w rodzaju tych, jakie publikują w „New Yorker”. Wszystko zaplanowałem. Oczywiście, w planach miałem też ślub z Wendy Keegan i to, że będziemy mieli dwójkę dzieci, ale zaczekamy z tym do trzydziestki. Kiedy człowiek ma dwadzieścia jeden lat, życie to mapa drogowa. Dopiero w wieku dwudziestu kilku lat zaczyna podejrzewać, że przez cały czas patrzył na tę mapę odwróconą dołem do góry, a jako czterdziestolatek wie to na pewno. Kiedy dobija do sześćdziesiątki, możecie mi wierzyć, jest zagubiony jak cholera.

– Rozzie Gold wcisnęła ci te swoje bujdy z repertuaru madame Fortuny?

– Hm...

Lane zachichotał.

– Po co w ogóle pytam? Pamiętaj tylko, synu, że dziewięćdziesiąt procent tego, co mówię, to rzeczywiście bujdy. Pozostałe dziesięć... ujmę to krótko: powiedziała niektórym takie rzeczy, że włos im się jeżył.

– A tobie? – spytałem. – Jakież sensacje, od których włos ci się zjeżył?

Uśmiechnął się szeroko.

– Prędkiej znów ruszę w świat, żeby tułać się po wiochach z wędrownymi wesołymi miasteczkami, niż pozwolę Rozzie powróżyć mi z dłoni. Synek pani Hardy nie tyka plansz Ouija ani kryształowych kul.

„Widzisz w mojej przyszłości piękną brunetkę?”, zapytałem.

„Nie. Ona należy do twojej przeszłości”.

Przyglądał mi się uważnie.

– Co się stało? Muchę połknąłeś?

– Nie, nic.

– Bez takich, synu. Powiedziała ci prawdę czy bujdy? Na żywo czy z playbacku? Powiedz tatusiowi.

– Bujdy, zdecydowanie. – Spojrzałem na zegarek. – Muszę złapać autobus o piątej, jeśli mam zdążyć na pociąg do Bostonu o siódmej. Lepiej już pójdę.

– E tam, masz kupę czasu. Gdzie zamieszkaś latem?

– Jeszcze nawet o tym nie pomyślałem.

– To radzę, żebyś w drodze na dworzec autobusowy zajrzał do pani Shoplaw. Dużo ludzi z Heaven's Bay wynajmuje pokoje pracownikom sezonowym, ale ona jest najlepsza. Przez lata gościła wielu Wesołych Pomocników. Jej dom łatwo znaleźć; stoi na samym końcu Main Street, przy plaży. Wielki, pomalowany na szaro. Na ganku wisi szyld. Nie można go nie zauważyć, bo jest zrobiony z muszelek i część ciągle odpada. **PLAŻOWY PENSJONAT PANI SHOPLAW**. Powiedz jej, że ja cię przysłałem.

– Dobrze. Dzięki.

– Jeśli tam zamieszkaś, będziesz mógł przychodzić tu pieszo plażą, zaoszczędzisz na paliwie, żeby mieć pieniądze na coś ważniejszego, wypad na miasto w wolny dzień czy coś. Taki spacer po plaży to miły początek dnia. Powodzenia, synu. Cieszę się, że będziemy razem pracować. – Wyciągnął rękę. Ucisnąłem ją i jeszcze raz mu podziękowałem.

Skoro już podsunął mi ten pomysł, postanowiłem wrócić do miasta plażą. Oszczędziłem sobie dwudziestu minut czekania na taksówkę, na którą tak naprawdę nie było mnie stać. Już dochodziłem do drewnianych schodów prowadzących w dół, na piasek, kiedy mnie zawołał.

– Hej, Jonesy! Chcesz wiedzieć coś, czego Rozzie ci nie powie?

– Jasne.

– Mamy tu pałac strachów o nazwie Straszny Dwór. Stara Rozula omija go szerokim łukiem. Nie znosi nagle wyskakujących straszdeł, izby tortur i nagranych głosów, ale tak naprawdę boi się, że rzeczywiście jest nawiedzony.

– Tak?

– Uhm. I nie ona jedna. Kilku ludzi, którzy tu pracują, twierdzi, że widziało ducha.

– Mówisz serio? – To było typowe pytanie, jakie człowiek zadaje, kiedy wpada w osłupienie. Mówił serio. Widziałem to po nim.

– Opowiedziałbym ci całą historię, ale przerwa mi się kończy. Muszę wymienić pantografy w Diabelskich Furach, a koło trzeciej przychodzą ludzie od kontroli bezpieczeństwa, żeby obejrzeć Thunderballa. Niemożliwi upierdliwcy, mówię ci. Spytaj Emmalinę Shoplaw. Wie o Joylandzie więcej ode mnie. Można powiedzieć, że jest jego badaczką. W porównaniu z nią jestem nowicjuszem.

– To nie żart? Mały gumowy kurczak, którym rzucasz we wszystkich nowych pracowników?

– Wyglądam, jakbym żartował?

Raczej nie, ale wyglądał, jakby dobrze się bawił. Nawet puścił do mnie oko.

– Czym byłby szanujący się park rozrywki bez ducha? Może sam go zobaczysz. Ćwokom się nie pokazuje, to na pewno. A teraz zmykaj, synu. Zaklep sobie pokój, nim złapiesz autobus do Wilmington. Potem mi podziękujesz.

## 10.♥

Emmalina Shoplaw... Trudno było nie wyobrazić sobie rumianolicej gosposi z kart powieści Charlesa Dickensa, biuściastej jejmości, która krząta się po domu, powtarzając „Boże miłosierny!”, i podaje herbatę i babeczki, podczas gdy grający drugoplanowe role dobroduszni ekscentrycy patrzą na nią z aprobatą. Może nawet uszczypnie mnie pieczołliwie w policzek, kiedy będziemy razem piec kasztany w trzaskającym ogniu.

Jednak rzeczywistość rzadko odpowiada naszym wyobrażeniom i kobieta, która mi otworzyła, była wysoka, po pięćdziesiątce, płaska jak deska i blada jak oszroniona szyba. W jednej ręce trzymała popielniczkę, a w drugiej dymiącego papierosa. Upięte grube pukle mysich włosów zasłaniały jej uszy. Ta fryzura upodabniała ją do podstarzałej księżniczki z baśni braci Grimm. Wyjaśniłem, dlaczego przyszedłem.

– Będzie pan pracował w Joylandzie, he? Cóż, proszę wejść. Ma pan referencje?

– Nie mieszkaniowe... mieszkam w akademiku. Ale mam referencje zawodowe od mojego szefa w Commons. Commons to stołówka na Uniwersytecie New Hampshire, gdzie...

– Wiem, co to Commons. Urodziłam się w nocy, ale nie ostatniej nocy. – Wpuściła mnie do salonu, który ciągnął się przez całą długość domu i wypełniony był niepasującymi do siebie meblami. Na honorowym miejscu stał duży telewizor. Wskazała go. – Kolorowy. Moi lokatorzy mogą korzystać z niego i z salonu do dziesiątej wieczór w dni powszednie i do północy w weekendy. Czasem oglądam z nimi filmy albo sobotnie mecze baseballu. Jemy pizzę albo robię popcorn. Jest wesoło.

Wesoło, pomyślałem. To brzmiało obiecująco.

– Niech pan powie, panie Jones, pije pan, hałasuje? W odróżnieniu od wielu, uważam takie zachowanie za aspołeczne.

– Nie, proszę pani. – Trochę piłem, ale rzadko hałasowałem. Po piwie czy dwóch zwykle po prostu robiłem się senny.

– Pytanie, czy używa pan narkotyków, mijałoby się z celem, bo tak czy tak odpowiedziałby pan, że nie, prawda? Ale oczywiście takie sprawy zawsze z czasem wychodzą na

jaw, a ja wtedy proszę lokatora, żeby poszukał sobie innego mieszkania. Nawet trawka odpada, rozumiemy się?

– Tak.

Przyjrzała mi się z uwagą.

– Nie wygląda pan na takiego, co pali trawkę.

– Bo nie palę.

– Mam miejsce dla czterech lokatorów i aktualnie tylko jeden pokój jest zajęty. Przez pannę Ackerley. Jest bibliotekarką. Wszystkie pokoje to jedyńki, ale dużo ładniejsze niż w motelu. Panu dałabym pokój na pierwszym piętrze. Jest z łazienką i prysznicem, w odróżnieniu od tych na drugim piętrze. Są też zewnętrzne schody, bardzo dogodne, jeśli ma pan przyjaciółkę. Nie mam nic przeciwko przyjaciółkom, bo sama jestem całkiem przyjazna. To co, ma pan przyjaciółkę, panie Jones?

– Tak, ale latem będzie pracowała w Bostonie.

– Cóż, może pan kogoś pozna. Jak mówi piosenka: miłość jest wszędzie wokół nas.

Tylko uśmiechnąłem się na te słowa. Wiosną 1973 roku myśl, że mógłbym kochać kogoś innego niż Wendy Keegan, wydawała mi się zupełnie obca.

– Zgaduję, że ma pan samochód. Za domem są dwa miejsca parkingowe dla czterech lokatorów, więc każdego lata obowiązuje zasada „kto pierwszy, ten lepszy”. Pan jest pierwszy i myślę, że się pan nada. Jeśli stwierdzę, że jednak nie, to się pożegnamy. Czy to panu odpowiada?

– Tak, proszę pani.

– To dobrze, bo takie są zasady i już. Warunki wynajmu standardowe: czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc plus kaucja na poczet ewentualnych szkód. – Wymieniła kwotę, która też mi odpowiadała. Moje konto w banku First New Hampshire Trust miało jednak na tym mocno ucierpieć.

– Przyjmie pani czek?

– Ma pokrycie?

– Tak, proszę pani, na styk.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– To go przyjmę, oczywiście, o ile nadal będzie pan chciał ten pokój po tym, jak pan go zobaczy. – Zgasła papierosa i wstała. – À propos, na górze nie wolno palić... wymogi



ubezpieczenia. Tu, na dole, też nie, kiedy mam lokatorów. Wymogi kultury. Słyszał pan, że stary Easterbrook wprowadza zakaz palenia w lunaparku?

– Słyszałem. Pewnie straci klientów.

– Może na początku. Potem może zyska nowych. Postawiłabym na Brada każde pieniądze. To szczywany lis, kuglarz z kuglarzy. – Miałem ją zapytać, co to właściwie znaczy, ale już zmieniła temat. – Obejrzymy pokój?

Rzut oka na pokój na piętrze wystarczył, bym się zdecydował. Łóżko było duże, i dobrze, a okno wychodziło na ocean – jeszcze lepiej. Łazienka śmiechu warta, tak mała, że siedząc na sedesie, musiałbym trzymać nogi pod prysznicem, ale studenci, których kiesy świecą pustkami, nie mogą wybrzydzać. A widok z okna był argumentem rozstrzygającym. Nie sądziłem, by bogacze mieli lepszy w swoich domach letniskowych na Beach Row. Wyobraziłem sobie, jak przyprowadzam tu Wendy, jak we dwoje podziwiamy widok, a potem... w tym dużym łóżku, wśród miarowego, sennego szumu fal...

„To”. Nareszcie „to”.

– Tu będzie dobrze – powiedziałem i poczułem, że palą mnie policzki. Nie mówiłem tylko o pokoju.

– Wiem. Ma pan to, kurczę, wypisane na twarzy. – Jakby znała moje myśli i kto wie, może je znała. Przybrała na usta wielki, szeroki uśmiech, który sprawił, że mimo swoich płaskich piersi i bladej skóry na chwilę upodobniła się do postaci z Dickensa. – Pańskie własne gniazdko. Nie Wersal, ale przynajmniej własny kąpiel. To co innego niż pokój w akademiku, prawda? Nawet jedynka?

– Tak – przyznałem. Myślałem o tym, że będę musiał namówić tatę, by wpłacił na moje konto następne pięćset dolarów, żebym miał na życie, dopóki nie zacznę zarabiać. Ponarzeka, ale się zgodzi. Miałem tylko nadzieję, że nie będę musiał sięgać po argumenty typu „co zrobiłaby mama, gdyby żyła”. Umarła prawie cztery lata wcześniej, ale tata trzymał w portfelu jej zdjęcia i wciąż nosił obrączkę.

– Pierwsza praca, pierwsze mieszkanie – powiedziała pani Shoplaw, jakby trochę rozmarzona. – Świetna sprawa, Devin. Nie masz nic przeciwko temu, że będę cię nazywać Devin?

– Wolałbym Dev.

– Dobrze, oczywiście. – Rozejrzała się po pokoiku ze spadzistym sufitem (był pod okapem) i westchnęła. – Taki entuzjazm nie trwa długo, ale dopóki trwa, jest piękny. Nie ma to, jak poczuć się niezależnym. Myślę, że będzie ci tu dobrze. Masz w sobie coś z kuglarza.

– Jest pani drugą osobą, która mi to powiedziała. – Przypomniałem sobie rozmowę z Lane'em Hardym na parkingu. – Właściwie trzecią.

– I założę się, że wiem, kim były te pozostałe dwie osoby. Chciałbyś coś jeszcze zobaczyć? Łazienka jest skromna, wiem, ale lepsze to, niż walić kupę w ubikacji w akademiku, podczas gdy jacyś faceci pierdzą przy umywalkach i opowiadają bajdy o dziewczynach, które obłapiali zeszłego wieczoru.

Wybuchnąłem śmiechem i pani Emmalina Shoplaw zawtórowała mi.

# 11.♥

Zeszliśmy po zewnętrznych schodach.

– Co u Lane’a Hardy’ego? – spytała na dole. – Nadal nosi ten durny kapelusz?

– Wyglądało mi to na melonik.

Wzruszyła ramionami.

– Kapelusz, melonik, co za różnica?

– Wszystko u niego w porządku, ale coś mi powiedział...

Patrzyła na mnie z przekrzywioną głową. Prawie się uśmiechała, ale nie całkiem.

– Mówił, że pałac strachów w Joylandzie... Straszny Dwór, tak go nazwał... jest nawiedzony. Pytałem, czy mnie nabiera, ale zaprzeczył. I że pani zna tę historię.

– Tak powiedział, co?

– Tak. I że wie pani o Joylandzie więcej od niego.

– Cóż... – Włożyła rękę do kieszeni spodni i wyjęła paczkę winstonów. – Wiem sporo.

Mój mąż był tam szefem obsługi technicznej, dopóki mu się nie zmarło na zawał. Kiedy się okazało, że jego ubezpieczenie na życie było nic niewarte... i w dodatku nabrał pożyczek pod jego zastaw, zaczęłam wynajmować dwa górne piętra tego domu. Co innego miałam zrobić? Mieliśmy tylko jedno dziecko, córkę, dziś mieszka w Nowym Jorku i pracuje w agencji reklamowej. – Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i ze śmiechem wypuściła dym. – Pracuje też nad tym, żeby pozbyć się swojego południowego akcentu, ale to już inna historia. To ohydne gmaszysko, które nazywam domem, było zabawką Howiego i nigdy nie robiłam mu o to wyrzutów. Przynajmniej jest spłacone. I odpowiada mi to, że pozostałam związana z lunaparkiem, bo dzięki temu czuję się, jakbym nadal była związana z nim. Potrafisz to zrozumieć?

– Pewnie.

Popatrzyła na mnie przez wznoszący się kłęb dymu papierosowego, uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie... mówisz tak przez grzeczność, ale jesteś trochę za młody.

– Cztery lata temu straciłem mamę. Tata jest w żałobie do dziś. Mówi, że życie bez niej to nie życie. Ja przynajmniej mam studia i dziewczynę. Tata mieszka zaraz na północ od Kittery, snuje się po domu, który jest o wiele za duży dla niego. Wie, że powinien go sprzedać i kupić mniejszy bliżej swojego miejsca pracy... obaj to wiemy... ale dalej tam siedzi. Dlatego owszem, wiem, co pani ma na myśli.

– Przykro mi słyszeć, że straciłeś mamę – powiedziała pani Shoplaw. – Któregoś dnia otworzę gębę za szeroko i w nią wpadnę. Ten twój autobus odjeżdża dziesięć po piątej?

– Tak.

– W takim razie chodź do kuchni. Zrobię ci grzankę z serem i podgrzeję zupę pomidorową w mikrofalówce. Masz jeszcze czas. I kiedy będziesz jadł, opowiem ci smutną historię ducha z Joylandu, jeśli zechcesz posłuchać.

– Czy to naprawdę historia o duchu?

– Nigdy nie byłam w tym cholernym domu strachów, więc nie wiem na pewno. Ale jest to historia o morderstwie. Tego jestem pewna.

## 12.♥

Zupa okazała się zwykłą zupą Campbell's z puszki, za to grzanka była z moim ulubionym serem Muenster i smakowała niebiańsko. Pani Shoplaw naląła mi mleka i nalegała, żebym je wypił. „Jeszcze rośniesz”, powiedziała. Usiadła naprzeciwko mnie ze swoim talerzem zupy, ale bez grzanki („muszę dbać o swoją dziewczęcą figurę”), i opowiedziała mi całą historię. Niektóre fakty znała z gazet i wiadomości telewizyjnych. Bardziej pikantne szczegóły wyciągnęła od znajomych z Joylandu, a tych miała wielu.

– To było cztery lata temu, czyli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy umarła twoja matka. Wiesz, co pierwsze zawsze staje mi przed oczami, kiedy o tym myślę? Koszula tego faceta. I rękawice. Na myśl o nich ciarki mnie przechodzą. Bo to znaczy, że on to zaplanował.

– Chyba zaczyna pani od środka – stwierdziłem.

Zaśmiała się.

– Ano rzeczywiście. Ten twój rzekomy duch nazywa się Linda Gray. Pochodziła z Florence. To w Karolinie Południowej. Ona i jej chłopak... jeśli nim był; policja dokładnie sprawdziła jej przeszłość i nie znalazła po nim śladu... spędzili jej ostatnią noc na ziemi w motelu Luna Inn, kilkaset metrów plażą stąd. Koło jedenastej następnego dnia weszli do Joylandu. On kupił karnety całonocne, zapłacił gotówką. Pojeździli na karuzelach i zjedli późny lunch w Rock Lobster, restauracji z owocami morza obok sali koncertowej. To było tuż po pierwszej. Co do czasu zgonu, pewnie wiesz, jak go ustalają... treść żołądka i tak dalej...

– Uhm. – Skończyłem grzankę i zająłem się zupą. Ta opowieść ani trochę nie zepsuła mi apetytu. Miałem dwadzieścia jeden lat, przypominam, i choć wtedy nie przyznałbym się do tego, w głębi ducha byłem przekonany, że nigdy nie umrę. Nawet śmierć mojej matki nie zachwiała tym fundamentalnym przeświadczeniem.

– Nakarmił ją, a potem zabrał na Carolina Spin... to wolna karuzela, nie szkodzi trawieniu... i wreszcie do Straszego Dworu. Weszli razem, ale wyszedł tylko on. Mniej więcej w połowie przejażdżki, która trwa jakieś dziewięć minut, poderznął dziewczynie gardło i porzucił ją obok jednoszynowego toru, po którym jadą wagoniki. Jakby była śmieciem. Musiał wiedzieć, że będzie jatka, bo miał na sobie dwie koszule i włożył żółte rękawice robocze. Wierzchnią

koszulę... tę, na którą chlusnęła krew... znaleźli mniej więcej sto metrów od ciała. Rękawice kawałek dalej.

Widziałem to oczami wyobraźni: najpierw ciało, jeszcze ciepłe i pulsujące, potem koszula, potem rękawice. I morderca, który spokojnie siedzi w jadącym wagoniku. Pani Shoplaw miała rację; rzeczywiście ciarki przechodziły.

– Po skończonej przejażdżce sukinkot jakby nigdy nic wysiadł i sobie poszedł. Wyczyścił wagonik... koszula, którą znaleźli, była przesiąknięta na wylot... ale trochę krwi zostało. Jeden z Pomocników zauważył plamy na siedzeniu, zanim wsiedli następni klienci, i je wytarł. Nawet się nie zdziwił. Krew w parku rozrywki to nic niezwykłego; często się zdarza, że dzieciaki z nadmiaru emocji dostają krwotoku z nosa. Sam się przekonasz. Pamiętaj tylko, żeby wycierać ją w rękawiczkach, inaczej mógłbyś się czymś zarazić. Mają je we wszystkich punktach pierwszej pomocy, a tych w Joylandzie jest dużo.

– Nikt nie zauważył, że wysiadł bez dziewczyny?

– Nie. To był środek lipca, szczyt sezonu, a wtedy w Joylandzie są dzikie tłumy. Znaleźli ciało dopiero o pierwszej w nocy, długo po zamknięciu lunaparku, kiedy w Strasznym Dworze zapalono lampy robocze. Dla nocnej zmiany, rozumiesz. Sam się przekonasz, jak to jest; wszystkie zespoły Wesołych Pomocników przez jeden tydzień w miesiącu zajmują się sprzątaniami, a wtedy radzę ci się wyspać na zapas, bo nocna zmiana to mordęga.

– Ludzie przejeżdżali obok ciała aż do zamknięcia lunaparku i nikt go nie zauważył?

– Jeśli nawet, pewnie uznali za element wystroju. Ale raczej nie widzieli. Pamiętaj, że w Strasznym Dworze panuje ciemność. To jedyny tunel strachu w Joylandzie. Inne parki rozrywki mają ich więcej.

„W Strasznym Dworze panuje ciemność”. To zabrzmiało z lekka złowieszczo, ale nie na tyle, by przeszkodzić mi w dokończeniu zupy.

– Nie mieli jego rysopisu? Na przykład od kogoś, kto ich obsługiwał w restauracji?

– Mieli coś lepszego. Zdjęcia. Wierz mi, policja dopilnowała, żeby pokazali je w telewizji i prasie.

– Jakim cudem?

– Gwiazdeczki – powiedziała pani Shoplaw. – Kiedy lunapark pracuje pełną parą, kilka z nich stale kręci się po terenie. W Joylandzie nigdy nie było burdelu ani niczego podobnego, ale stary Easterbrook nie na darmo spędził życie w objazdowych wesołych miasteczkach. Wie, że

ludzie lubią, kiedy karuzele i hot dogi doprawione są szczyptą seksapilu. W każdym zespole Pomocników jest jedna Gwiazdeczka. W waszym też będzie i ty z resztą chłopaków będziecie musieli jak starsi bracia mieć na nią oko i pilnować, żeby nikt się jej nie naprzykrzał. Gwiazdeczki latają w takich kusych zielonych sukienkach, zielonych szpilkach i ślicznych zielonych czapeczkach, które zawsze mi się kojarzą z Robinem Hoodem i jego wesołą kompanią. Tyle że w wersji żeńskiej. Mają aparaty fotograficzne Speed Graphic, takie, jakie się widzi w starych filmach, i robią zdjęcia ćwokom. – Zawiesiła głos. – Choć tobie radzę, żebyś tak klientów nie nazywał.

– Pan Dean już mnie przestrzegł – powiedziałem.

– No jasne. W każdym razie Gwiazdeczki mają polecenie, żeby koncentrować się na grupach rodzinnych i parach, które wyglądają na co najmniej dwadzieścia jeden lat. Młodszych dzieciaków zwykle nie interesują zdjęcia pamiątkowe; wolą wydać pieniądze na jedzenie i automaty. Dlatego reguła jest taka, że dziewczyny najpierw pstrykają, potem podchodzą do klientów. – Następne słowa wypowiedziała cichym, zmysłowym głosem à la Marilyn Monroe. – „Dzień dobry, witam w Joylandzie, jestem Karen! Jeśli chcą państwo odbitkę zdjęcia, które właśnie zrobiłam, proszę podać nazwisko i przed wyjściem zgłosić się do budki fotograficznej Hollywood na Hound Dog Way”. Coś w tym stylu. No więc jedna z nich zrobiła zdjęcie Lindzie Gray i jej chłopakowi na Strzelnicy Annie Oakley, ale kiedy do nich zagadała, facet ją splawił. Ostro. Potem mówiła policji, że widać było po nim, że zabrałby jej aparat i go rozwalił, gdyby wiedział, że ujdzie mu to na sucho. Mówiła, że jego oczy przyprawiły ją o ciarki. Twarde i szare, tak je opisała. – Pani Shoplaw wzruszyła ramionami. – A potem okazało się, że miał ciemne okulary. Wiesz, jak niektóre dziewczyny lubią dramatyzować.

Prawdę mówiąc, wiedziałem to doskonale. Renee, koleżanka Wendy, potrafiła zrobić z rutynowej wizyty u dentysty scenariusz horroru.

– To było najlepsze zdjęcie, ale nie jedyne. Policja przejrzała wszystkie fotki Gwiazdeczek z tego dnia i znalazła Lindę Gray i jej faceta w tle co najmniej czterech innych. Na najlepszej z nich stoją w kolejce do Wirujących Filizanek i on trzyma rękę na jej pupie. Duża poufałość jak na kogoś, kogo jej bliscy i znajomi nigdy wcześniej na oczy nie widzieli.

– Szkoda, że nie ma kamer przemysłowych – powiedziałem. – Moja przyjaciółka będzie w wakacje pracować w Filene’s w Bostonie i mówi, że tam mają takich kilka i zamierzają zainstalować następne. Żeby odstraszyć złodziei.

– Przyjdzie dzień, że kamery będą wszędzie – stwierdziła pani Shoplaw. – Jak w tej książce science fiction o Policji Myśli. Wcale mnie to nie cieszy. Ale w takich miejscach jak Straszny Dwór nigdy ich nie zamontują. Nawet tych, co działają w podczerwieni i widzą w ciemności.

– Nie?

– Nie. W Joylandzie nie ma Tunelu Miłości, ale Straszny Dwór to bez dwóch zdań Tunel Macanka. Mąż kiedyś mi powiedział, że jak ekipa sprzątająca na nocnej zmianie nie znajdzie przy torze co najmniej trzech par majtek, to znaczy, że był mały ruch. A wracając do tego faceta, mieli to jedno wyraźne zdjęcie na strzelnicy. Prawie portret. Przez okrągły tydzień zamieszczali je w prasie i telewizji. Stoją na nim blisko siebie, biodro w biodro, on pokazuje jej, jak trzymać karabinek, tak jak faceci zawsze robią. Musieli widzieć to zdjęcie wszyscy w obu Karolinach. Ona się uśmiecha, on jest śmiertelnie poważny.

– I przez cały czas miał w kieszeniach rękawice i nóż – powiedziałem. Nie mieściło mi się to w głowie.

– Brzytwę.

– Hę?

– Posłużył się brzytwą, tak orzekł lekarz sądowy. W każdym razie mieli te zdjęcia, włącznie z tym najwyraźniejszym, i wiesz co? Na żadnym nie widać jego twarzy.

– Przez te ciemne okulary.

– Między innymi. Oprócz tego miał kozią bródkę i czapkę baseballówkę, taką z długim daszkiem, który rzuca cień na twarz. To mógł być każdy. To mogłeś być ty, tyle że twoje włosy są ciemne, nie jasnoblond, i nie masz głowy ptaka wytatuowanej na dłoni. On miał. Orła, może jastrzębia. Wyraźnie to widać na zdjęciu ze strzelnicy. Przez pięć dni z rzędu zamieszczali powiększenie tego tatuażu w gazecie, w nadziei że ktoś go rozpozna. I nic.

– Żadnych śladów w motelu, w którym spędzili poprzednią noc?

– Zupełnie. W recepcji pokazał prawo jazdy z Karoliny Południowej, jak się okazało, rok wcześniej skradzione. Jej nikt w ogóle nie widział. Musiała czekać w samochodzie. Przez prawie tydzień pozostawała niezidentyfikowana, ale policja opublikowała jej portret. Wyglądała na nim, jakby spała, a nie leżała martwa z poderżniętym gardłem. Jakaś jej znajoma... koleżanka ze szkoły pielęgniarskiej, zdaje się... rozpoznała ją na portrecie. Powiedziała o tym rodzicom tej dziewczyny. Nie mogę sobie wyobrazić, co czuli, kiedy jechali tutaj ze złudną nadzieją, że w



kostnicy zobaczą kogoś obcego, a nie ukochaną córkę. – Powoli pokręciła głową. – Dzieci to wielkie ryzyko, Dev. Przyszło ci to kiedyś do głowy?

– Być może.

– Czyli nie. Ja... myślę, że gdyby unieśli prześcieradło i zobaczyłabym moją córkę, postradałabym zmysły.

– Chyba nie sądzi pani, że Linda Gray naprawdę straszy w domu strachów, co?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, bo nie mam zdania na temat życia pozagrobowego, w jedną ani drugą stronę. Myślę sobie, że kiedy przyjdzie na mnie czas, przekonam się, jak to naprawdę jest, i to mi wystarczy. Wiem tylko, że wielu ludzi, którzy pracują w Joylandzie, twierdzi, że widzieli ją stojącą obok toru, ubraną w to, co miała na sobie, kiedy ją znaleźli: niebieską spódnicę i niebieską bluzkę bez rękawów. Żaden z nich nie mógł zobaczyć tych kolorów na opublikowanych zdjęciach, bo aparaty Gwiazdeczek robią tylko czarno-białe. Takie łatwiej i taniej wywołać.

– Może w prasie wspomnieli o kolorze jej ubrań.

Wzruszyła ramionami.

– Może, nie pamiętam. Ale kilku ludzi mówiło też, że dziewczyna, którą widzieli przy torze, miała na włosach niebieską opaskę Alicji, a o tym gazety nie pisały. Policja trzymała to w tajemnicy prawie rok, licząc, że wykorzystają to przeciwko podejrzanemu, jeśli jakiegoś znajdą.

– Lane mówił, że ówkom się nie pokazuje.

– Nie, zawsze pojawia się po godzinach. Widują ją głównie Weseli Pomocnicy z nocnej zmiany, ale znam co najmniej jednego inspektora bezpieczeństwa z Raleigh, który twierdzi, że jemu też się pokazała. Wyznał mi to, jak byłam z nim na drinku w Sand Dollar. Odbywał przejazd kontrolny przez Straszny Dwór, patrzy, a tu ona. Z początku myślał, że to nowy manekin, ale wtedy wzniosła ku niemu ręce, o tak.

Pani Shoplaw wyciągnęła ręce z dłońmi uniesionymi w błagalnym geście.

– Mówił, że miał wrażenie, jakby temperatura spadła o dwadzieścia stopni. Zimny punkt, tak to nazwał. Kiedy się obejrzał za siebie, już jej nie było.

Pomyślałem o Lanie Hardym w jego obcisłych dżinsach, pościeranych butach i zawadiacko przekrzywionym meloniku. „Co ci powiedziała, prawdę czy bujdy? – zapytał. – Na żywo czy z playbacku?”. Sądziłem, że duch Lindy Gray to prawie na pewno bujda, ale miałem nadzieję, że nie. Miałem nadzieję, że ją zobaczę. Byłoby co opowiadać Wendy, a w tamtym

czasie wszystkie moje myśli obracały się wokół niej. Jeśli kupię tę koszulę, czy spodoba się Wendy? Jeśli napiszę opowiadanie o młodej dziewczynie, która przeżywa swój pierwszy pocałunek na konnej przejażdżce, czy Wendy je pochwali? Jeśli zobaczę ducha zamordowanej dziewczyny, czy Wendy będzie zafascynowana? Może nawet na tyle, żeby przyjechać i sama go zobaczyć?

Pani Shoplaw mówiła dalej:

– Jakies pół roku później „Charleston Post-Courier” wrócił do sprawy. Okazuje się, że od 1961 roku w Georgii i obu Karolinach były cztery podobne morderstwa. Wszystkie ofiary to młode dziewczyny. Jedna zadźgana, trzem poderżnięto gardło. Dziennikarz znalazł co najmniej jednego glinę, który twierdził, że wszystkie mogły zginąć z ręki zabójcy Lindy Gray.

– Strzeżcie się Mordercy z Lunaparku! – powiedziałem głębokim głosem spikera.

– Tak właśnie nazwali go w gazecie. Głodny byłeś, co? Zjadłeś wszystko oprócz talerza. A teraz wypisz mi czek i leć na autobus, bo inaczej będziesz musiał przenocować u mnie na sofie.

Która wyglądała na względnie wygodną, ale ja już nie mogłem się doczekać powrotu. Jeszcze tylko dwa dni ferii i znów będę na uczelni z Wendy Keegan u boku.

Wyjąłem książeczkę czekową, nagryzmołem, co trzeba, i w ten sposób wynająłem kawalerkę z uroczym widokiem na ocean, z którym Wendy Keegan – moja przyjaciółka – nigdy nie miała okazji się zapoznać. W tym mieszkanku w niektóre dni siedziałem do późna, słuchając na ściszonej adapterze Jimiego Hendrixa i The Doors, snując wspomniane już sporadyczne myśli samobójcze. Były niedojrzałe raczej niż poważne, ot, fantazje obdarzonego wybujałą wyobraźnią młodego człowieka ze złamanym sercem... a przynajmniej tak sobie mówię teraz, wiele lat później, ale kto to tak naprawdę wie?

Kiedy mowa jest o przeszłości, każdy pisze fikcję.

## 13.♥

Zadzwońiłem do Wendy z dworca autobusowego. Usłyszałem od jej macochy, że poszła gdzieś z Renee. Kiedy autobus przyjechał do Wilmington, spróbowałem znowu, ale jeszcze nie wróciła. Spytałem Nadine – czyli wyżej wspomnianą macochę – czy nie wie, dokąd poszły. Powiedziała, że nie. Mówiła takim tonem, jakbym był najmniej ciekawą osobą, z jaką rozmawiała tego dnia. Może tego roku. Może od urodzenia. Z tatą Wendy jako tako się dogadywałem, ale Nadine Keegan nigdy nie należała do grona moich największych fanek.

Wreszcie – już w Bostonie – dodzwoniłem się do Wendy. Wydawała się śpiąca, choć była dopiero jedenasta, pora, o której dla większości studentów na feriach wieczór dopiero się rozkręca. Poinformowałem ją, że dostałem pracę.

– Gratulacje – powiedziała. – Jedziesz do domu?

– Tak, jak tylko pójdę po samochód. – I jeśli nie będzie miał kaptura. W tamtych czasach zawsze jeździłem na łysych oponach i co rusz łapałem gumę. Koło zapasowe, pytasz? Bardzo śmieszne, *señor*. – Zamiast jechać prosto do domu, mógłbym przenocować w Portsmouth i zobaczyć się z tobą jutro, jeśli...

– Lepiej nie. Nocuje u mnie Renee i Nadine nie zniesie więcej towarzystwa. Wiesz, jaka jest na tym punkcie przeczulona.

Na punkcie towarzystwa niektórych – może, ale miałem wrażenie, że Nadine i Renee zawsze świetnie się ze sobą czuły, gdy przy niezliczonych filiżankach kawy plotkowały o swoich ulubionych gwiazdach filmowych jak o bliskich znajomych. Uznałem jednak, że to nieodpowiedni moment, by o tym mówić.

– Dev, normalnie chętnie pogadałabym z tobą, ale właśnie kładłam się spać. Miałyśmy z Ren pracowity dzień. Zakupy i... w ogóle.

Nie sprecyzowała, o co chodzi z tym „w ogóle”, a ja stwierdziłem, że nie chce mi się o to pytać. Kolejny znak ostrzegawczy.

– Kocham cię, Wendy.

– Ja ciebie też. – To zabrzmiało zdawkowo, nie namiętnie. Po prostu jest zmęczona, powiedziałem sobie.

Wyjechałem z Bostonu trawiony niepokojem. Coś w jej głosie? Ten brak entuzjazmu? Nie wiedziałem. Nie wiedziałem też, czy chcę wiedzieć. Ale byłem ciekaw. Czasem nawet teraz, po tylu latach, jestem ciekaw. Dziś Wendy jest dla mnie tylko bliźną i wspomnieniem, kimś, kto zranił mnie tak, jak młode kobiety od czasu do czasu ranią młodych mężczyzn. Młodą kobietą z innego świata. A mimo to jestem ciekaw, gdzie była tamtego dnia. Czym było to „w ogóle”. I czy naprawdę była wtedy z Renee St. Clair.

Moglibyśmy spierać się o to, jaki jest najbardziej przerażający wers z piosenki, ale jak dla mnie nic nie przebije pod tym względem wczesnych Beatlesów, Johna Lennona śpiewającego „Wolałbym, mała, zobaczyć cię martwą niż z innym facetem”. Mógłbym wam powiedzieć, że po naszym zerwaniu nigdy nie myślałem w ten sposób o Wendy, ale to byłoby kłamstwo. Oczywiście, nie było tak dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale czy żywiłem do niej pewną wrogość? Tak. Zdarzały się długie, bezsenne noce, w czasie których życzyłem jej, by spotkało ją coś złego – może nawet bardzo złego – za to, jak mnie zraniła. Przerazało mnie, że tak myślę, ale czasem tak myślałem i już. A potem przypominałem sobie mężczyznę, który wszedł do Straszego Dworu z Lindą Gray u boku, ubrany w dwie koszule. Mężczyznę z ptakiem na dłoni i brzytwą w kieszeni.

## 14.♥

Wiosną 1973 roku – patrząc wstecz, ostatniego roku mojego dzieciństwa – widziałem przyszłość, w której Wendy Keegan była Wendy Jones... a może Wendy Keegan-Jones, gdyby chciała być nowoczesna i zachować panieńskie nazwisko. Widziałem dom nad jeziorem w Maine albo New Hampshire (ewentualnie w zachodnim Massachusetts) rozbrzmiewający tupotem i krzykami dwu małych Keegan-Jonesów. W tym domu ja piszę książki, które może nie są bestsellerami, ale zyskują wystarczającą popularność, by zapewnić nam dostatni byt, i – co bardzo ważne – zbierają pozytywne recenzje. Wendy spełniłaby swoje marzenie o prowadzeniu małego butik (też zbierającego pozytywne recenzje), a ja uczyłbym pisania kreatywnego na kilku kursach, na które zdolni studenci waliliby drzwiami i oknami. Oczywiście, nic z tego nigdy się nie wydarzyło, więc jakże to stosowne, że po raz ostatni spotkaliśmy się jako para w gabinecie profesora George’a B. Nako, człowieka, który nigdy nie istniał.

Jesienią 1968 roku studenci, którzy wrócili po wakacjach na Uniwersytet New Hampshire, odkryli pod schodami w piwnicy Hamilton Smith Hall „gabinet profesora Nako”. Był to kącik oblepiony podrobionymi dyplomami, dziwacznymi akwarelami podpisanymi *Sztuka Albanii* i planem miejsc w auli z wpisanymi ołówkiem w kwadraciki takimi nazwiskami, jak Elizabeth Taylor, Robert Zimmerman i Lyndon Beans Johnson. Na ścianach wisiały też prace nieistniejących studentów. Jedna, jak pamiętam, była zatytułowana *Seksgwiazdy Dalekiego Wschodu*. Temat innej brzmiał: *Wczesna poezja Cthulhu. Analiza*. Były trzy stojące popielniczki. Kartka przyklepiona od spodu schodów oznajmiała: PROFESOR NAKO RZECZE: „PALENIE ZAWŻDY DOZWOLONE!”. Były też dwa wyliniałe fotele i równie wyliniała sofa, w sam raz dla studentów szukających wygodnego miejsca na macanko.

Środa przed moim ostatnim egzaminem końcowym była jak na tę porę roku niespotykane upalna i parna. Koło pierwszej po południu zaczęły się gromadzić burzowe chmury i mniej więcej o czwartej, kiedy to Wendy zgodziła się spotkać ze mną w podziemnym gabinecie George’a B. Nako, lunęło jak z cebra. Przyszedłem pierwszy. Wendy zjawiała się pięć minut później, przemoknięta do suchej nitki, ale w doskonałym humorze. Krople lśniły w jej włosach.

Padła mi w objęcia i wtuliła się we mnie ze śmiechem. Zagrzmiało; nieliczne żarówki wiszące w ciemnej piwnicy zamigotały.

– Przytul mnie, przytul mnie, przytul mnie! – prosiła. – Ten deszcz jest taaaki zimny.

Rozgrzałem ją, a ona mnie. Wkrótce już leżeliśmy spleceni w uścisku na wyliniałej sofie, lewą ręką obejmowałem ją i pieściłem jej obnażoną pierś, a prawą wsunąłem pod spódnicę dość daleko, by dotknąć jedwabiu i koronek. Wendy pozwoliła jej tam zostać przez minutę–dwie, po czym usiadła i poprawiła włosy.

– Starczy tego dobrego. A gdyby tak przyszedł profesor Nako?

– To nam raczej nie grozi. – Uśmiechałem się, ale poniżej pasa czułem znajome pulsowanie. Wendy czasem je rozładowywała (nabrała sporej wprawy w, jak to nazywaliśmy, „masażu przez spodnie”), ale sądziłem, że tego dnia nie mam co na to liczyć.

– No to jeden z jego studentów – powiedziała. – Żeby błagać o ostatnią szansę na zaliczenie. „Proszę, profesorze Nako, proszę, proszę, prooooszę, zrobię wszystko”.

To też było mało prawdopodobne, lecz zagrożenie, że ktoś nam przeszkodzi, było spore, co do tego miała rację. Co rusz wpadali tam studenci, żeby wywiesić nowe fikcyjne wypracowania albo dzieła sztuki albańskiej. Sofa sprzyjała amorom, lokal niekoniecznie. Może kiedyś, ale nie od czasu, gdy zakamarek pod schodami stał się czymś w rodzaju mitycznego punktu odniesienia dla studentów wydziałów humanistycznych.

– Jak ci poszła socjologia? – spytałem.

– Nieźle. Raczej nie na piątkę, ale wiem, że zdałam, i to mi wystarczy. Zwłaszcza że to ostatni egzamin. – Przeciągnęła się, jej palce dotknęły zygżaku schodów nad nami, a piersi uniosły się wielce urzekająco. – Spadam stąd za... – Spojrzała na zegarek. – ...dokładnie godzinę i dziesięć minut.

– Z Renee? – Nie przepadałem za współlokatorką Wendy, ale wiedziałem, że to temat zakazany. Kiedy raz o tym wspomniałem, skończyło się krótką, gorzką kłótnią, podczas której Wendy zarzuciła mi, że próbuję kontrolować jej życie.

– Tak jest, drogi panie. Podrzuci mnie do rodziców. A od przyszłego tygodnia oficjalnie jesteśmy pracownicami Filene’s!

Mówiła o tym tak, jakby chodziło o posadę gońca w Białym Domu, lecz to także zachowałem dla siebie. Miałem inne zmartwienia.

– Ale w sobotę przyjedziesz do Berwick? – Plan był taki, że przyjedzie rano, spędzi ze mną cały dzień i zostanie na noc. Oczywiście, miała spać w pokoju gościnnym, ale to było raptem o paręnaście kroków korytarzem od mojej sypialni. Zważywszy na fakt, że następnym razem mieliśmy się zobaczyć dopiero jesienią, oceniłem prawdopodobieństwo, że dojdzie do „tego”, na bardzo wysokie. Jasne... małe dzieci wierzą w Świętego Mikołaja, a niektórzy studenci pierwszego roku Uniwersytetu New Hampshire przez cały semestr trwali w przekonaniu, że George B. Nako to prawdziwy profesor prowadzący prawdziwe zajęcia z angielskiego.

– Absolutystycznie. – Rozejrzała się i widząc, że jesteśmy sami, przesunęła dłoń w górę mojego uda. Kiedy doszła do kroku dzinsów, delikatnie pociągnęła za to, co tam znalazła. – Chodź tu do mnie.

Czyli masaż przez spodnie jednak mnie nie ominął. Powolny, rytmiczny, był jednym z najlepszych, jakie mi zrobiła. Zagrzało i w którymś momencie szum ulewy przeszedł w twardy, głuchy stukot gradu. Na koniec ścisnęła, wzmagając i przedłużając rozkosz mojego orgazmu.

– Tylko pamiętaj, żeby w drodze do akademika porządnie zmoknąć, inaczej cały świat się domyśli, co tu robiliśmy. – Zerwała się na nogi. – Muszę lecieć, Dev. Mam jeszcze trochę rzeczy do spakowania.

– Przyjadę po ciebie w sobotę w południe. Tata robi na kolację swoją słynną potrawkę z kurczaka.

Raz jeszcze powiedziała „absolutystycznie”; jak stawanie na palcach przy pocałunku, to był znak firmowy Wendy Keegan. Dopiero w piątek wieczorem zadzwoniła do mnie z informacją, że plany Renee się zmieniły i obie wyjeżdżają do Bostonu dwa dni wcześniej.

– Przykro mi, Dev, ale muszę się z nią zabrać.

– Możesz pojechać autobusem – powiedziałem, świadom, że to na nic.

– Obiecałam jej, kochanie. Poza tym mamy bilety na *Pippina* w Imperialu. Tata Renee załatwił je nam w prezencie. – Zamilkła. – Ciesz się razem ze mną. Ty jedziesz aż do Karoliny Północnej, a mimo to cieszę się razem z tobą.

– Mam się cieszyć – mruknąłem. – Przyjąłem, wykonam.

– Już lepiej. – Jej głos zniżył się do konfidencjonalnego szeptu. – Wynagrodzę ci to przy następnym spotkaniu. Obiecuję.

Tej obietnicy nigdy nie dotrzymała, ale i nie musiała jej złamać, bo po tym spotkaniu w gabinecie profesora Nako więcej nie zobaczyłem Wendy Keegan. Nie było nawet ostatniej rozmowy telefonicznej, pełnej łez i wyrzutów. Odpuściłem ją sobie za radą Toma Kennedy'ego (więcej o nim wkrótce). Pewnie to i lepiej. Wendy mogła oczekiwać takiej rozmowy, może nawet jej chcieć. Jeśli tak, zawiodła się.

Mam taką nadzieję. Po tych wszystkich latach, mimo że dawne gorączki i majaczenia to już odległa przeszłość, wciąż mam nadzieję, że była zawiedziona.

Miłość pozostawia blizny.



# 15.♥

Nigdy nie wysmażyłem książek, o których marzyłem, tych wysoko ocenianych prawie bestsellerów, ale całkiem nieźle żyję z pisania i jestem za to wdzięczny losowi; tysiące nie mają takiego szczęścia. Stopniowo piąłem się po drabinie dochodów, aż znalazłem się tu, gdzie jestem teraz, w redakcji „Commercial Flight”, periodyku, o którym zapewne nie słyszeliście.

Mniej więcej rok po tym, jak zrobili mnie naczelnym, znalazłem się na dobrze znajomym kampusie Uniwersytetu New Hampshire. Pojechałem tam na dwudniowe sympozjum poświęcone przyszłości prasy branżowej w dwudziestym pierwszym wieku. Drugiego dnia na przerwie pod wpływem impulsu poszedłem do Hamilton Smith Hall i zajrzałem pod piwniczne schody. Wypracowania, plan miejsc w auli naszpikowany nazwiskami sławnych ludzi i albańskie dzieła sztuki zniknęły. Krzesła, sofa i stojące popielniczki też. A mimo to ktoś pamiętał. Od spodu schodów, w miejscu, gdzie dawniej wisiało ogłoszenie PALENIE ZAWŻDY DOZWOLONE, zobaczyłem przylepioną taśmą kartkę z jedną linijką napisaną drukiem tak drobnym, że musiałem wyciągnąć szyję i stanąć na palcach, żeby ją odczytać:

**Profesor Nako aktualnie uczy w Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie.**

Cóż, dlaczego nie?

Dlaczego, kurwa, nie?

Co się tyczy Wendy, wiecie tyle co ja. Pewnie mógłbym wykorzystać Google, tę czarodziejską kulę dwudziestego pierwszego wieku, żeby ją odszukać i sprawdzić, czy urzeczywistniła swoje marzenie, to o prowadzeniu małego, ekskluzywnego butik, ale po co? Co było, minęło. Co odeszło, nie wróci. A po tych kilku miesiącach przepracowanych w Joylandzie (kawałek plażą od miasteczka Heaven's Bay, nie zapominajmy) moje złamane serce przestało się wydawać takie ważne. W dużej mierze za sprawą Mike'a i Annie Ross.

## 16.♥

Tata i ja ostatecznie zjedliśmy jego słynną potrawkę z kurczaka we dwóch, z czego Timothy Jones zapewne był zadowolony; choć z szacunku do mnie starał się to ukrywać, wiedziałem, że miał o Wendy podobną opinię jak ja o jej przyjaciółce Renee. W tamtym czasie myślałem, że był trochę zazdrosny o rolę, jaką odgrywała w moim życiu. Teraz sądzę, że po prostu widział ją wyraźniej niż ja. Nie wiem tego na pewno; nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie jestem pewien, czy mężczyźni w ogóle potrafią rzeczowo rozmawiać o kobietach.

Po kolacji, kiedy naczynia były już zmyte, usiedliśmy na kanapie i popijając piwo i przegryzając popcorn, obejrzelśmy film z Gene'em Hackmanem w roli twardego gliny z fetyszyzmem stóp. Tęskniłem za Wendy – pewnie w tamtej chwili słuchała *Spread a Little Sunshine* w wykonaniu zespołu Pippina – ale męski wieczór ma swoje zalety, na przykład można bez ceregieli bekać i pierdzieć.

Nazajutrz – w przeddzień mojego wyjazdu – poszliśmy na spacer wzdłuż nieużywanych torów kolejowych, które przecinały las za domem mego dzieciństwa. Na kategoryczne żądanie mamy ja i moi koledzy mieliśmy trzymać się od nich z dala. Ostatni towarowy Great Southern & Western Maine przejechał tamtędy dziesięć lat wcześniej i między zardzewiałymi szynami rosły wysokie chwasty, ale jej to nie interesowało. Była przekonana, że jeśli będziemy się tam bawili, nadciągnie ostatni pędzący pociąg (nazwijmy go Dzieciożerną Błyskawicą) i zetrze nas wszystkich na miazgę. Tyle że koniec końców to ona wpadła pod niezapowiedziany pociąg – rak piersi z przerzutami w wieku czterdziestu siedmiu lat. Piekielny ekspres.

– Będzie mi cię brakowało w wakacje – powiedział mój tata.

– Mnie ciebie też.

– Aha! Zanim zapomnę. – Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął czek. – Pamiętaj, żeby od razu założyć konto i go zdeponować. Poproś, żeby rozliczyli go najszybciej, jak to możliwe.

Spojrzałem na kwotę: nie pięć stów, o które prosiłem, tylko okrągły tysiąc.

– Tato, możesz sobie na to pozwolić?

– Tak. Głównie dzięki temu, że w Commons zarabiałeś pieniądze, które inaczej musiałbym ci wysłać. Potraktuj to jako premię.

Pocałowałem go w szorstki policzek. Nie ogolił się tego ranka.

– Dzięki.

– Nie ma za co, synu. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i jakby nigdy nic, bez skrępowania otarł oczy. – Przepraszam, że się mażę. Nie jest łatwo, kiedy dzieci opuszczają dom. Pewnego dnia sam się o tym przekonasz, ale miejmy nadzieję, że będziesz miał porządną kobietę, która dotrzyma ci towarzystwa, kiedy odejdą.

Przypomniałem sobie słowa pani Shoplaw: „Dzieci to wielkie ryzyko”.

– Tato, dasz sobie radę?

Schował chusteczkę z powrotem do kieszeni i obdarzył mnie uśmiechem. Promiennym i niewymuszonym.

– Jeśli tylko od czasu do czasu zadzwonisz, tak. I nie daj się zagonić do łażenia po tych ich cholernych kolejkach górskich.

Prawdę mówiąc, taka praca wydawała mi się całkiem fajna, ale obiecałem, że się nie dam.

– Poza tym... – Nie dokończył tego, co chciał powiedzieć, i nie wiem, czy miała to być rada, czy przestroga. Wskazał coś palcem. – Zobacz!

Kilkadziesiąt metrów przed nami z lasu wyszła łania. Przeszła ostrożnie nad zardzewiałą szyną na podłożu torów porośnięte chwastami tak wysokimi, że ocierały się o jej boki. Tam zatrzymała się i patrzyła na nas spokojnie, z postawionymi uszami. Z tamtej chwili najlepiej pamiętam ciszę. Nie było śpiewu ptaków ani warkotu przelatujących samolotów. Gdyby była z nami moja mama, miałyby ze sobą aparat i fotografowałyby bez opamiętania. Na tę myśl zatęskniłem za nią tak, jak nie tęskniłem od lat.

Objąłem tatę szybkim, mocnym uściskiem.

– Kocham cię, tato.

– Wiem – powiedział. – Wiem.

Kiedy się odwróciłem, łani już nie było. Od następnego dnia nie było też mnie.

## 17.♥

Gdy znów przybyłem do wielkiego szarego domu na końcu Main Street w Heaven's Bay, sztyld z muszelek był zdjęty i schowany, bo pani Shoplaw miała komplet lokatorów na lato. Podziękowałem w duchu Lane'owi Hardy'emu za to, że poradził mi zaklepać sobie lokum. Nadciągnęła wakacyjna armia Joylandu i wszystkie pensjonaty w mieście były pełne.

Dzieliłem piętro z Tiną Ackerley, bibliotekarką. Kwatery na drugim piętrze pani Shoplaw wynajęła Erin Cook, smukłej rudowłosej studentce, i Tomowi Kennedy'emu, krępemu studentowi Rutgers. Erin, która chodziła na kursy fotografii i w szkole średniej, i w Bard College, została zatrudniona jako Gwiazdeczka. Co do Toma i mnie...

– Weseli Pomocnicy – powiedział. – Personel szeregowy, innymi słowy. To ten, jak mu tam, Fred Dean wyhaczył na moim podaniu. A ty?

– To samo. To chyba znaczy, że jesteśmy woźnymi.

– Nie sądzę.

– Tak? Dlaczego?

– Bo jesteśmy biali – rzekł i choć sprzątanie należało do naszych obowiązków, okazało się, że w sumie miał rację. Wszyscy woźni – dwudziestu mężczyzn i przeszło trzydzieści kobiet w kombinezonach z naszywkami z Wesołym Psem Howiem na piersi – byli imigrantami z Haiti i Dominikany, prawie na pewno nielegalnymi. Mieszkali w swojej własnej małej wiosce piętnaście kilometrów w głąb lądu i dojeżdżali do lunaparku dwoma autobusami szkolnymi z odzysku. Tom i ja zarabialiśmy cztery dolary za godzinę; Erin trochę więcej. Bóg raczy wiedzieć, ile płacono sprzątacjom. Oczywiście, byli wyzyskiwani i powiedzieć, że na całym Południu roiło się od zatrudnionych na czarno pracowników, którzy mieli dużo gorzej, czy że działo się to czterdzieści lat temu, to żadne usprawiedliwienie. Chociaż był ten jeden szczegół: nigdy nie musieli wkładać futra. Erin też nie.

Tom i ja tak.

## 18.♥

W wieczór poprzedzający nasz pierwszy dzień pracy siedzieliśmy we trójkę w salonie *Maison Shoplaw*, poznawaliśmy się i snuliśmy przypuszczenia na temat nadchodzącego lata. W czasie kiedy rozmawialiśmy, nad Atlantykiem wstał księżyc, piękny i spokojny jak łania, którą ja i mój ojciec widzieliśmy na starych torach kolejowych.

– To park rozrywki, na litość boską – powiedziała Erin. – Co w tym może być trudnego?

– Łatwo ci mówić – odparł Tom. – Ciebie nie zagonią do mycia Wirujących Filizanek, kiedy cały osiemnasty zastęp skautów zwróci lunch w połowie przejażdżki.

– Jak będzie trzeba, pomogę. Jeśli każą mi nie tylko pstrykać fotki, ale i ścierać rzygi, nie ma sprawy. Za rok zaczynam magisterkę, a z pieniędzmi u mnie cienko.

– Postarajmy się, żeby wzięli nas do jednego zespołu – zaproponował Tom... i tak też się stało. Wszystkie zespoły w Joylandzie nosiły psie nazwy, nasz był Zespołem Beagle.

W tej chwili do salonu weszła Emmalina Shoplaw niosąca tacę z pięcioma kieliszkami do szampana. Obok niej, z butelką w dłoni, kroczyła panna Ackerley, chuda jak tyczka kobieta o wielkich, osłoniętych okularami oczach, które upodabniały ją do znanej pisarki Joyce Carol Oates. Tom Kennedy się rozpromienił.

– Co ja tu widzę? Francuskie piwo imbirowe? Sikacz z supermarketu nie wyglądałby tak elegancko.

– To szampan, istotnie – przytaknęła pani Shoplaw – choć jeśli panicz Kennedy liczy na Moet et Chandon, to się srodze rozczaruje. Nie jest to wino marki wino, ale nie jest to też jakiś ekskluzywny trunek.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu moich nowych współpracowników, lecz jako ktoś, kto wyrabiał sobie podniebienie na jabolu, nie sędzę, żebym miał być zawiedziony.

Pani Shoplaw się uśmiechnęła.

– Zawsze w ten sposób świętuję początek lata. To na szczęście. Chyba działa. Nie straciłam jeszcze ani jednego sezonowego lokatora. Proszę, łapcie się za kieliszki. – Zrobiliśmy, co nam kazano. – Tina, rozlejesz?

Gdy kieliszki były pełne, pani Shoplaw wzniosła toast.

– Za Erin, Toma i Devina. Oby mieli cudowne lato i nosili futro tylko wtedy, kiedy temperatura zejdzie poniżej dwudziestu pięciu stopni.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy. Może nie był to ekskluzywny trunek, ale smakował rewelacyjnie i każdemu z nas zostało go dość na jeszcze jeden łyk. Tym razem toast wygłosił Tom.

– Za panią Shoplaw, która daje nam schronienie przed burzą!

– Dziękuję, Tom, to bardzo miło z twojej strony. Ale nie licz na obniżkę komornego.

Napiliśmy się. Lekko zaszumiało mi w głowie i odstawiłem kieliszek.

– O co chodzi z tym noszeniem futra? – spytałem.

Pani Shoplaw i panna Ackerley uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo. Odpowiedziała bibliotekarka, choć w gruncie rzeczy nie była to odpowiedź:

– Zobaczycie.

– Nie siedźcie za długo, dzieci – poradziła pani Shoplaw. – Skoro świt idziecie do pracy.

Kariera w show-biznesie czeka.

## 19.♥

Praca rzeczywiście zaczynała się skoro świt: o siódmej, na dwie godziny przed otwarciem lunaparku na kolejne lato. Poszliśmy we trójkę plażę. Tom mówił przez prawie całą drogę. Mówił zawsze. Byłoby to męczące, gdyby nie był tak zabawny i niezmiennie wesoły. Po tym, jak Erin na niego patrzyła (idąc brzegiem morza z tenisówkami zwisającymi z palców lewej dłoni), poznałem, że jest zauroczona i zafascynowana. Zazdrościłem Tomowi umiejętności wzbudzania takich uczuć. Był masywny i wcale nie zabójczo przystojny, ale tryskał energią i miał gadane, nie to co ja, niestety. Pamiętacie ten stary dowcip o gwiazdce filmowej, która była tak głupia, że dała dupy scenarzyście?

– Kurczę, jak myślicie, ile kasy mają właściciele tych chat? – spytał, wskazując ręką domy na Beach Row. Właśnie przechodziliśmy obok tego, który wyglądał jak zamek, ale tego dnia nie było przed nim kobiety i chłopca na wózku inwalidzkim. Annie i Mike Ross pojawili się później.

– Pewnie miliony – powiedziała Erin. – Może to nie rezydencje z Long Island, ale jak powiedziałby mój tata, to nie cheeseburgery.

– Podejrzewam, że park rozrywki trochę obniża wartość nieruchomości – zauważyłem. Patrzyłem na trzy najbardziej charakterystyczne atrakcje Joylandu, których sylwetki odcinały się na tle błękitu porannego nieba: Thunderball, Delirium Shaker, Carolina Spin.

– E tam, nie rozumiesz sposobu myślenia bogacza – rzekł Tom. – Podchodzą do tego tak jak do mijanych na ulicy żebraków. Wymazują ich ze swojego pola widzenia i tyle. Żebracy? Jacy żebracy? Tak samo jest z lunaparkiem. Jaki lunapark? Właściciele tych domów żyją, że tak powiem, w zupełnie innym wymiarze rzeczywistości. – Zatrzymał się i osłaniając oczy dłonią, spojrzał na zielony wiktoriański dom, który miał odegrać wielką rolę w moim życiu tej jesieni, po tym jak Erin Cook i Tom Kennedy, wtedy już będący parą, wrócili na swoje uczelnie. – Ten będzie mój. Przewiduję, że obejmę go w posiadanie... hmm... pierwszego czerwca 1987 roku.

– Przyniosę szampana – obiecała Erin i wszyscy się śmialiśmy.

## 20.♥

Tego ranka po raz pierwszy i ostatni zobaczyłem letnią załogę Joylandu w komplecie. Zebraliśmy się w Surf Auditorium, sali koncertowej, w której występowali ci wszyscy podrzędni muzycy country i podstarzali rockmani. Było nas prawie dwustu. Większość stanowili tacy jak Tom, Erin i ja studenci, gotowi pracować za psie pieniądze. Przyszli też niektórzy weterani. Zobaczyłem Rozzie Gold, tego dnia ubraną w swój roboczy strój cygański, z dyndającymi u uszu kolczykami. Lane Hardy był na scenie, gdzie postawił mikrofon na podium, a następnie serią ogłuszających stuknięć palcem potwierdził, że działa. Melonik miał jak zwykle przekrzywiony pod starannie dobranym kątem. Nie wiem, jakim cudem, ale wypatrzył mnie w kłębiącym się tłumie małych i niedbale zasalutował do przechylnego na bok ronda. Odpowiedziałem tym samym gestem.

Zrobiwszy, co miał do zrobienia, kiwnął głową, zeskoczył ze sceny i zajął miejsce, które trzymała dla niego Rozzie. Fred Dean żwawym krokiem wyszedł zza kulis.

– Usiądźcie, proszę, wszyscy usiądźcie. Zanim podzielimy was na zespoły, właściciel Joylandu i wasz pracodawca chciałby powiedzieć kilka słów. Proszę, powitajmy brawami pana Bradleya Easterbrooka.

Zaczęliśmy klaskać i zza kulis wyłonił się stary człowiek idący ostrożnymi, bocianimi krokami kogoś, kto ma chore biodra albo chory kręgosłup, albo chore jedno i drugie. Wysoki i niesamowicie chudy, ubrany był w czarny garnitur, w którym bardziej przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego niż właściciela parku rozrywki. Miał wory pod oczami głęboko osadzonymi w oczodołach, a twarz pociągłą, bladą, pokrytą guzkami i pieprzykami. Golenie musiało być dla niego torturą, ale policzki miał gładkie. Swoje hebanowe włosy, z pewnością farbowane, nosił zaczesane do tyłu ze zrytego głębokimi bruzdami czoła. Stanął obok podium, wielkie dłonie – zdawały się składać z samych knykci – splótł przed sobą.

Starość spojrzała na młodość i aplauz młodości najpierw osłabł, potem ucichł.

Nie jestem pewien, czego się spodziewaliśmy; może posępnego jak syrena mgłowa głosu wieszczącego, że wkrótce niepodzielnie zawładnie wszystkim Mór Czerwony. Nagle starzec się uśmiechnął i jego twarz rozświetliła się jak szafa grająca. Wręcz słychać było, jak przez szeregi



pracowników sezonowych przebiega szmer ulgi. Później dowiedziałem się, że w tamte wakacje Bradley Easterbrook skończył dziewięćdziesiąt trzy lata.

– Dziewczęta i chłopcy, witajcie w Joylandzie – powiedział. A potem, zanim wszedł na podium, ni mniej, ni więcej, tylko nam się uklonił. Przez kilka sekund regulował mikrofon i z głośników dobiegła seria zgrzytów i pisków. Robiąc to, ani na chwilę nie odrywał od nas oczu. – Widzę wiele powracających twarzy, a to zawsze niezmiernie mnie cieszy. Co do was, żółtodzioby, mam nadzieję, że to będzie najlepsze lato w waszym życiu, miara, według której będziecie oceniać wszystkie swoje przyszłe miejsca pracy. Ambitne życzenie? Niewątpliwie, może nawet ekstrawaganckie, ale każdy, kto rok w rok prowadzi taki biznes jak ten, musi mieć w sobie dużą dozę ekstrawagancji. Z całą pewnością nigdy nie dostaniecie drugiej takiej pracy jak ta.

Popatrzył po naszych twarzach, ponownie wykręcając stojak nieszczęsnego mikrofonu.

– Już za parę chwil pan Dean i pani Brenda Rafferty, królowa sekretariatu, podzielią was na zespoły. W każdym zespole będzie was siedmioro i oczekujemy, że będziecie funkcjonować jako zespół i pracować jako zespół. Zadania przydzielane każdemu zespołowi przez jego kierownika będą się zmieniać z tygodnia na tydzień, czasem z dnia na dzień. Jeśli różnorodność nadaje życiu smak, to najbliższe trzy miesiące będą dla was bardzo smakowite. Mam nadzieję, dziewczęta i chłopcy, że zawsze będziecie pamiętać jedno. Obiecacie mi to?

Zawiesił głos jakby w oczekiwaniu na odpowiedź, ale nikt słowa nie pisnął. Patrzyliśmy tylko na tego sędziwego człowieka w czarnym garniturze i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Kiedy znów się odezwał, wydawało się, że mówi do siebie, przynajmniej na początku.

– Żyjemy w świecie głęboko zepsutym, pełnym wojen, okrucieństwa i bezsensownych tragedii. Każdy zamieszkujący go człowiek dostaje swoją porcję nieszczęścia i nieprzespanych nocy. Ci z was, którzy jeszcze tego nie wiedzą, pewnego dnia się o tym przekonają. Biorąc pod uwagę fakt, że taka jest smutna, ale niezaprzeczalna prawda o ludzkiej kondycji, tego lata otrzymaliście bezcenny dar: jesteście tu po to, żeby sprzedawać zabawę. W zamian za ciężko zarobione dolary waszych klientów będziecie rozdzielać szczęście. Dzieci wrócą do swoich domów i będą śnić o tym, co tu widziały i robiły. Pamiętajcie o tym, kiedy praca będzie ciężka, a czasem taka będzie, kiedy ludzie będą nieuprzejmi, a często tacy będą, czy też kiedy odniesiecie wrażenie, że wasz trud nie jest doceniany. Tu jest inny świat, świat z własnymi obyczajami i

językiem, który nazywamy gadką. Jeszcze dziś zaczniecie się tego języka uczyć. Nauczycie się nie tylko mówić jak my, ale i być tacy jak my, bo same słowa nic nie znaczą, jeśli nie wypełni się ich treścią. Nie wyjaśnię, co to znaczy, bo tego wyjaśnić się nie da; lecz można się tego nauczyć.

Tom nachylił się do mnie.

– Nauczyć się wypełniać słowa treścią? – szepnął. – Co to, spotkanie Anonimowych Alkoholików?

Uciszyłem go. Przychodząc tu, spodziewałem się, że dostanę listę przykazań, głównie typu „nie będziesz tego czy tamtego”; tymczasem wysłuchałem czegoś w rodzaju surowej poezji i byłem zachwycony. Bradley Easterbrook powiódł po nas spojrzeniem i nagle obnażył końskie zęby w kolejnym szerokim uśmiechu – wydawało się, że dość wielkim, by pożreć świat. Erin Cook patrzyła na niego jak urzeczona. Podobnie jak większość nowych pracowników sezonowych. Tak uczniowie patrzą na nauczyciela, który otwiera im oczy na nowy i potencjalnie wspaniały sposób postrzegania rzeczywistości.

– Mam nadzieję, że praca się wam spodoba, ale kiedy będzie inaczej... kiedy, na przykład, przyjdzie na was kolej, by włożyć futro, starajcie się pamiętać, w jak uprzywilejowanej sytuacji się znaleźliście. W smutnym, mrocznym świecie jesteśmy małą wysepką radości. Wielu z was zaplanowało już swoje życie... macie nadzieję zostać lekarzami, prawnikami, sam nie wiem, politykami...

– O BOŻE, TYLKO NIE TO! – krzyknął ktoś, wzbudzając ogólną wesołość.

Wydawało się to niemożliwe, ale uśmiech Easterbrooka stał się jeszcze szerszy. Tom kręcił głową, lecz w końcu i on uległ.

– No dobra, teraz chwytam – szepnął mi na ucho. – Ten facet to Jezus Zabawy.

– Każdy z was będzie miał ciekawe, bogate życie, moi młodzi przyjaciele. Uczynicie wiele dobra i spotka was wiele niezwykłych doświadczeń. Mam jednak nadzieję, że zawsze będziecie wspominać czas spędzony w Joylandzie jako coś wyjątkowego. Nie sprzedajemy mebli. Nie sprzedajemy samochodów. Nie sprzedajemy ziemi, domów ani funduszy emerytalnych. Nie mamy żadnych celów politycznych. Sprzedajemy zabawę. Nigdy o tym nie zapominajcie. Dziękuję za uwagę.

Odsunął się od podium, jeszcze raz się uklonił i zszedł ze sceny tym samym bolesnym, bocianym krokiem. Dopiero wtedy rozległy się brawa. To było jedno z najlepszych przemówień,

jakie kiedykolwiek słyszałem, bo zawierało prawdę, nie gówno prawdę. Sami pomyślcie – ilu  
ćwoków może sobie wpisać do CV: „Sprzedawałem zabawę przez trzy miesiące w 1973 roku”?

## 21.♥

Wszyscy kierownicy zespołów byli długoletnimi pracownikami Joylandu, po sezonie zatrudniali się w objazdowych wesołych miasteczkach. Wielu z nich zasiadało też w administracji lunaparku, co znaczyło, że musieli być na bieżąco z przepisami stanowymi i federalnymi (w 1973 roku bardzo luźnymi) i rozpatrywać skargi klientów. Tego lata większość skarg dotyczyła nowo wprowadzonego zakazu palenia.

Kierownikiem naszego zespołu był pełen wigoru starszek nazwiskiem Gary Allen, siedemdziesięciolatek, który prowadził Strzelnicę Annie Oakley. Tyle że od pierwszego dnia żaden z nas tak jej nie nazywał. W gadce strzelnica była pal-budą, a Gary ajentem pal-budy. Cała nasza siódemka z Zespołu Beagle spotkała się z nim w jego lokalu, gdzie właśnie kładł na ladzie karabinki na łańcuchach. Moim pierwszym oficjalnym zadaniem w Joylandzie – moim, Erin, Toma i pozostałych czterech chłopaków z zespołu – było układanie nagród na półkach. Honorowe miejsce zajęły wielkie pluszaki, których prawie nikt nie wygrywał... choć Gary, jak powiedział, co wieczór, kiedy przy strzelnicy zbierał się większy tłum, dawał jednego z nich jakiemuś szczęśliwcowi.

– Lubię jeleni – stwierdził. – O tak. Szczególnie lubię dzióbki, przez co rozumiem ładne dziewczuszki, a najbardziej lubię dzióbki z dużym dekoltem, które przy strzelaniu nachylają się o tak. – Chwył dwudziestkędwójkę przerobioną, by strzelała stalowymi kulkami (i wydawała za pociągnięciem spustu głośny, przyjemny dla ucha huk), i wychylił się do przodu, żeby zademonstrować. – Kiedy robi tak facet, mówię mu, że przekroczył linię. Dzióbkom? Nigdy.

Ronnie Houston, wyraźnie stremowany chłopak w okularach i czapce z logo Uniwersytetu Florydy, powiedział:

– Nie widzę tu żadnej linii, panie Allen.

Gary spojrzał na niego z pięściami na nieistniejących biodrach. Dżinsy zdawały się trzymać na nim wbrew przyciąganiu ziemskiemu.

– Słuchaj, synu, mam trzy uwagi do ciebie. Gotowy?

Ronnie skinął głową. Wyglądał, jakby chciał robić notatki. Wyglądał też tak, jakby chciał się schować za naszymi plecami.

– Pierwsza sprawa. Możesz wołać na mnie Gary, Papciu albo chodź tu stary sukinsynu, ale nie jestem nauczycielem, więc daruj sobie tego „pana”. Druga sprawa. Nie chcę więcej widzieć na twojej głowie tej gównianej szkolnej mycki. Trzecia sprawa. Linia każdego wieczoru jest tam, gdzie mówię, że jest. Mogę tak robić, bo mam ją tu, w głooooowie. – Na podkreślenie swoich słów postukał się w zapadniętą, żyłastą skroń, po czym machnął ręką, ukazując nagrody, cele i ladę, na której szaraczki, czyli ćwoki, kładły kasę. – To wszystko jest w mojej głooooowie. Pal-buda to wytwór umysłu. Kapujesz?

Ronnie nie kapował, ale energicznie potakiwał.

– A teraz ściągnij tę gównianą szkolną czapkę. Skońuj se daszek z logo Joylandu albo dogmycę z Wesołym Psem Howiem. To twoje zadanie numer jeden.

Ronnie skwapliwie zerwał z głowy czapkę Uniwersytetu Florydy i wcisnął do tylnej kieszeni. Jeszcze tego samego dnia – zdaje się, że przed upływem godziny – zastąpił ją czapką Howiego, zwaną w gadce dogmycą. Po trzech dniach znoszenia docinków i komentarzy, jaki to z niego żółtodziób, zabrał swoją nową czapkę na parking, znalazł porządnie brudne miejsce i tam długo ją deptał. Wtedy już wyglądała, jak należy. No, prawie. Ronnie Houston nigdy do końca nie wyglądał tak, jak trzeba; niektórym pisane jest na zawsze pozostać żółtodziobami. Pamiętam, jak Tom któregoś dnia podszedł do niego i zasugerował, żeby czapkę trochę obsikał, by nadać jej ten ostateczny szlif, który tak wiele znaczy. Kiedy zobaczył, że Ronnie jest o krok od tego, by skorzystać z jego rady, wycofał się i powiedział, że wystarczy zanurzyć ją w Atlantyku i efekt będzie ten sam.

Tymczasem Papcio Allen bacznie się nam przyglądał.

– À propos urodziwych dam, widzę, że mamy jedną wśród nas.

Erin uśmiechnęła się skromnie.

– Gwiazdeczka, skarbie?

– Tak powiedział pan Dean.

– W takim razie idź do Brendy Rafferty. Ona jest tu druga po szefie i robi za mamę dziewczyn z lunaparku. Da ci śliczną zieloną sukienkę. Poproś o jak najkrótszą.

– Takiego wała, stary zboreźniku – powiedziała Erin i kiedy odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, zawtórowała mu.

– Zuchwała! Wyszczekana! Czy to mi się podoba? Pewnie! Jak kiedyś nie będziesz pstrykać fotek szaraczkom, wracaj do Papcia, to znajdę ci coś do roboty... tylko najpierw zmień sukienkę. Żebyś nie pobrudziła jej smarem czy trocinami. Kapisz?

– Tak – odparła Erin, tym razem z pełną powagą.

Papcio Allen spojrział na zegarek.

– Za godzinę otwieramy, dzieci, potem będziecie się uczyć przy robocie. Na początek karuzele. – Wskazał nas po kolei, wymieniając nazwy karuzeli. Mnie przypadł Carolina Spin i byłem z tego zadowolony. – Mam czas na pytanie lub dwa, ale nie więcej. Ktoś ma jakieś czy wszystko jest jasne?

Podniosłem rękę. Wskazał mnie ruchem głowy i spytał, jak się nazywam.

– Devin Jones, proszę pana.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie panem i wylatujesz, chłopcze.

– Devin Jones, Papciu. – Na pewno nie zamierzałem się do niego zwracać „ty stary sukinsynu”, przynajmniej na razie. Może jak się lepiej poznamy.

– I tak ma być. – Kiwnął głową. – Co ci tam pod tymi kudłami po łepetynie chodzi, Jonesy?

– Co to znaczy „kuglarz z kuglarzy”?

– To taki człowiek jak stary Easterbrook. Jego ojciec jeździł z wesołymi miasteczkami po kraju w Wielkim Kryzysie, a jego dziadek w czasach widowisk z Indianami z udziałem wielkiego wodza Yowlatchy.

– Żartujesz! – krzyknął Tom w niemal radosnym uniesieniu.

Papcio posłał mu chłodne spojrzenie, które Toma uciszyło – o co nie zawsze było łatwo.

– Synu, wiesz, co to jest historia?

– Eee... to wszystko, co się wydarzyło w przeszłości?

– Nie. – Przewiązywał się płóciennym pasem z pojemnikami na drobne monety. – Historia to zbiorowe i dziedziczne gównno rodzaju ludzkiego, wielka i stale rosnąca kupa łajna. Dziś stoimy na jej szczycie, ale wkrótce zostaniemy pogrzebani pod sraką następnych pokoleń. To dlatego ubrania twoich rodziców tak śmiesznie wyglądają na starych zdjęciach, że podam przykład. I jako ktoś, komu pisane jest utonąć w gównie jego dzieci i wnuków, myślę, że powinieneś być ciut bardziej wyrozumiały.

Tom otworzył usta, prawdopodobnie po to, żeby wyskoczyć z jakąś ciętą ripostą, po czym przezornie je zamknął.

Odezwał się George Preston, inny członek Zespołu Beagle.

– A ty jesteś kuglarzem z kuglarzy?

– Nie. Mój tato hodował bydło na ranchu w Oregonie; teraz prowadzą je moi bracia. Ja jestem czarną owcą rodziny i jestem z tego dumny jak cholera. No dobra, jeśli nie ma więcej pytań, koniec wygłupów i bierzcie się do roboty.

– Mogę jeszcze o coś spytać? – zapytała Erin.

– Tylko dlatego, żeś ładna.

– Co to znaczy „nosić futro”?

Papcio Allen się uśmiechnął i położył dłonie na ladzie pal-budy.

– Moja mała, domyślasz się, co to może znaczyć?

– No... tak.

Uśmiech rozszerzył się, obnażając wszystkie pożółkłe zęby w ustach naszego nowego szefa zespołu.

– To pewnie słusznie się domyślasz.

## 22.♥

Co robiłem w Joylandzie tego lata? Wszystko. Sprzedawałem bilety. Chodziłem z wózkiem z popcornem. Sprzedawałem słodkie placki, watę cukrową i tryliard hot dogów (które nazywaliśmy Hau-Dogami – pewnie się tego domyśliliście). Tak się składa, że dzięki Hau-Dogowi moje zdjęcie trafiło do gazety, choć akurat nie ja sprzedawałem tego feralnego psiaka, tylko George Preston. Byłem ratownikiem na plaży i nad Wesołym Jeziorem, krytym basenem, w którym kończyła się zjeżdżalnia Szust i Chlust. Płasałem z resztą Zespołu Beagle przy *Bird Dance Beat*, *Does Your Chewing Gum Lose Its Flavor on the Bedpost Overnight*, *Rippy-Rappy*, *Zippy-Zappy* i kilkunastu innych absurdalnych piosenkach w Tuptusiowej Wiosce, gdzie, mimo braku uprawnień, spędziłem też wiele w większości miłych chwil jako opiekun do dzieci. W Tuptusiowej Wiosce przyjętą reakcją na płacz któregoś z maluchów był okrzyk bojowy „Dąsy w uśmiech zmień!”, co mi się podobało i nabrałem w tym wprawy. To w Tuptusiowej Wiosce zdecydowałem, że posiadanie dzieci w przyszłości to rzeczywiście dobry pomysł, nie tylko marzenie z Wendy w tle.

Ja i wszyscy pozostali Weseli Pomocnicy nauczyliśmy się przemykać w mgnieniu oka z jednego końca Joylandu na drugi, korzystając albo z alejek za stoiskami, budkami i karuzelami, albo z jednego z trzech tuneli służbowych zwanych Joyland Dolny, Hound Dog Dolny i Bulwar. Przewoziłem tony śmieci, zwykle wózkiem elektrycznym, którym jeździłem po Bulwarze, mrocznej i złowieszczej arterii oświetlonej wiekowymi jarzeniówkami, które mrugały i brzęczały. Kilka razy pracowałem nawet jako techniczny artystów, którzy przyjeżdżali spóźnieni i bez własnej ekipy, wtedy taszczyłem wzmacniacze i monitory odsłuchowe.

Nauczyłem się gadki. Niektóre słowa – jak „zajawka”, czyli darmowy pokaz, czy „skapcianała”, jak się mówiło o zepsutej karuzeli – pochodziły z klasycznego kuglarskiego slangu i były stare jak świat. Inne określenia – na przykład „dzióbki” na ładne dziewczyny i „fumpy” na notorycznych zrzędów – występowały tylko w Joylandzie. Domyślałem się, że wszystkie lunaparki mają własne wersje gadki, ale każda z nich ma te same kuglarskie korzenie. „Młotkiem robiony” to szaraczek (zazwyczaj fump), który narzeka, że każe mu się stać w kolejce. Ostatnia godzina dnia pracy (w Joylandzie od dziesiątej do jedenastej wieczorem) to był



„spust”. Szaraczek, który przegrywa i żąda zwrotu kasy, to „pijawka”. „Duńka” to łazienka; na przykład: „Hej, Jonesy, skocz no do duńki przy Rakiecie na Księżyc – jakiś durny fump zarzygał umywalkę”.

Prowadzenie sklepików (zwanych kramikami) większości z nas przychodziło z łatwością, bo szczerze mówiąc, każdy, kto potrafi obliczyć, ile reszty wydać, ma wystarczające kwalifikacje, by sprzedawać popcorn czy handlować pamiątkami. Nauka kręcenia karuzelą była niewiele trudniejsza, ale z początku stresująca, ponieważ miało się w swoich rękach życie ludzi, w tym wielu małych dzieci.

## 23.♥

– Przyszedłeś na lekcję? – spytał mnie Lane Hardy, kiedy znalazłem się pod Carolina Spin. – To dobrze. W samą porę. Za dwadzieścia minut otwieramy. Załatwimy to tak, jak to robią w marynarce: zobacz, zrób, naucz kogoś. W tej chwili ten przykościsty chłopak, obok którego stałeś...

– Tom Kennedy.

– Jasne. W tej chwili Tom uczy się Diabelskich Fur. W którymś momencie, pewnie jeszcze dziś, on pokaże ci, jak je obsługiwać, a ty jemu, jak kręcić Spinem. Który, nawiasem mówiąc, jest Młynem Australijskim, co znaczy, że obraca się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– To ważne?

– Nie, ale myślę, że to ciekawe. W Stanach jest tylko kilka takich karuzeli. Ma dwie prędkości: wolną i bardzo wolną.

– Bo to karuzela dla babć.

– Trafiony-zatopiony. – Dla demonstracji pociągnął za długą dźwignię, którą operował na moich oczach tego dnia, kiedy dostałem pracę, po czym kazał mi chwycić za drążek z kierownicą rowerową u góry. – Czujesz to drgnięcie, kiedy wrzucam bieg?

– Tak.

– Tak się ją zatrzymuje. – Położył dłoń na mojej dłoni i pchnął drążek do oporu. Tym razem drgnięcie było mocniejsze i ogromne koło od razu znieruchomiało. Wagoniki kołysały się leniwie. – Na razie wszystko jasne?

– Chyba tak. Słuchaj, czy ja nie muszę mieć zezwolenia, licencji albo czegoś podobnego, żeby obsługiwać taki sprzęt?

– Masz prawo jazdy, nie?

– Jasne, z Maine, ale...

– W Karolinie Północnej ważne prawo jazdy wystarczy. Z czasem wprowadzą jakieś dodatkowe wymogi, zawsze tak jest, ale w tym roku masz wszystko, co trzeba. A teraz słuchaj uważnie, bo to najważniejsze. Widzisz ten żółty pasek z boku obudowy?

Widziałem. Był zaraz na prawo od pochylni prowadzącej na karuzelę.

– Na drzwiczkach każdego wagonika jest kalkomania z Wesołym Psem. Kiedy widzisz, że Pies jest na równi z tym żółtym paskiem, pchasz dźwizek do oporu i wagonik zatrzymuje się dokładnie tam, gdzie ludzie wsiadają. – Znów pchnął dźwignię do przodu. – Widzisz?

Przytaknąłem.

– Dopóki koło nie jest nawalone...

– Jakie?

– Zapelnione. Nawalone znaczy zapelnione. Nie pytaj mnie dlaczego. W każdym razie dopóki nie jest nawalone, przełączasz z superwolnej prędkości na stop i z powrotem. Dopiero kiedy wszystkie wagoniki są pełne, a tak zwykle powinno być, o ile sezon będzie udany, wrzucasz normalną, wolną prędkość. Dajemy im cztery minuty. – Wskazał swoje walizkowe radio. – To mój sprzęt, ale zasada jest taka, że kto puszcza karuzelę, wybiera muzykę. Tylko żadnego czadowego rock and rolla przed zachodem słońca... żadnych Who, Zepów, Stonesów i tak dalej. Jasne?

– Uhm. A jak mam wypuszczać ludzi?

– Dokładnie tak samo. Superwolne tempo, stop. Superwolne tempo, stop. Zawsze czekaj, aż żółty pasek będzie równo z Wesołym Psem, to wagonik zatrzyma się dokładnie przy pochylni. Powinieneś wyrabiać dziesięć kursów na godzinę. Jeśli koło za każdym razem będzie zapelnione, wychodzi w sumie ponad siedmiuset klientów, co daje prawie pięciopak.

– Czyli ile po ludzku?

– Pięć stów.

Spojrzałem na niego niepewnie.

– Chyba nie będę musiał naprawdę tego robić, co? To twoja karuzela.

– To karuzela Brada Easterbrooka, synu. Jak wszystkie tutaj. Ja jestem tylko jednym z wielu pracowników, choć robię tu już ładnych parę lat. Najczęściej ja będę sterował tą wciągarką, ale nie zawsze. I nie pękaj. Są wesołe miasteczka, w których takimi rzeczami zajmują się podpici wytatuowani harleyowcy i jeśli oni to potrafią, to ty też.

– Skoro tak twierdzisz.

Lane wskazał palcem w dal.

– Otworzyli bramę i oto nadchodzą szaraczki, wałą Joyland Avenue. Przez pierwsze trzy kursy będziesz ze mną. Później nauczysz resztę swojego zespołu co i jak, Gwiazdeczkę też. W porządku?

To wcale a wcale nie było w porządku – co, miałem posłać ludzi pięćdziesiąt metrów nad ziemię po pięciominutowym szkoleniu? Obłąd!

Lane ścisnął moje ramię.

– Poradzisz sobie, Jonesy. Dlatego nie wyskakuj mi tu z żadnym „skoro tak twierdzisz”. Powiedz, że będzie dobrze.

– Będzie dobrze – powtórzyłem.

– Grzeczny chłopiec. – Włączył radio, teraz podłączone do głośnika umieszczonego wysoko na konstrukcji Spina. The Hollies zaczęli śpiewać *Long Cool Woman in a Black Dress*, a Lane wyjął z tylnej kieszeni dżinsów rękawice z niewyprawionej skóry. – Spraw sobie takie, przydadzą ci się. I zacznij się uczyć bajeru.

Schylił się, chwycił mikrofon ręczny leżący na nieodłącznej skrzynce po pomarańczach, postawił na niej nogę i zaczął wabić klientów.

– Panie i panowie, witamy, na karuzelę zapraszamy, szybko, raz-dwa, spieszcie się, bo lato nie trwa wiecznie, ruszajcie w przestworza, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują, tu zabawa się zaczyna, chodźcie, wsiadajcie na Spina.

Opuścił mikrofon i mrugnął do mnie.

– To mój bajer, mniej więcej; po drinku czy trzech jest dużo lepszy. Będziesz musiał wymyślić własny.

Kiedy po raz pierwszy samodzielnie obsługiwałem Spina, ręce latały mi z przerażenia, ale pod koniec tygodnia radziłem sobie jak stary wyga (choć Lane twierdził, że mój bajer pozostawia sporo do życzenia). Nauczyłem się też prowadzić Wirujące Filiżanki i Diabelskie Fury... chociaż w przypadku tych ostatnich cała sztuka sprowadzała się do wciskania zielonego przycisku START, czerwonego guzika STOP i rozdzielania samochodzików, które szczyły się gumowymi zderzakami, co zdarzało się co najmniej cztery razy podczas każdej czterominutowej przejażdżki. Tyle że kiedy obsługiwałeś Diabelskie Fury, nie nazywałeś tego przejażdżką; to był szus.

Poznałem gadkę; poznałem topografię Joylandu zarówno nad, jak i pod ziemią; nauczyłem się handlować w kramikach, prowadzić grę pod nieobecność ajenta i dawać pluszaki ładnym dzióbkom. Zajęło mi jakiś tydzień, żeby większość z tego opanować, i dwa tygodnie,

żeby poczuć się pewnie. Jednak o co chodzi z noszeniem futra, dowiedziałem się już o wpół do pierwszej pierwszego dnia pracy, i miałem to szczęście – a może pecha – że Bradley Easterbrook był w tym czasie w Tuptusiowej Wiosce, gdzie siedział na ławce i jadł swój zwykły lunch złożony z kiełków fasoli i tofu; nietypowe danie jak na park rozrywki, ale trzeba pamiętać, że jego układ trawienny nie był nowy od czasów Greta Garbo i dzinu pędzonego w wannie.

Po moim pierwszym improwizowanym występie w roli Wesołego Psa Howiego nosiłem futro jeszcze wiele razy. Bo, proszę ja was, byłem w tym dobry. I pan Easterbrook wiedział, że byłem w tym dobry. Miałem je na sobie mniej więcej miesiąc później, kiedy na Joyland Avenue spotkałem dziewczynkę w czerwonej czapce.

## 24.♥

Tego pierwszego dnia Joyland był jak dom wariatów, bez dwóch zdań. Do dziesiątej obsługiwałem Carolina Spin z Lane'em, a przez następne półtorej godziny sam, podczas gdy on latał po lunaparku i gasił wszelkie pożary towarzyszące dniowi otwarcia. Do tego czasu przestałem się bać, że karuzela się zepsuje i stracę nad nią kontrolę jak w tym starym filmie Alfreda Hitchcocka. Najbardziej przerażająca była ufność ludzi. Ani jeden tata prowadzący ze sobą dzieci nie zajrzał na moje stanowisko, żeby spytać, czy wiem, co robię. Nie wyrobiłem tylu kursów, ile powinienem – tak bardzo koncentrowałem się na tym cholernym żółtym pasku, że głowa mnie rozboleła – ale na każdym miałem komplet.

Raz wpadła Erin, śliczna jak z obrazka w swojej zielonej sukience Gwiazdeczki, i zrobiła zdjęcia kilku rodzinom czekającym na swoją kolej na karuzeli. Mnie też – do dzisiaj gdzieś mam tę fotkę. Kiedy wielkie koło ruszyło, złapała mnie za ramię. Krople potu perliły się na jej czole, usta miała rozchylone w uśmiechu, oczy jej błyszczały.

– Świetna sprawa, co? – spytała.

– Jeśli tylko nikogo nie zabiję, jasne – powiedziałem.

– Gdyby jakiś dzieciak wypadł, pamiętaj, żeby go złapać. – I tak oto przysporzywszy mi kolejnego zmartwienia, poleciała szukać następnych ludzi do zdjęć. Nie brakowało chętnych do pozowania pięknej rudowłosej dziewczynie w letni poranek. Poza tym w gruncie rzeczy miała rację. To była świetna sprawa.

Koło wpół do dwunastej wrócił Lane. Wtedy już czułem się przy Spinie na tyle pewnie, że dość niechętnie oddałem mu prymitywne stery.

– Kto jest szefem twojego zespołu, Jonesy? Gary Allen?

– Zgadza się.

– W takim razie idź do jego pal-budy i zobacz, co dla ciebie ma. Przy odrobinie szczęścia wyśle cię do trupiarni na lunch.

– Co to jest trupiarnia?

– Miejsce, gdzie pracownicy spędzają przerwę. W większości lunaparków mogą co najwyżej pójść na parking albo za ciężarówkę, ale tu, w Joylandzie, mamy luksus. Na

skrzyżowaniu Bulwaru i Hound Dog Dolnego jest porządny pokój socjalny. Musisz zejść po schodach między sprzedawcą baloników a pokazem rzucania nożami. Spodoba ci się, ale możesz jeść, tylko jeśli Papcio się zgodzi. Nie zamierzam podpaść temu staremu bydlakowi. Jego zespół to jego zespół; ja mam własny. Wziąłeś jakiś pojemnik na obiad?

– Nie wiedziałem, że trzeba.

Uśmiechnął się szeroko.

– To teraz już wiesz. Dziś możesz wpaść do baru Erniego, tej budy z plastikowym kogutem na dachu. Serwuje smażonego kurczaka. Pokaż mu identyfikator z Joylandu, to da ci zniżkę pracowniczą.

W końcu rzeczywiście zjadłem kurczaka u Erniego, ale dopiero o drugiej po południu. Papcio miał wobec mnie inne plany.

– Leć do składu kostiumów... jest między administracją a stolarnią. Powiedz Dottie Lassen, że cię przysłałem. Zaraz babie gorset pęknie, tak panikuje.

– Mam ci najpierw pomóc załadować broń? – Na strzelnicy też był komplet, przy ladzie tłoczyły się nastolatki pragnące wygrać te nieosiągalne pluszaki. Inne ówoki (bo już tak o nich myślałem) czekały w kolejce za nimi. Ręce Papcia Allena były w ciągłym ruchu, kiedy do mnie mówił.

– Masz dosiąść konia i ruszyć z kopyta. Robiłem w tym fachu, jak cię jeszcze na świecie nie było. Który ty właściwie jesteś, Jonesy czy Kennedy? Wiem, że nie jesteś tym osłem w studenckiej mycce, ale nic poza tym nie pamiętam.

– Jestem Jonesy.

– Cóż, Jonesy, czeka cię pouczająca godzina w Tuptusiowej Wiosce. Przynajmniej pouczająca dla dzieciaków. Dla ciebie może nie tak bardzo. – Obnażył żółte kły w charakterystycznym uśmiechu Papcia Allena, tym, który upodabniał go do starego rekina. – Niech ci futro lekkim będzie.

## 25.♥

Skład kostiumów też był jak dom wariatów, pełen kobiet biegających w tę i we w tę. Dottie Lassen, chuda dama, której gorset potrzebny był tak jak mnie buty podwyższające, rzuciła się na mnie, ledwie wszedłem do środka. Wczepiła długie paznokcie w moją pachę i pociągnęła mnie za sobą obok kostiumów klaunów i kowbojów, wielkiego przebrania Wuja Sama (przy którym stały oparte o ścianę szczudła), dwóch strojów księżniczki, jednego wieszaka z sukienkami Gwiazdeczek i drugiego ze staromodnymi kostiumami kąpielowymi w stylu końca dziewiętnastego wieku – na noszenie ich, jak się później dowiedziałem, byliśmy skazani, kiedy pełniliśmy dyżury jako ratownicy. Na samym końcu jej małego, ciasnego imperium zobaczyłem tuzin sflaczałych psów. Były to psy Howie, każdy z radosnym uśmiechem Wesołego Psa mówiącym „jestem głupi i mi z tym dobrze”, jego wielkimi niebieskimi oczami i puszystymi stojącymi uszami. Na plecach kostiumów były suwaki biegnące od szyi po nasadę ogona.

– Chryste, aleś ty wielki! – wykrzyknęła Dottie. – Dzięki Bogu, że tydzień temu dałam XL-kę do naprawy. Chłopak, który ostatnio ją nosił, zrobił dziury pod pachami. I pod ogonem. Pewnie jadł meksykańskie zarcie. – Zerwała Howiego w rozmiarze XL z wieszaka i wcisnęła mi w rękę. Ogon okręcił się wokół mojej nogi jak pyton. – Idziesz do Tuptusiowa, i to raz-kurde-dwa. Miał się tym zająć Butch Hadley z Zespołu Corgi... tak przynajmniej myślałam, ale mówi, że cały jego zespół przepadł gdzieś z kluczem do lunaparku. – Nie miałem pojęcia, co to znaczy, a Dottie nie dała mi szansy o to zapytać. Przewróciła oczami jak ktoś w dobrym humorze albo na krawędzi szaleństwa i mówiła dalej. – Zapytasz: „Czemu to takie ważne?”. Powiem ci czemu, żółtodziobie: pan Easterbrook zwykle jada tam lunch, a w dniu otwarcia to już na pewno, i jeśli nie zastanie Howiego, będzie bardzo zawiedziony.

– I kogoś zwolni?

– Nie, po prostu będzie bardzo zawiedziony. Jak trochę tu pobędziesz, przekonasz się, że to wystarczy. Nikt nie chce sprawić mu zawodu, bo jest wielkim człowiekiem. I fajnie, ale ważniejsze jest to, że jest dobrym człowiekiem. W tej branży dobrych ludzi ze świecą szukać. – Spojrzała na mnie i wydała dźwięk jak zwierzątko z łapką uwięzioną w sidłach. – Chryste Panie, aleś ty wielki! I zielony jak szczypiorek. Ale nic się na to nie poradzi.



Miałem z miliard pytań, lecz język stanął mi kołkiem. Mogłem tylko patrzeć na oklapłego Howiego. Który patrzył na mnie. Wiecie, jak się w tamtej chwili czułem? Jak James Bond w tym filmie, w którym leży przywiązany do takiego zwariowanego przyrządu do ćwiczeń. „Oczekuje pan, że będę mówił?”, pyta Goldfingera, a Goldfinger odpowiada z mrozącą krew w żyłach wesołością: „Nie, panie Bond! Oczekuję, że pan umrze!”. Ja byłem przywiązany do maszyny szczęścia zamiast maszyny do ćwiczeń, ale hej, idea była taka sama. Bez względu na to, jak usilnie starałem się tego pierwszego dnia nadażyć, cholera zasuwała coraz szybciej.

– Idź z tym do trupiarni, chłopcze. Proszę, powiedz, że wiesz, gdzie to jest.

– Wiem. – Na szczęście Lane Hardy mi powiedział.

– Cóż, jeden zero dla nas. Jak tam przyjdiesz, rozbierz się do majtek. Jeśli będziesz miał na sobie coś więcej, ugotujesz się w tym futrze. I... ktoś ci już powiedział, jaka jest pierwsza zasada lunaparku, chłopcze?

Tak sądziłem, ale uznałem, że bezpieczniej będzie trzymać język za zębami.

– Zawsze wiedz, gdzie masz portfel. Ten lunapark nie jest nawet w połowie tak szemrany jak niektóre, w których pracowałam za młodu... dzięki Bogu, ale pierwsza zasada obowiązuje. Daj, przechowam ci go.

Bez sprzeciwu oddałem jej portfel.

– Teraz idź. Ale jeszcze zanim się rozbierzesz, wypij dużo wody. Tyle żeby ci brzuch napęczniał. I nic nie jedz, choćbyś umierał z głodu. Znałam dzieciaki, które w przebraniu Howiego dostawały udaru słonecznego i rzygały, a skutki nie są ładne dla oka. Kostium potem prawie zawsze jest do wyrzucenia. Opij się, rozbierz, włóż futro, poproś kogoś, żeby cię zapiął, i zasuważ Bulwarem do Tuptusiowa. Jest strzałka, nie da się jej przeoczyć.

Spojrzałem z powątpiewaniem na wielkie niebieskie ślepie Howiego.

– Są z siateczki – stwierdziła. – Bez obaw, będziesz wszystko widział.

– Ale co mam robić?

Spojrzała na mnie, początkowo z poważną miną. Potem jej twarz – nie tylko usta i oczy, ale całą twarz – opromienił szeroki uśmiech. Towarzyszył mu śmiech w postaci dziwnego klangoru, który zdawał się dobywać z jej nosa.

– Poradzisz sobie – powiedziała. Wszyscy mi tak mówili. – Zastosuj metodę Stanisławskiego, chłopcze. Znajdź w sobie psa.

## 26.♥

W trupiarni zastałem przy lunchu kilkunastu nowych pracowników i garstkę weteranów. Wśród żółtodziobów były dwie Gwiazdeczki, ale nie miałem czasu się krępować. Opilem się wody z wodotrysku, rozebrałem do majtek i tenisówek, rozłożyłem kostium Howiego i wcisnąłem nogi w jego tylne łapy, do samego końca.

– Futro! – zakrzyknął jeden ze starych wiarusów i uderzył pięścią w stół. – Futro! Futro! Futro!

Pozostali dołączyli do niego i trupiarnia rozbrzmiała skandowaniem, podczas gdy ja stałem w majtkach ze sflaczałym Howiem rozlewającym się wokół moich łydek. To było tak, jakbym znalazł się w samym środku rozróby w więziennej stołówce. Rzadko kiedy czułem się tak wybitnie głupio... czy tak dziwnie bohatersko. Bądź co bądź, to był show-biznes i oto ratowałem sytuację. Przez chwilę nie miało znaczenia, że nie wiem, co właściwie, do cholery, robię.

– Fu-tro! Fu-tro! FU-TRO! FU-TRO!

– Niechże ktoś mnie zapnie! – krzyknąłem. – Muszę lecieć do Tuptusiowa, i to już!

Jedna z dziewczyn zrobiła mi tę przysługę i natychmiast zrozumiałem, dlaczego noszenie futra to taka duża sprawa. Trupiarnia była klimatyzowana – jak cały Joyland Dolny – ale ze mnie już lał się pot.

Podszedł jeden z weteranów i poklepał mnie życzliwie po głowie Howiego.

– Podwiozę cię, synu. Wózek jest zaraz obok. Wskakuj.

– Dzięki. – Mój głos był stłumiony.

– Hau-hau, Burek! – zawołał ktoś i wszyscy zanieśli się śmiechem.

Ruszyliśmy Bulwarem w upiornym, rozmigotanym świetle jarzeniówek, siwowłosy weteran w zielonym kombinezonie woźnego i wielki, niebieskooki owczarek niemiecki na miejscu drugiego pilota. Przy schodach oznakowanych strzałką i namalowanym na pustakach słowem TUPTUSIOWO mój kierowca powiedział:

– Nie odzywaj się. Howie nic nie mówi, tylko przytula dzieci i głaszcze je po głowach. Powodzenia i jak poczujesz, że odpływasz, spadaj stamtąd w diabły. Dzieci nie chcą widzieć, jak Howie mdleje od udaru słonecznego.

– Nie mam pojęcia, co robić – zauważyłem. – Nikt mi nie powiedział.

Nie wiem, czy ten facet był kuglarzem z kuglarzy, ale co nieco o Joylandzie wiedział.

– Nieważne. Wszystkie dzieciaki kochają Howiego. One będą wiedziały, co robić.

Wygramoliłem się z wózka, o mało nie przewróciłem się o własny ogon, po czym chwyciłem sznurek w przedniej lewej łapie i pociągnąłem do góry, żeby to cholerstwo nie plątało mi się pod nogami. Wszedłem chwiejnym krokiem po schodach i zacząłem się zmagać z klamką w drzwiach u ich szczytu. Słyszałem melodię mgliście pamiętaną z wczesnego dzieciństwa. Wreszcie udało mi się nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi. Przez siateczkowe niebieskie oczy Howiego uderzyły promienie majowego słońca, na chwilę mnie oślepiły.

Muzyka, teraz już głośniejsza, leciała z głośników w górze i poznałem, co to za melodia – *Hokey Pokey*, nieśmiertelny hit żłobków. Zobaczyłem huśtawki, ślizgawki, wymyślne drabinki i małą karuzelę popychaną przez żółtodzioba w wielkich puszystych króliczych uszach i z małym futrzastym ogonkiem przyczepionym do siedzenia dzinsów. Obok mnie przejechała Ciuchcia Tupcia, miniaturowy pociąg osiągający zawrotną prędkość pięciu kilometrów na godzinę, wyładowany po brzegi dziećmi posłusznie machającymi rączkami do zbrojnych w aparaty fotograficzne rodziców. Wokół przewalały się tabuny maluchów pilnowanych przez licznych pracowników sezonowych i dwóch pełnoetatowych opiekunów, którzy zapewne mieli stosowne uprawnienia. Ci dwoje, mężczyzna i kobieta, ubrani byli w bluzy z napisem KOCHAMY WESOŁE DZIECI. Bezpośrednio przede mną znajdował się podłużny budynek, ośrodek opieki dziennej zwany Chatką Howiego.

Zobaczyłem też pana Easterbrooka. Siedział na ławce pod parasolem z napisem JOYLAND, ubrany w swój garnitur przedsiębiorcy pogrzebowego. Jadł pałeczkami lunch. W pierwszej chwili mnie nie zauważył, bo patrzył na rządki dzieci prowadzonych do Chatki Howiego przez dwóch żółtodziobów. Tam można było zostawić maluchy (dowiedziałem się tego później) na maksymalnie dwie godziny, w czasie gdy rodzice zabierali starsze dzieci na większe karuzele albo szli na lunch do Rock Lobster, restauracji działającej w lunaparku.

Później dowiedziałem się też, że do Chatki Howiego przyjmowano dzieci w wieku od trzech do sześciu lat. Wiele maluchów prowadzonych tam w tej chwili zachowywało się

względnie spokojnie, pewnie były weteranami przedszkoli z rodzin, w których oboje rodzice pracowali. Reszta nie znosiła tego dobrze. Może początkowo jako tako trzymały fason, kiedy mamusia i tatuś powiedzieli im, że za godzinę wrócą (jakby czterolatek miał pojęcie, co to jest godzina), ale teraz zostały same w hałasie, wśród obcych, z dala od mamusi i tatusia. Niektóre płakały. Schowany w kostiumie Howiego, spocony jak ruda mysz, patrzyłem przez siateczkę osłaniającą otwory na oczy i myślałem sobie, że jestem świadkiem wyjątkowej amerykańskiej formy znęcania się nad dziećmi. Jaki jest sens przyprowadzania dziecka – w dodatku małego dziecka, na litość boską! – do wielkiego, pełnego zgiełku parku rozrywki tylko po to, żeby zostawić je z grupą obcych opiekunów? Co z tego, że na krótko.

Opiekunowie widzieli, że łyży roznoszą się niczym epidemia (lęk u małych dzieci to tak naprawdę choroba zakaźna jak odra), ale ich twarze mówiły, że nie mają pojęcia, jak temu zaradzić. Bo i skąd mieliby wiedzieć? To był Pierwszy Dzień i zostali rzućeni na głęboką wodę praktycznie bez przygotowania, tak jak ja, kiedy Lane Hardy poszedł i powierzył mojej pieczy wielki diabelski młyn. Przynajmniej dzieci poniżej ósmego roku życia nie mogą jeździć Spinem bez dorosłego, pomyślałem. Te maluchy są w zasadzie pozostawione samym sobie.

Ja też nie wiedziałem, co robić, ale uznałem, że trzeba próbować. Z podniesionymi przednimi łapami ruszyłem w stronę rzędka dzieci, merdając ogonem jak wariat (nie widziałem go, ale to czułem). I w tej samej chwili, kiedy maluchy zobaczyły mnie i zaczęły pokazywać sobie palcami, doznałem olśnienia. Dzięki tej muzyce. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu Drogi Żelkowej i Alei Lizaka, które szczęśliwym trafem znajdowało się dokładnie pod dwoma ryczącymi głośnikami. Jestem pewien, że widok psa mierzącego prawie dwa metry od łap po puszyste stojące uszy robił nie lada wrażenie. Ukłoniłem się dzieciakom, które patrzyły na mnie z rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczami. I zacząłem tańczyć Hokey Pokey.

Smutek i przerażenie spowodowane nieobecnością rodziców zostały zapomniane, przynajmniej tymczasowo. Dzieci śmiały się, niektóre z policzkami wciąż błyszczącymi od łez. Nie odważyły się podejść blisko, kiedy odstawiałem swój niezdatny taniec, ale pchały się jedno przez drugie do przodu. Było zadziwienie, ale ani krzty strachu. Wszyscy znali Howiego; dzieci z obu Karolin oglądały jego popołudniowy program telewizyjny i nawet te z tak odległych, egzotycznych miejsc jak St. Louis czy Omaha widziały reklamy między kreskówkami nadawanymi w sobotni poranek. Rozumiały, że Howie, choć to duży pies, jest grzeczny. Nie pogryzie ich. Jest ich przyjacielem.

Wysunąłem lewą nogę w przód; wysunąłem lewą nogę w tył; wysunąłem lewą nogę w przód i wywijałem nią co sił. Zakręciłem się wkoło, bo – jak wie każde dziecko w Ameryce – gdy tak robisz, jest wesoło. Zapomniałem, że jest mi gorąco i niewygodnie. Nie myślałem o tym, że majtki wrzynają mi się w tyłek. Potem miałem dostać potwornego bólu głowy od przegrzania, ale w tamtej chwili czułem się niezłe – ba, doskonale. I wiecie co? Zupełnie zapomniałem o Wendy Keegan.

Kiedy *Hokey Pokey* przeszło w piosenkę otwierającą *Ulicę Sezamkową*, przestałem tańczyć, padłem na wywatowane kolano i rozrzuciłem ręce jak Al Jolson.

– HOWWWIE! – krzyknęła jakaś dziewczynka i nawet teraz, po tylu latach, pamiętam czystą nutę zachwytu w jej głosie. Pobiegła do mnie z różową spódniczką fruującą wokół pulchnych nóżek. To do reszty przełamało lody. Szereg się rozsypał.

„Dzieciaki będą wiedziały, co robić”, powiedział stary wiarus. Miał całkowitą rację. Najpierw opadły mnie ze wszystkich stron, potem obaliły na ziemię i wreszcie ze śmiechem rzuciły się mnie przytulać. Dziewczynka w różowej spódniczce raz po raz całowała mój pysk, krzycząc „Howie, Howie, Howie!”.

Podchodzili niektórzy rodzice z aparatami fotograficznymi, równie zafascynowani. Machając łapami, wywalczyłem sobie trochę miejsca, przewróciłem się na bok i wstałem, zanim dzieci zmiażdżyły mnie swoją miłością. Chociaż w tamtej chwili odwzajemniałem ją w pełni. Co tam upał, co tam niewygodna – było fajnie.

Nie zauważyłem, że pan Easterbrook sięgnął do kieszeni swojej marynarki przedsiębiorcy pogrzebowego, wyjął walkie-talkie i powiedział do niego kilka słów. Wiedziałem tylko, że piosenka z *Ulicy Sezamkowej* nagle ucichła i znów zaczęło się *Hokey Pokey*. Wystawiłem prawą łapę w przód, potem prawą łapę w tył. Dzieci od razu wciągnęły się w zabawę, nie odrywały ode mnie oczu, nie chcąc przegapić następnego ruchu i zostać w tyle.

Wkrótce wszyscy tańczyliśmy *Hokey Pokey* na skrzyżowaniu Żelkowej i Lizaka. Opiekunowie przyłączyli się do nas. O dziwo, niektórzy rodzice też. Wystawiłem w przód i w tył nawet mój długi ogon. Dzieci, roześmiane od ucha do ucha, obróciły się wkoło i zrobiły to co ja, tylko że niewidzialnymi ogonami.

Pod koniec piosenki wykonałem lewą łapą przerysowany gest mówiący „Za mną, dzieci!” (niechcący szarpnąłem przy tym ogonem tak gwałtownie, że mało się uciążliwy skurwiel nie urwał) i zaprowadziłem je do Chatki Howiego. Poszły posłusznie jak dziatwa z Hameln za

szczurołapem i ani jedno nie płakało. Jeśli mam być szczery, nie był to najlepszy dzień w mojej błyskotliwej karierze Wesołego Psa Howiego, ale na pewno załapał się do ścisłej czołówki.

## 27.♥

Kiedy dzieci bezpiecznie weszły do Chatki Howiego (dziewczynka w różowej spódniczce przystanęła w drzwiach, żeby pomachać mi na pożegnanie), odwróciłem się i gdy znieruchomiałem, świat nie przestał się kręcić razem ze mną. Pot zalewał mi oczy, Tuptusiową Wioskę i wszystko w niej widziałem podwójnie. Zachwiałem się na tylnych łapach. Cały pokaz, od moich pierwszych wygibasów do chwili, kiedy dziewczynka pomachała mi na pożegnanie, trwał zaledwie siedem minut – na pewno nie więcej niż dziewięć – ale byłem kompletnie wypompowany. Powlokłem się ociężale z powrotem w kierunku, z którego przyszedłem, niepewny, co robić dalej.

– Synu – powiedział ktoś. – Chodź tutaj.

To był pan Easterbrook. Trzymał otwarte drzwi w głębi snack-baru Studnia Życzeń. Możliwe, że były to te same drzwi, którymi wszedłem, ba, prawie na pewno, ale wtedy byłem zbyt przejęty i rozemocjonowany, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły.

Wpuścił mnie do środka, zamknął drzwi za nami i pociąg-nął za suwak na plecach kostiumu. Zaskakująco ciężka głowa Howiego opadła z mojej i poczułem cudowną klimatyzację. Moje wciąż jeszcze blade po zimie ciało (niedługo miało takie pozostać) obsypała gęsia skórka. Oddychałem głęboko.

– Usiądź na schodach – poradził pan Easterbrook. – Zaraz wezwę kogoś, żeby cię podwiózł, ale na razie musisz złapać oddech. Pierwsze występy w roli Howiego zawsze są trudne, a twój był wyjątkowo forsowny. I nadzwyczajny.

– Dzięki. – Tylko tyle mogłem z siebie wydobyć. Dopóki nie znalazłem się z powrotem w chłodnej ciszy, nie zdawałem sobie sprawy, jak bliski byłem kresu wytrzymałości. – Bardzo dziękuję.

– Opuść głowę, jeśli ci słabo.

– Nie jest mi słabo. Ale boli mnie głowa. – Wysunąłem rękę z Howiego i otarłem ociekającą potem twarz. – Chyba mi pan uratował życie.

– W upalne dni, w lipcu i sierpniu, kiedy wilgotność jest duża, a temperatura przekracza trzydzieści stopni, nie wolno nosić Howiego dłużej niż kwadrans. Gdyby ktoś wmawiał ci co

innego, przyślij go prosto do mnie. I radzę, żebyś przed każdym występem łyknął ze dwie tabletki soli. Chcemy, żebyście wy, wakacyjni, ciężko pracowali, ale nie chcemy was zabić.

Wyjął walkie-talkie i cicho powiedział kilka słów. Po pięciu minutach znajomy stary wiarus przyjechał swoim wózkiem z dwoma anacinami i butelką cudownie zimnej wody. Tymczasem pan Easterbrook usiadł obok mnie, opuszczając się na najwyższy stopień schodów prowadzących na Bulwar z kruchą ostrożnością, która trochę mnie zaniepokoiła.

– Jak się nazywasz, synu?

– Devin Jones, proszę pana.

– Wołają na ciebie Jonesy? – Nie czekał na moją odpowiedź. – Na pewno, tak to bywa na jarmarku, a Joyland to tak naprawdę nic innego jak lekko zakamuflowany jarmark. Takie miejsca już długo nie pociągną. Światem rozrywki rządzić będą Disneye, Knott's Berry Farm i inne takie, choć może nie tu, na środkowym Południu. Powiedz mi, pomijając gorąco, jak ci się podobał twój pierwszy występ w futrze?

– Bardzo.

– Dlaczego?

– Chyba dlatego, że niektóre dzieci płakały.

Uśmiechnął się.

– I...?

– Jeszcze trochę, a płakałyby wszystkie, ale temu zapobiegłem.

– Tak. Zatańczyłeś Hokey Pokey. Błysk geniuszu. Skąd wiedziałeś, że to poskutkuje?

– Nie wiedziałem. – Ale tak naprawdę... wiedziałem. Gdzieś w głębi ducha wiedziałem.

Uśmiechnął się.

– W Joylandzie rzucają nowych pracowników na głęboką wodę praktycznie bez przygotowania, bo w niektórych ludziach, w co bardziej utalentowanych jednostkach, wyzwala to pewną spontaniczność, która jest czymś wyjątkowym i niezwykle cennym tak dla nas, jak i dla naszych klientów. Czy ty dzisiaj dowiedziałeś się czegoś o sobie?

– O rany, nie wiem. Może. Ale... mogę coś powiedzieć, proszę pana?

– Śmiało.

Zawahałem się, po czym postanowiłem wziąć go za słowo.



– Zostawianie tych dzieci samych z opiekunami w parku rozrywki... to wydaje się, sam nie wiem, trochę okrutne. – Pospiesznie dodałem: – Chociaż Tuptusiowo to świetne miejsce dla maluchów. Wesołe.

– Musisz coś zrozumieć, synu. Joyland utrzymuje się na... o takim plusie. – Zbliżył kciuk na ułamek centymetra do palca wskazującego. – Kiedy rodzice wiedzą, że mogą liczyć na opiekę dla swoich pociech nawet przez parę godzin, przyjeżdżają całą rodziną. Gdyby musieli zostawić dziecko w domu i wynająć opiekunkę, nie przyjechaliby w ogóle i nasze zyski spadłyby do zera. Rozumiem twój punkt widzenia, ale ja mam inny. Większość tych maluchów nigdy nie była w takim miejscu jak to. Będą je wspominać jak swój pierwszy film albo pierwszy dzień w szkole. Dzięki tobie nie zapamiętają tego, że płakali, bo rodzice na krótko zostawili ich samych; zapamiętają to, że tańczyli Hokey Pokey z Wesołym Psem Howiem, który pojawił się jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki.

– Może i tak.

Wyciągnął ręce – nie do mnie, ale do Howiego. Mówił dalej, głaszcząc futro sękatymi palcami.

– W parkach rozrywki Disneya wszystko działa według scenariusza, a tego nie znoszę. Nie znoszę. Moim zdaniem to, co robią w Orlando, to stręczenie zabawy. Ja jestem fanem improwizacji i raz na jakiś czas spotykam kogoś, kto jest geniuszem improwizacji. To możesz być ty. Za wcześnie, żeby mieć co do tego pewność, ale tak, to możesz być ty. – Położył sobie dłonie na krzyżu i przeciągnął się. Usłyszałem serię niepokojąco głośnych trzasków. – Mogę zabrać się z tobą do trupiarni? Chyba wystarczy mi słońca jak na jeden dzień.

– Mój wózek to pański wózek. – Ponieważ należał do niego cały Joyland, to była dosłowna prawda.

– Sądzę, że tego lata będziesz często nosił futro. Większość młodych ludzi traktuje to jako ciężar, nawet karę. Myślę, że w twoim przypadku będzie inaczej. Mylę się?

Nie mylił się. Od tego czasu pracowałem w wielu różnych miejscach, a moja obecna robota w redakcji – pewnie ostatnia, zanim wpadnę w szpony emerytury – jest świetna, ale nigdy nie czułem się tak dziwacznie szczęśliwy, tak pewny tego, że znalazłem swoje miejsce na ziemi, jak wtedy, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat, nosiłem futro i tańczyłem Hokey Pokey w upalny czerwcowy dzień.

Improwizacja to jest to.

## 28.♥

Gdy lato się skończyło, Tom, Erin i ja pozostaliśmy przyjaciółmi. Z Erin przyjaźnię się do dziś, choć ostatnio jesteśmy w zasadzie tylko e-mailowymi i facebookowymi kumplami, którzy czasem jedzą razem lunch w Nowym Jorku. Nie poznałem jej drugiego męża. Mówi, że to miły gość, a ja jej wierzę. Bo i dlaczego nie? Po osiemnastu latach małżeństwa z Idealem Miłego Gościa miała poprzeczkę zawieszoną na tyle wysoko, że trudno oczekiwać, by zadowolila się byle ofertą.

Wiosną 1992 roku u Toma wykryto raka mózgu. Pół roku później już nie żył. Kiedy zadzwonił i powiedział mi, że jest chory, mówiąc powoli, nie tak jak zwykle, z prędkością karabinu maszynowego – znak, że stalowa kula burząca jego mózg już robiła swoje – byłem oszołomiony i przygnębiony, jak chyba każdy, kto dostaje wiadomość, że człowiek, który powinien być w kwiecie wieku, zbliża się do mety. Aż chce się spytać, gdzie w tym sprawiedliwość. Czy Tomowi nie należało się jeszcze kilka pięknych chwil, na przykład narodziny wnucząt i może te wymarzone wakacje na Maui?

W Joylandzie raz słyszałem, jak Pappio Allen mówił o paleniu interesu. W gadce oznacza to jawne oszukiwanie ówków w grze, która z założenia ma być czysta. Przypomniało mi się to po raz pierwszy od lat tego dnia, kiedy Tom zadzwonił ze swoją złą wieścią.

Ale umysł broni się, póki może. Gdy mija pierwszy szok po usłyszeniu takiej nowiny, człowiek myśli sobie: No dobra, jest źle, jasna sprawa, ale to jeszcze nie koniec; może jest cięń szansy. Nawet jeśli dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi, którzy wyciągają tę kartę, umiera, zostaje jeszcze pięć procent szczęśliwców. Poza tym lekarze co rusz myślą się w diagnozach. No i jeśli wszystko inne zawiedzie, czasem zdarzają się cuda.

Tak sobie człowiek myśli i pewnego dnia odbiera telefon. Kobieta na drugim końcu linii była kiedyś piękną młodą dziewczyną, która biegała po Joylandzie we fruwającej zielonej sukience i zabawnej czapeczce à la Robin Hood, z wielkim starym aparatem Speed Graphic w ręku, i prawie żaden zaczepiony szaraczek nie potrafił jej odmówić. Bo i jakżeby mógł powiedzieć „nie” tym płomiennym rudym włosom, temu entuzjastycznemu uśmiechowi? Jak można odmówić Erin Cook?

Cóż, Bóg jej odmówił. Bóg spalił interes Tomowi Kennedy'emu i jej przy okazji też. Kiedy podniosłem słuchawkę o wpół do szóstej w piękne październikowe popołudnie w Westchester, tamta dziewczyna stała się kobietą, której głos, niewyraźny od łez, wydawał się stary i śmiertelnie zmęczony.

– Tom umarł o drugiej dziś po południu. Odszedł w spokoju. Nie mógł mówić, ale był świadomy. On... Dev, ścisnął moją dłoń, kiedy się z nim zęgnąłem.

– Żałuję, że mnie z wami nie było – powiedziałem.

– Tak. – Jej głos zadrżał, po czym znów stał się pewny. – Tak, byłoby miło.

Myślisz sobie: No dobra, wszystko rozumiem, jestem przygotowany na najgorsze – ale przez cały czas masz promyk nadziei i to właśnie cię najbardziej rozwała. Dobija cię.

Porozmawiałem z nią, powiedziałem jej, jak bardzo ją kocham i jak bardzo kochałem Toma, powiedziałem, że tak, przyjadę na pogrzeb i jeśli tylko mogę coś przedtem zrobić, niech zadzwoni. O każdej porze dnia i nocy. Potem odłożyłem słuchawkę, zwiesiłem głowę i ryczałem jak bóbr, aż mi łez zabrakło.

Koniec mojej pierwszej miłości nie może się równać ze śmiercią starego przyjaciela i rozpaczą starej przyjaciółki, ale przebiegał według tego samego schematu. Dokładnie. I jeśli wydawało mi się, że to koniec świata – z czego wzięły się najpierw te myśli samobójcze (cóż, że głupie i snute bez przekonania), a potem radykalna zmiana mojego dotychczas niekwestionowanego kursu – musicie zrozumieć, że nie miałem skali, według której mógłbym ocenić to, co się stało. To się nazywa młodość.

## 29.♥

W miarę jak mijały kolejne dni czerwca, zaczęło do mnie docierać, że mój związek z Wendy jest chory jak róża Williama Blake'a, ale nie dopuszczałem do siebie myśli, że jest śmiertelnie chory, nawet kiedy objawy stały się aż nadto wyraźne.

Na przykład listy. W pierwszym tygodniu pobytu u pani Shoplaw napisałem do Wendy aż cztery, i to długie, mimo że w Joylandzie harowałem jak wół i co wieczór wlokłem się do mojego pokoju na piętrze z głową pełną nowych informacji i nowych doświadczeń, czując się jak dziecko, które w połowie semestru trafiło na trudny kurs uniwersytecki (nazwijmy go fizyką zabawy dla zaawansowanych). W odpowiedzi dostałem jedną jedyną widokówkę z Boston Common na awersie i przedziwną, napisaną wspólnymi siłami wiadomością na odwrocie. U góry, wykaligrafowane nieznanym mi charakterem pisma, widniały słowa: **Wenny pisze kartkę, a Rennie prowadzi autobus!** Niżej, charakterem pisma, który znałem dobrze, Wendy – lub Wenny, jeśli wolicie; mnie się to nie podobało zupełnie – nagryzmoła radośnie: **Juhu! My, ekspedientki, ruszamy na wyprawę na Cape Cod! Jest impreza! Muza tralaluza! Nie martw się, trzymałam kierownicę, jak Ren pisała. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra. W.**

Muza tralaluza? Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra? Żadnego „kocham cię”, żadnego „czy za mną tęsknisz”, tylko „mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra”? I choć, sądząc po koślawych, nierównych literach i kleksach, pisały tę kartkę, jadąc samochodem Renee (Wendy nie miała auta), obie najwyraźniej były wtedy upalone albo zalane w trzy dupy. W następnym tygodniu wysłałem cztery kolejne listy i zdjęcie, które zrobiła mi Erin, kiedy byłem w futrze. Żadnej odpowiedzi.

Zaczynasz się martwić, potem zaczynasz rozumieć i wreszcie wiesz. Może nie chcesz, może wmawiasz sobie, że kochankowie, jak lekarze, co rusz myślą się w diagnozach, ale w głębi serca wiesz.

Dwa razy próbowałem do niej zadzwonić. Przy obu okazjach odebrała ta sama gderliwa dziewczyna. Wyobrażałem ją sobie w staroświeckich okularach, sukience po kostki, z nieumalowanymi ustami.

– Nie ma jej – powiedziała za pierwszym razem. – Poszła gdzieś z Ren.

A za drugim razem:

– Nie ma jej i raczej już nie będzie. Wyprowadziła się.

– Dokąd się wyprowadziła? – spytałem z niepokojem. To było w salonie *Maison Shoplaw*, gdzie obok telefonu wisiała lista, na którą wpisywało się wszystkie rozmowy zamiejscowe. Tak mocno ścisnąłem wielką, staromodną słuchawkę, że straciłem czucie w palcach. Wendy studiowała na czarodziejskim dywanie utkanym ze stypendiów, pożyczek i zarobionych pieniędzy, tak jak ja. Nie stać jej było na własne mieszkanie. Nie bez czyjejs pomocy.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – powiedziała gderliwa dziewczyna. – Miałam już dość ciągłego picia i babskich imprez o drugiej w nocy. Niektórzy z nas lubią sobie trochę pospać. Dziwne, ale prawdziwe.

Moje serce biło tak mocno, że czułem jego pulsowanie w skroniach.

– Renee wyprowadziła się razem z nią?

– Nie, pokłóciły się. O tego faceta. Tego, co pomógł Wennie w przeprowadzce. – Powiedziała „Wennie” z żywą pogardą, od której mnie zemdlilo. Na pewno nie wzmianka o „facecie” tak na mnie podziałała; przecież to ja byłem jej facetem. Jeśli jakiś kolega, ktoś, kogo poznała w pracy, zaofiarował się, że pomoże jej przenieść rzeczy, co mi do tego? To normalne, że miała znajomych facetów. Ja zaprzyjaźniłem się w tym czasie z co najmniej jedną dziewczyną, no nie?

– Jest tam Renee? Mogę z nią porozmawiać?

– Nie, poszła na randkę. – Coś jej wreszcie musiało zaświtać, bo ni z tego, ni z owego stała się bardziej zainteresowana rozmową. – Heeej, ty jesteś Devin?

Odłożyłem słuchawkę. Nie planowałem tego, po prostu to zrobiłem. Powiedziałem sobie, że wcale nie słyszałem tego, jak gderliwa dziewczyna nagle zmieniała się w rozbawioną gderliwą dziewczynę, jakby działo się coś zabawnego, co w jakiś sposób było związane ze mną. Czy nawet jakbym to ja był dla niej zabawny. Jak już, zdaje się, mówiłem, umysł broni się, póki może.

## 30.♥

Trzy dni później dostałem jedyny tego lata list od Wendy Keegan. Pierwszy i ostatni. Napisany był na jej papeterii z nieobciętymi brzegami, ozdobionej wesołymi kotkami bawiącymi się kłębkami włóczki. To była papeteria piąto-klasistki, chociaż ta myśl przyszła mi do głowy dopiero dużo później. List składał się z trzech górnolotnych stron i był głównie o tym, że strasznie jej przykro, że próbowała z tym walczyć, ale pociąg fizyczny był zbyt silny, że wie, że mnie rani, więc pewnie lepiej, żebym przez jakiś czas do niej nie dzwonił ani nie próbował się z nią zobaczyć, że ma nadzieję, że jak pierwszy szok minie, będziemy mogli nadal być przyjaciółmi, i że on jest miłym facetem, studiuje na Dartmouth, jest zawodnikiem lacrosse, na pewno bym go polubił, może przedstawi nas sobie, kiedy zacznie się jesienny semestr, itede, itede, ite-kurwa-pe.

Tego wieczora klapnąłem na piasek kilkadziesiąt metrów od Plażowego Pensjonatu pani Shoplaw z zamiarem upicia się. Przynajmniej, myślałem sobie, drogo mnie to nie wyniesie. W tamtych czasach po jednym sześciopaku byłem nawalony jak biskopt. W którymś momencie dołączyli do mnie Tom i Erin i razem patrzyliśmy na nadciągające fale – trzej muszkietierowie z Joylandu.

– Co się stało? – spytała Erin.

Wzruszyłem ramionami, tak jak to się robi, kiedy człowiek ma jakieś drobne, ale mimo to wkurzające zmartwienie.

– Dziewczyna ze mną zerwała. Przysłała mi list pożegnalny.

– Fajnie – powiedział Tom. – Jeszcze jeden znaczek do klasera.

– Okaż trochę współczucia – zganiała go Erin. – Jest smutny, zraniony i usiłuje nie dać tego po sobie poznać. Za głupi jesteś, żeby to zauważyć?

– Nie – rzekł Tom. Objął mnie ramieniem i na chwilę przycisnął do siebie. – Przykro mi, że cierpisz, stary. Ból bije z ciebie jak zimny wiatr z Kanady czy nawet Arktyki. Mogę wziąć od ciebie piwo?

– Jasne.

Siedzieliśmy tam dość długo i delikatnie wypytywany przez Erin wyrzuciłem z siebie to i owo, ale nie wszystko. Tak, byłem smutny. Tak, byłem zraniony. Kryło się za tym jednak coś dużo większego, coś, czego nie chciałem im okazać. Po części dlatego, że rodzice zaszczepili we mnie przekonanie, że rzyganie swoimi uczuciami na innych to szczyt nietaktu, ale głównie przez to, że byłem przerażony głębią i mocą mojej zazdrości. Nie chciałem, żeby nawet domyślali się istnienia tego toczącego mnie robaka (był z Dartmouth, o Boże, supersprawa, pewnie należał do najlepszego bractwa i jeździł mustangiem, którego dostał w prezencie od starych z okazji ukończenia szkoły średniej). I nawet nie zazdrość była najgorsza. Najgorsza była przerażająca świadomość – tego wieczora to dopiero zaczynało do mnie docierać – że po raz pierwszy w życiu zostałem prawdziwie odtrącony. Ona skończyła ze mną, ale ja nie mogłem sobie wyobrazić, że mógłbym skończyć z nią.

Erin też wzięła sobie piwo i wzniosła puszkę.

– Wypijmy za następną, która pojawi się w twoim życiu. Nie wiem, kim będzie, wiem za to, że dzień, kiedy cię pozna, będzie jej szczęśliwym dniem.

– Dobrze gada! – powiedział Tom, wznosząc swoją puszkę. A ponieważ był Tomem, poczuł potrzebę, by dodać: – Dać jej wódki!

Nie sądzę, by którekolwiek z nich zdawało sobie sprawę wtedy i przez resztę lata, jak fundamentalnie zmienił się grunt, na którym stałem. Jak zagubiony się czułem. Nie chciałem, żeby to wiedzieli. To było więcej niż wstydlive; to wydawało się wręcz hańbiące. Dlatego zmusiłem się do uśmiechu, wzniosłem swój browar i wypilem.

Dzięki temu, że pomogli mi wykończyć sześciopak, rano obudziłem się ze złamanym sercem, ale przynajmniej bez kaca. I całe szczęście, bo kiedy przyszedliśmy do Joylandu, Papcio Allen powiadomił mnie, że po południu mam paradować w futrze po Joyland Avenue – trzy razy po piętnaście minut, o trzeciej, czwartej i piątej. Dla formalności trochę ponarzekałem (każdy musiał narzekać, kiedy kazali mu nosić futro), ale byłem zadowolony. Lubilem, kiedy oblegały mnie dzieci, a przez następnych kilka tygodni wcielanie się w Howiego miało też dla mnie pewną gorzką wartość rozrywkową. Gdy merdając ogonem, maszerowałem po Joyland Avenue na czele tłumu roześmianych maluchów, myślałem sobie, że to nic dziwnego, że Wendy mnie rzuciła. Jej nowy chłopak studiował na Dartmouth i grał w lacrosse. Jej eks spędzał lato w trzeciorzędym parku rozrywki. Gdzie grał rolę psa.

## 31.♥

Lato w Joylandzie.

Kręciłem karuzelami. Rano picowałem stoiska z grami – co znaczyło, że przynosiłem do nich nagrody – a popołudniami niektóre sam prowadziłem. Rozczepiałem dziesiątki Diabelskich Fur, nauczyłem się smażyć placki tak, żeby nie spalić sobie przy tym palców, i pracowałem nad moim bajerem przy Carolina Spin. Tańczyłem i śpiewałem z innymi żółtodziobami na Bajkowej Scenie Tuptusiowej Wioski. Fred Dean kilka razy wysłał mnie, żebym wyczyesał teren. Był to prawdziwy dowód zaufania, bo oznaczał zbieranie utargu w południe i o piątej po południu z różnych bud i kramików. Jeździłem do Heaven's Bay i Wilmington, kiedy jakieś urządzenie nawalało, i zostawałem do późna w środowe wieczory – zwykle z Tomem, George'em Prestonem i Ronniem Houstonem – żeby nasmarować Wirujące Filizanki i zwariowaną, karkołomną karuzelę o nazwie Zipper. Obie, skubane, złopały olej jak wielbłądy wodę w oazie. No i, oczywiście, nosiłem futro.

Pomimo tego wszystkiego spałem tyle co nic. Czasami leżałem na łóżku z moimi starymi, posklejanymi taśmą słuchawkami na uszach i słuchałem płyt Doorsów. (Największą słabość miałem do takich radosnych kawałków, jak *Cars Hiss By My Window*, *Riders on the Storm* i – oczywiście – *The End*). Kiedy głos Jima Morrisona i mistyczne dźwięki organów Raya Manzarka nie wystarczały, żeby mnie uśpić, wykradałem się po zewnętrznych schodach na dół i spacerowałem po plaży. Raz czy dwa razy na plaży spałem. Szczęście w nieszczęściu, że kiedy udawało mi się na jakiś czas przysnąć, nie miałem koszmarów. Nie przypominam sobie, bym tamtego lata w ogóle śnił.

Rano przy goleniu widziałem wory pod moimi oczami i czasem, po szczególnie forsownych występach w roli Howiego (najgorsze były przyjęcia urodzinowe w parnym rozgardiaszu Chatki Howiego), kręciło mi się w głowie, ale to było normalne; tak powiedział mi pan Easterbrook. Po krótkim odpoczynku w trupiarni dochodziłem do siebie. Ogólnie miałem wrażenie, że, jak to się dzisiaj mówi, trzymałem twarz. W pierwszy poniedziałek lipca, dwa dni przed świętem narodowym, przekonałem się, że byłem w błędzie.



## 32.♥

Mój zespół – Beagle – zameldował się u Papcia Allena z samego rana, jak zawsze, i Papcio przydzielił nam zadania, wykładając karabinki na ladę. Nasze poranne obowiązki zwykle obejmowały tachanie pudeł z nagrodami (z których większość opatrzona była napisem MADE IN CHINA) i picowanie stoisk z gramami w przygotowaniu na Pierwszy Dzwon, jak nazywaliśmy otwarcie. Tego ranka jednak Papcio powiedział mi, że Lane Hardy chce się ze mną widzieć. To była niespodzianka; Lane zwykle nie wystawiał nosa z trupiarni wcześniej niż na jakieś dwadzieścia minut przed Pierwszym Dzwonem. Ruszyłem więc tam, ale Papcio zawołał za mną:

– Nie, nie, jest przy wciągarnie łosi! – To było pogardliwe określenie diabelskiego młyna, którego pewnie by nie użył w obecności Lane’a. – Pospiesz się, Jonesy. Dzisiaj dużo roboty.

Pospieszyłem się, ale nie zobaczyłem nikogo przy Spinie, który w wyniosłym, milczącym bezruchu czekał na pierwszych klientów.

– Tutaj! – usłyszałem kobiecy głos. Obróciłem się i zobaczyłem Rozzie Gold stojącą przed wysadzaną gwiazdami budą wróżki. Była wystrojona w jeden ze zwiewnych kostiumów madame Fortuny. Głowę miała obwiązaną jaskrawoniebieskim szalem, którego zasupłany koniec wisiał prawie na wysokości jej krzyża. Obok stał Lane w swoim zwykłym stroju: spranych dżinsach i obcisłym podkoszulku na ramiączkach, idealnym do eksponowania jego imponujących bicepsów. Melonik przekrzywił pod należycie zawadiackim kątem. Z wyglądu facet bez piątej klepki, ale tak naprawdę i piątą, i wszystkie pozostałe miał gdzie należy.

Oboje byli w strojach roboczych i oboje z minami zwiastującymi złe wieści. Szybko przebiegłem myślą ostatnich kilka dni, usiłując sobie przypomnieć, czy zrobiłem coś niewybaczalnego. Przyszło mi do głowy, że Lane mógł dostać polecenie, żeby mnie zawiesić... albo nawet zwolnić. Ale w pełni lata? Poza tym przecież Fred Dean i Brenda Rafferty zajmowali się takimi sprawami. No i co tu robiła Rozzie?

– Kto umarł? – spytałem.

– Nie ty, mamy nadzieję – powiedziała Rozzie. Powoli wchodziła w rolę i mówiła dziwnym akcentem, w którym Brooklyn mieszał się z Karpatami.

– Hę?

– Pozwól z nami, Jonesy. – Lane ruszył w głąb lunaparku, który na półtorej godziny przed Pierwszym Dzwonem był prawie pusty; tylko kilku sprzątaczy – w gadce zwanych wycirusami, pewnie żaden nie miał zielonej karty – zamiatało okolice kramików (ta praca powinna była zostać wykonana poprzedniego wieczoru). Rozzie zrobiła mi miejsce między nią a Lane’em, kiedy ich dogoniłem. Czuję się jak oprych prowadzony do ciupy przez policjantów.

– O co chodzi?

– Zobaczysz – stwierdziła złowieszczo Rozzie/Fortuna i jak się okazało, nie rzucała słów na wiatr. Obok Straszego Dworu (właściwie były ze sobą połączone) znajdował się Pałac Luster Mysterio. Przy kasie wisiało zwykłe lustro, a nad nim tabliczka **ŻEBYŚ NIE ZAPOMNIAŁ, JAK NAPRAWDĘ WYGLĄDASZ**. Lane wziął mnie za jedno ramię, Rozzie za drugie. Teraz to już naprawdę czuję się jak bandzior wprowadzany na dołek. Postawili mnie przed lustrem.

– Co widzisz? – spytał Lane.

– Siebie – powiedziałem, po czym, jako że ta odpowiedź wyraźnie ich nie zadowoliła: – Siebie z trochę za długimi włosami.

– Spójrz na swoje ubranie, głupie dziecko. – Rozzie dwa ostatnie słowa wymówiła: „głupie dzieeee-cko”.

Spojrzałem. Nad żółtymi butami roboczymi zobaczyłem džinsy (ze skórzanymi rękawicami zalecanej marki wystającymi z tylnej kieszeni), a nad džinsami niebieską batystową koszulę roboczą, wypłowiałą, ale względnie czystą. Na głowie miałem porządnie sfatygowaną dogmycę Howiego, ostateczny szlif, który tak wiele znaczy.

– No widzę, i co? – Zaczynałem się trochę denerwować.

– Trochę na tobie wiszą, nie? – powiedział Lane. – Przedtem tak nie było. Ile straciłeś na wadze?

– Jezu, nie wiem. Może powinniśmy zapytać Grubego Wally’ego. – Gruby Wally zgadywał wagę klientów.

– Mało śmieszne – skomentowała Fortuna. – Nosisz ten cholerny psi kostium przez pół dnia w letnim upale, a potem łykasz dwie dodatkowe tabletki soli i to ma być posiłek? Chcesz rozpaczać za utraconą miłością, proszę bardzo, ale przy tym jedz. Jedz, do diabła!

– Kto ci powiedział? Tom Kennedy? – Nie, to nie mógł być on. – Erin. Nie miała prawa...

– Nikt mi nic nie mówił. – Rozzie wyprężyła się imponująco. – Mam dar widzenia.

– Czy masz dar widzenia, nie wiem, ale tupet na pewno.

Błyskawicznie przeistoczyła się z powrotem w Rozzie.

– Nie mówię o jasnowidzeniu, synu, mówię o zwykłym kobiecym oku. Myślisz, że nie potrafię rozpoznać usychającego z miłości Romea? Po tych wszystkich latach spędzonych na czytaniu z dłoni i gapieniu się w kryształową kulę? Ha! – Wystąpiła naprzód w ślad za swoim pokaznym przedpiersiem. – Nie obchodzi mnie twoje życie miłosne; po prostu nie chcę, żeby czwartego lipca, w Dniu Niepodległości... kiedy to, nawiasem mówiąc, ma być trzydzieści pięć stopni w cieniu... zabrali cię do szpitala z udarem słonecznym czy czymś gorszym.

Lane zdjął melonik, zajrzał do środka, założył go z powrotem i tym razem przekrzywił w drugą stronę niż poprzednio.

– Ona nie powie ci tego wprost, bo musi chronić swoją osławioną reputację rządu, ale wszyscy cię lubimy, synu. Szybko się uczysz, robisz, co ci każą, jesteś uczciwy, nie sprawiasz kłopotów, a dzieciaki uwielbiają cię do szaleństwa, kiedy nosisz futro. Ale tylko ślepy by nie zauważył, że coś jest z tobą nie tak. Rozzie myśli, że to przez kłopoty z dziewczyną. Może ma rację. Może nie.

Rozzie posłała mu wyniosłe spojrzenie mówiące „śmiesz we mnie wątpić?”.

– Może twoi rodzice się rozwodzą. Moi się rozeszli i ciężko to przeżyłem. Może aresztowali twojego starszego brata za handel narkotykami...

– Moja mama nie żyje i jestem jedynakiem – wtrąciłem ponuro.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś w normalnym świecie. Tu jest Joyland. Show. A ty jesteś jednym z nas. Co znaczy, że mamy prawo się o ciebie martwić, czy ci się to podoba, czy nie. Dlatego zjedźże coś.

– Jedz dużo – dodała Rozzie. – Teraz, w południe, przez cały dzień. Codziennie. I staraj się jeść coś innego niż tylko smażone kurczaki, bo wierz mi, każde udko to potencjalny zawał serca. Idź do Rock Lobster i zamów rybę z sałatką na wynos. Poproś podwójną porcję. Podtucz się trochę, żebyś nie wyglądał jak żywy szkielet z Gabinetu Osobliwości. – Odwróciła się do Lane'a. – To przez dziewczynę, jasna sprawa. Widać jak na dłoni.

– O cokolwiek chodzi, przestań się, kurwa, zadrećzać – powiedział Lane.

– Jak można używać takiego języka przy damie – obruszyła się Rozzie. Znów mówiła jak madame Fortuna. Wydawało się, że zaraz palnie „Teee-go chcą duuu-chy” albo coś podobnego.

– Oj, odwal się! – Lane ruszył z powrotem do Spina.

Kiedy poszedł, spojrzałem na Rozzie. Na mentorkę nadawała się średnio, ale nikogo lepszego nie było pod ręką.

– Roz, czy wszyscy wiedzą?

Potrząsnęła głową.

– Gdzie tam. Dla większości starych pracowników jesteś tylko jednym z wielu żółtodziobów od wszystkiego... chociaż nie tak zielonym jak trzy tygodnie temu. Ale sporo ludzi cię lubi i widzą, że coś jest nie w porządku. Na przykład twoja przyjaciółka Erin. I twój przyjaciel Tom. – Wymówiła to „czyjaciel”. – Ja też jestem twoją przyjaciółką i jako twoja przyjaciółka mówię, że nie ulecysz swojego serca. Tego może dokonać tylko czas, za to ty możesz uleczyć swoje ciało. Jedz!

– Jakbym słyszał żydowską matkę z dowcipów – stwierdziłem.

– Ja jestem dla ciebie jak żydowska matka i wierz mi, to nie jest śmieszne.

– Z nas dwojga to ja jestem ten śmieszny. Cały czas o niej myślę.

– Nic na to nie poradzisz, przynajmniej na razie. Ale musisz odpędzić te inne myśli, które cię czasem nachodzą.

Zdaje się, że opadła mi szczeka. Nie jestem pewien. Wiem, że wybałuszyłem oczy. Ludzie, którzy robią w tej branży tak długo jak Rozzie Gold – takich jak ona nazywa się grabulami, bo zajmują się wrózeniem z dłoni – potrafią wyciągać informacje z człowieka i sprawiać wrażenie, że wszystko, co mówią, to wiedza zdobyta telepatycznie, gdy zwykle kryje się za tym zwykła spostrzegawczość.

Ale nie zawsze.

– Nie rozumiem.

– Odlóż te ponure płyty, jasne? – Spojrzała mi w twarz posępnym wzrokiem i zaśmiała się na widok mojej zaskoczonyj miny. – Może Rozzie Gold to zwykła żydowska matka i babcia, ale madame Fortuna dużo widzi.

Najwyraźniej dużo widziała moja gospodyni, z którą (jak dowiedziałem się później, kiedy w jeden z rzadkich dni wolnych madame Fortuny zobaczyłem je jedzące razem lunch w Heaven's Bay) Rozzie przyjaźniła się od lat. Pani Shoplaw raz w tygodniu ścierała kurze i zamiatała podłogę w moim pokoju; na pewno widziała płyty. A co do reszty – tych sławetnych samobójczych myśli, które mnie czasem nachodziły – czy kobieta, która przez większość życia zajmowała się obserwacją ludzkiej natury i wypatrywaniem nieświadomych zachowań (zwanym

tellami i w gadce, i w żargonie pokerowym), nie mogła się domyślić, że wrażliwy młody mężczyzna, którego rzuciła dziewczyna, może mieć skłonność do snucia myśli o pigułkach, sznurach i morskiej topieli?

– Będę jadł – obiecałem. Miałem tysiąc rzeczy do zrobienia przed Pierwszym Dzwonem, ale głównie chciałem uciec od niej, zanim powie coś zupełnie porażającego, na przykład: „Na imię jej Vendy i wciąż o niej myślisz, kiedy się mass-turbujesz”.

– A przed snem pij dużą szklankę mleka. – Podniosła palec w karcącym geście. – Żadnej kawy; mleko. Pomoże ci zasnąć.

– Nie zaszkodzi spróbować – przytaknąłem.

Znów zmieniła się w Roz.

– Tego dnia, kiedy się poznaliśmy, spytałeś, czy widzę w twojej przyszłości piękną brunetkę. Pamiętasz?

– Tak.

– Co odpowiedziałam?

– Że ona należy do mojej przeszłości.

Rozzie kiwnęła głową hardo i wyniośle.

– Bo taka jest prawda. I kiedy zachce ci się do niej zadzwonić i błagać, żeby dała ci drugą szansę... a tak będzie, ręczę za to... pokaż, że masz charakter. Zachowaj trochę godności. No i pamiętaj, że rozmowy zamiejscowe kosztują.

Jakbym nie wiedział, pomyślałem.

– Słuchaj, Roz, naprawdę muszę już lecieć. Dużo roboty.

– Tak, to pracowity dzień dla nas wszystkich. Ale zanim pójdziesz, Jonesy... spotkałeś już tego chłopca? Tego z psem? Albo dziewczynkę w czerwonej czapce z lalką w ręku? O nich też ci mówiłam, kiedy się poznaliśmy.

– Roz, spotkałem z milion dzieciaków przez ostatnie...

– Czyli nie. W porządku. Ale ich spotkasz. – Wysunęła dolną wargę i dmuchnęła na kosmyk włosów, który wystawał jej spod szala. Złapała mnie za nadgarstek. – Widzę, że czeka cię niebezpieczeństwo, Jonesy. Smutek i niebezpieczeństwo.

Przez chwilę myślałem, że wyszepcze coś w stylu „Strzeż się nieznanego bruneta! Jedź na monocyklu!”. Ale puściła mnie i wskazała Straszny Dwór.

– Który zespół robi w tej paskudnej dziurze? Nie twój, co?

– Nie, Zespół Doberman. – Dobiki odpowiadały też za sąsiednie atrakcje: Pałac Luster Mysterio i Gabinet Figur Woskowych. Wszystkie trzy razem były mało entuzjastycznym ukłonem Joylandu w stronę domów strachów z dawnych wesołych miasteczek.

– To dobrze. Trzymaj się od niej z dala. Tam straszy, a chłopak, którego nachodzą złe myśli, potrzebuje wizyty w nawiedzonym domu jak arszeniku w płynie do płukania ust. Kapisz?

– Uhm. – Spojrzałem na zegarek.

Zrozumiała aluzję, cofnęła się o krok.

– Wypatruj tych dzieci. I strzeż się, chłopcze. Pada na ciebie cień.

## 33.♥

Lane i Rozzie nieźle mną wstrząsnęli, przyznają. Nie przestałem słuchać Doorsów – przynajmniej nie od razu – ale zmusiłem się, żeby więcej jeść, i od tej pory piłem trzy shake'i dziennie. Poczulem, że wlewają się we mnie nowe siły, jakby za odkręceniem kurka, i po południu czwartego lipca byłem za to głęboko wdzięczny. W Joylandzie tego dnia przewalały się tłumy i musiałem włożyć futro dziesięć razy, co stanowiło rekord wszech czasów.

Fred Dean przyszedł osobiście wręczyć mi grafik i notkę od starego pana Easterbrooka: „Jeśli zabraknie Ci sił, natychmiast przestań i każ kierownikowi swojego zespołu znaleźć zastępcę”.

– Dam radę – powiedziałem.

– Być może, ale dopilnuj, żeby Papcio zobaczył tę notkę.

– Jasne.

– Brad cię lubi, Jonesy. To rzadkie. Zwykle nie zauważa żółtodziobów, dopóki któryś przy nim nie nawali.

Ja też go lubiłem, ale nie powiedziałem tego Fredowi. Nie chciałem wyjść na lizusa.

## 34.♥

W Dniu Niepodległości wszystkie moje występy miały po dziesięć minut, nie najgorzej, mimo że większość przedłużyła się do piętnastu, jednak upał, trzeba przyznać, był potworny. Rozzie zapowiedziała trzydzieści pięć w cieniu, ale w południe termometr wiszący przed siedzibą administracji pokazywał trzydzieści dziewięć stopni. Szczęśliwie dla mnie, Dottie Lassen naprawiła rezerwowy kostium Howiego w rozmiarze XL, więc mogłem nosić oba na zmianę. Kiedy wkładałem jeden, Dottie na tyle, na ile mogła, wywracała drugi na lewą stronę i wieszala go przed trzema wentylatorami, żeby wysuszyć prze pocone wnętrze.

Dobrze choć, że mogłem zdejmować futro samodzielnie; wtedy już wiedziałem, na czym polega sztuczka. Prawa łapa Howiego tak naprawdę była rękawicą i kiedy człowiek się w tym połapał, rozpięcie suwaka było pestką. A jak już się ściągnęło głowę, reszta to była bułka z masłem. I dobrze, bo dzięki temu mogłem się przebierać samodzielnie za zasłoną. Koniec z prezentowaniem moich prze poconych, prześwitujących majtek paniom od kostiumów.

W łopoczące flagami popołudnie Dnia Niepodległości zostałem zwolniony z wszelkich innych obowiązków. Odstawiałem swoje harce, po czym wracałem do Joylandu Dolnego i na jakiś czas w trupiarni zwałłem się na starą, wyliniałą kanapę, w chłodny powiew z klimatyzacji. Kiedy odżywałem, szedłem alejkami do składu kostiumów i zamieniałem jedno futro na drugie. Między występami żłopałem hektolitry wody i niesłodzonej mrożonej herbaty. Nie uwierzycie, ale świetnie się bawiłem. Tego dnia kochały mnie nawet grymaśne bachory.

Było tak: kwadrans przed czwartą po południu płąsam po Joyland Avenue – głównej promenadzie – podczas gdy w głośnikach w górze huczy *Chick-A-Boom, Chick-A-Boom, Don'tcha Just Love It* Daddy'ego Dewdropa. Rozdaję dzieciakom uściski, a dorosłym kupony na SuperSierpień, bo pod koniec wakacji w Joylandzie robił się mniejszy ruch. Pozuję do zdjęć (niektóre robiły Gwiazdeczki, większość hordy spoconych, spalonych słońcem rodziców udających paparazzi), a zachwycone dzieci ciągną za mną jak ogon komety. Wypatruję najbliższego zejścia do Joylandu Dolnego, gdyż ledwo się trzymam na nogach. Dziś czeka mnie jeszcze tylko jeden występ w roli Howiego – *Wesoły Pies Howie* nigdy nie pokazuje swoich niebieskich oczu i stojących uszu po zmroku. Nie wiem dlaczego; taka tradycja i tyle.



Czy zauważyłem dziewczynkę w czerwonej czapce, zanim upadła na rozpaloną nawierzchnię Joyland Avenue, wijąc się i miotając? Nie sądzę, ale pewności nie mam, bo upływ czasu dodaje fałszywe wspomnienia i zmienia prawdziwe. Na pewno nie zwróciłem uwagi na Hau-Doga, którym wymachiwała na wszystkie strony, ani na jej jaskrawoczerwoną dogmycę Howiego; dziecko z hot dogiem to w parku rozrywki nie jest niezwykły widok i tego dnia sprzedaliśmy chyba z tysiąc czerwonych dogmyc. Jeśli tę małą zauważyłem, to dzięki szmacianej lalce, którą tuliła do piersi dłonią nietrzymającą upačkanego musztardą Hau-Doga. Raptem dwa dni wcześ-niej madame Fortuna kazała mi wypatrywać dziewczynki z lalką, więc może rzeczywiście zwróciłem na nią uwagę. A może myślałem tylko, żeby gdzieś przysiąść, zanim zasłabnę. W każdym razie nie jej lalka była źródłem kłopotów, tylko Hau-Dog, którego jadła – od niego wszystko się zaczęło.

Teraz wydaje mi się, że pamiętam, jak biegła do mnie (a które dziecko nie biegło?), za to wiem, co stało się potem i dlaczego do tego doszło. Miała w ustach kęs Hau-Doga i kiedy zaczerpnęła tchu, by krzyknąć „Howwwie!”, wciągnęła go do gardła. Hot dogi – idealne jedzenie, żeby się zakrztusić. Na jej szczęście w głowie utkwilo mi dość bzdetów Rozzie Gold alias madame Fortuny, żeby podjąć szybką interwencję.

Kiedy kolana ugięły się pod dziewczynką, a radosna ekstaza na jej twarzy przeszła najpierw w zaskoczenie, a potem w przerażenie, ja już sięgałem łapą-rękawicą za plecy i rozpinalem suwak. Głowa Howiego opadła na bok, ukazując czerwoną twarz i spocone, pozlepiane włosy pana Devina Jonesa. Czerwona czapka zleciała na ziemię. Dziewczynka upuściła szmacianą lalkę. Zaczęła rozpaczliwie łapać się za szyję.

– Hallie! – krzyknęła jakaś kobieta. – Hallie, co się stało?!

I oto kolejne Szczęśliwe Zrządzenie Losu: nie tylko wiedziałem, co się stało, ale i wiedziałem, co zrobić. Nie jestem pewien, czy zdajecie sobie sprawę, jak fortunny był to zbieg okoliczności. Pamiętajcie, mówimy o roku 1973, Henry Heimlich dopiero za rok miał opublikować artykuł, któremu manewr Heimlicha zawdzięcza swoją nazwę. Jednak już wcześ-niej był to przyjęty sposób postępowania w sytuacji, gdy ktoś się zakrztusił jedzeniem, i poznaliśmy go w czasie pierwszego i jedyne go spotkania orientacyjnego przed rozpoczęciem pracy w stołówce Uniwersytetu New Hampshire. Nasz instruktor był twardym weteranem wojen restauracyjnych, który stracił swoją kawiarnię w Nashua rok po tym, jak obok otworzyli nowego McDonalda.

– Pamiętajcie, to nic nie da, jeśli nie zrobicie tego mocno – powiedział nam. – Jeśli ktoś umiera na waszych oczach, nie przejmujcie się, że złamiecie mu żebro.

Zobaczyłem, że dziewczynce sinieje twarz, i ani przez chwilę nie pomyślałem o jej żebrach. Objąłem ją potężnym, puszystym uściskiem, kładąc sterującą ogonem lewą łapę na kostnym łuku nad jej brzuchem, w miejscu gdzie żebra łączą się ze sobą. Nacisnąłem raz, a mocno, i upačkany żółta musztardą kilkucentymetrowy kawałek parówki wyskoczył z jej ust jak korek z butelki szampana. Przeleciał prawie metr. I nie, nie połamane jej żeber. Dzieci są elastyczne, chwała Bogu.

Nie zdawałem sobie sprawy, że wokół mnie i Hallie Stansfield – tak się nazywała – zacieśnia się rosnący krąg dorosłych. A już na pewno nie wiedziałem, że zrobiono nam dziesiątki zdjęć. Jedno z nich, autorstwa Erin Cook, trafiło do lokalnego tygodnika i kilku większych gazet, między innymi „Wilmington Star-News”. Do dziś mam tę fotografię, oprawioną w ramkę, w którymś z pudeł na strychu. Pokazuje małą dziewczynkę zwisającą z łap dziwnego stworza, pół psa, pół człowieka o dwóch głowach, z których jedna opada bezwładnie na ramię. Dziewczynka wyciąga ręce do matki, która – w momencie idealnie uchwyconym przez speed graphica Erin – osuwa się przed nami na kolana.

Wszystko to widzę dzisiaj jak przez mgłę, ale pamiętam tę chwilę, gdy matka wzięła dziewczynkę na ręce, a ojciec stwierdził: „Synu, zdaje się, że uratowałeś jej życie”. I pamiętam – tak wyraźnie, jakby to było wczoraj – że dziewczynka spojrzała na mnie swoimi wielkimi niebieskimi oczami i powiedziała: „Och, biedny Howie, głowa ci odpadła”.

## 35.♥

Najbardziej klasyczny nagłówek wszech czasów to, jak każdy wie, CZŁOWIEK UGRYZŁ PSA. „Star-News” nie mogło tego przebić, ale ten, który dali nad zdjęciem autorstwa Erin, był niewiele gorszy: PIES RATUJE DZIEWCZYNKĘ W PARKU ROZRYWKI.

Chcecie wiedzieć, jaki był mój pierwszy, przekorny odruch? Żeby wyciąć artykuł i wysłać go Wendy Keegan. I może nawet zrobiłbym to, gdybym nie wyglądał na zdjęciu Erin jak utopiony piżmak. Wysłałem go za to ojcu, który zadzwonił, by powiedzieć, jak bardzo jest ze mnie dumny. Po drzeniu jego głosu poznałem, że był bliski łez.

– Bóg dopilnował, żebyś był we właściwym miejscu we właściwym momencie – mówił.

Może Bóg. Może Rozzie Gold vel madame Fortuna. Może oboje do spółki.

Nazajutrz wezwano mnie do gabinetu pana Easterbrooka, wyłożonego sosnową boazerią pokoju obwieszzonego starymi plakatami i zdjęciami z objazdowych lunaparków. Szczególnie urzekła mnie fotografia stojącego przy siłomierzu jegomościa w słomkowym kapeluszu, z eleganckim wąsem. Ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami, opierał się na młocie jak na lasce. Totalny luzak. U szczytu siłomierza, obok dzwonka, była tabliczka CAŁUJCIE GO, DZIEWCZYNY, TO CHŁOP NA SCHWAŁ!

– Ten gość to pan? – spytałem.

– Owszem, chociaż przy siłomierzu robiłem tylko przez jeden sezon. Nie było mi to w smak. Jak wszystkie ustawione numery. Lubię grać czysto. Usiądź, Jonesy. Chcesz colę albo coś?

– Nie, proszę pana, dziękuję. – Prawdę mówiąc, poranny shake jeszcze chlupotał mi w brzuchu.

– Będę szczerzy. Wczoraj zapewniłeś temu lunaparkowi dobrą prasę, jakiej nie kupilibyśmy za dwadzieścia tysięcy dolarów, a mimo to nie stać mnie na to, żeby dać ci premię. Gdybyś wiedział... mniejsza o to. – Wychylił się do przodu. – Ale masz u mnie dług wdzięczności. Jeśli kiedyś będziesz miał jakieś życzenie, daj znać, a w miarę moich możliwości postaram się je spełnić. Umowa stoi?

– Jasne.

– Cieszę się. I czy zgodziłbyś się jeszcze raz pokazać jako Howie z tą dziewczynką? Jej rodzice chcą ci podziękować na osobności, ale publiczny występ byłby świetną sprawą dla Joylandu. Oczywiście, decyzja należy wyłącznie do ciebie.

– Kiedy?

– W sobotę, po paradzie w południe. Postawilibyśmy estradę na skrzyżowaniu Joyland i Hound Dog Way. Zaprosilibyśmy prasę.

– Chętnie – powiedziałem. Przyznam, miło mi było na myśl, że znowu napiszą o mnie w gazetach. To lato mocno nadwerżyło moją wiarę w siebie i poczucie własnej wartości, i wszystko, co mogło odwrócić tę tendencję, było mile widziane.

Podniósł się swoimi kruchymi, niepewnymi ruchami i podał mi rękę.

– Jeszcze raz dziękuję. W imieniu tej dziewczynki, ale i Joylandu. Cholerni księgowi, którzy rządzą moim życiem, będą zachwyceni.

## 36.♥

Kiedy wyszedłem z biurowca, który wraz z resztą budynków administracji znajdował się, jak to nazywaliśmy, „na tyłach”, przed drzwiami czekał na mnie cały mój zespół. Był nawet Papić Allen. Erin, odstawiona w zieleń Gwiazdeczki, wystąpiła naprzód z błyszczącym blaszanym wieńcem laurowym ze zgniecionych puszek po zupie Campbell’s. Uklękła na jedno kolano.

– Dla ciebie, mój bohaterze.

Wydawałoby się, że byłem zbyt spalony słońcem, żeby się zarumienić, ale okazało się, że wcale nie.

– O Jezu, weź wstań!

– Wybawca małych dziewczynek – powiedział Tom Kennedy. – I, nie zapominajmy, wybawca naszego miejsca zatrudnienia od sprawy o odszkodowanie i prawdopodobnego zamknięcia.

Erin zerwała się na nogi, nasadziła mi na głowę groteskową koronę z puszek i cmoknęła mnie w policzek. Cały Zespół Beagle wiwatował.

– No dobra – zabrał głos Papić, kiedy ucichł aplauz. – Wszyscy zgadzamy się co do tego, żeś książę z bajki, Jonesy. Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który uratował ćwoka przed odwaleniem kity w lunaparku. Możemy wszyscy wrócić do pracy?

Nie miałem nic przeciwko temu. Sława fajna rzecz, ale dobrze rozumiałem wymowę tego blaszanego wieńca laurowego: niech ci sodowa nie uderzy do głowy.

## 37.♥

Tej soboty stałem w futrze na prowizorycznej estradzie na środku Joylandu. Cieszyłem się, że mogę wziąć Hallie w ramiona, a ona była wyraźnie szczęśliwa, że jest ze mną. Fotoreporterzy wypstrykali chyba z kilkanaście kilometrów filmu, kiedy wyznawała miłość swojemu ulubionemu psiakowi i całowała go raz po raz przed obiektywami aparatów.

Erin przez jakiś czas stała w pierwszym rzędzie ze swoim aparatem, ale fotoreporterzy, sami mężczyźni, byli masywniejsi. Szybko zepchnęli ją na mniej dogodne miejsce i na czym tak im wszystkim zależało? Na tym, co Erin już zdobyła, zdjęciu przedstawiającym mnie ze zdjętą głową Howiego. Ani myślałem ściągnąć ją tym razem, choć jestem pewien, że Fred, Lane ani sam pan Easterbrook nie ukaraliby mnie za to. Nie mogłem tego zrobić, bo w ten sposób sprzeniewierzyłbym się tradycji lunaparku: Howie nigdy, przenigdy nie zdejmował futra publicznie – to byłoby tak, jakby zdemaskować Świętego Mikołaja. Zrobiłem to, kiedy Hallie Stansfield się dusiła, ale to był konieczny wyjątek. Nie zamierzałem rozmyślnie łamać tej reguły. Wychodziło więc na to, że jednak byłem kuglarzem (choć nie kuglarzem z kuglarzy, co to, to nie).

Później, już w cywilu, spotkałem się z Hallie i jej rodzicami w Centrum Obsługi Klientów Joylandu. Z bliska widziałem, że mama jest w ciąży z dzieckiem numer dwa, choć pewnie ma przed sobą jeszcze trzy–cztery miesiące jedzenia ogórków kiszonych z lodami. Wyściskała mnie i trochę popłakała. Hallie wydawała się niezbyt przejęta. Siedziała na plastikowym krześle, majtała nogami, przeglądała stare numery „Screen Time” i wymieniała nazwiska różnych gwiazd podniosłym głosem herolda zapowiadającego monarchów przybyłych z wizytą. Poklepałem jej mamę po plecach i powiedziałem: „Już dobrze, już dobrze”. Tata Hallie nie płakał, ale miał łzy w oczach, kiedy podszedł i dał mi czek na pięćset dolarów wystawiony na moje nazwisko. Gdy spytałem, czym się zajmuje, odparł, że przed rokiem założył firmę – na razie jest mała, ale stajemy na nogi, mówił mi. Przemyślałem to, uwzględniłem jedno dziecko plus drugie w drodze i podarłem czek. Powiedziałem mu, że nie mogę przyjąć pieniędzy za coś, co należy do moich obowiązków.

Musicie pamiętać, że miałem zaledwie dwadzieścia jeden lat.



## 38.♥

Pracownicy sezonowi Joylandu nie mieli weekendów jako takich; co dziewięć dni przysługiwało nam półtora dnia wolnego, czyli za każdym razem wypadało to w inne dni tygodnia. Terminy rezerwowało się z wyprzedzeniem, więc Tom, Erin i ja prawie zawsze braliśmy sobie wolne razem. Dzięki temu w pewien środowy wieczór na początku sierpnia siedzieliśmy wokół ogniska na plaży i jedliśmy posiłek, jaki może wyżywić tylko bardzo młodych ludzi: piwo, hamburgery, czipsy o smaku barbecue i surówka z białej kapusty. Na deser były pianki, które Erin opiekowała nad ogniskiem na grillu pożyczonym z lodziarni Pirata Pete'a. Sprawdził się całkiem nieźle.

Widzieliśmy inne ogniska – jedne wielkie, z płomieniami strzelającymi w niebo, inne mniejsze, w sam raz do pieczenia kiełbasek – wzdłuż całej plaży aż do rozmigotanej metropolii Joylandu. Tworzyły piękny sznur płonącej biżuterii. W dwudziestym pierwszym wieku takie ogniska pewnie są zabronione; miłościwie nami rządzący mają skłonność do zakazywania wielu pięknych rzeczy, które robią zwykli ludzie. Nie wiem, dlaczego tak jest; wiem, że tak jest, i tyle.

Kiedy jedliśmy, powiedziałem im o przepowiedni madame Fortuny, że spotkam chłopca z psem i dziewczynkę w czerwonej czapce z lalką w ręku. Zakończyłem słowami:

– Jedno się sprawdziło, teraz kolej na drugie.

– O rany! – westchnęła Erin. – Może naprawdę jest jasnowidzką. Wielu ludzi mi tak mówiło, ale raczej nie...

– Kto na przykład? – wtrącił Tom.

– No... choćby Dottie Lassen ze składu kostiumów. I Tina Ackerley. Wiesz, ta bibliotekarka, którą Dev cichaczem odwiedza w nocy.

Pokazałem jej środkowy palec. Zachichotała.

– Dwoje to nie znaczy wielu – powiedział Tom, przybierając ton Profesora przez Duże P.

– Z Lane'em Hardym to już troje – zauważyłem. – Mówił, że przepowiedziała niektórym wydarzenia, od których włos się jeżył. – Żeby uniknąć zarzutów o stronniczość, poczułem się w obowiązku dodać: – Oczywiście powiedział też, że dziewięćdziesiąt procent jej przepowiedni to zupełne bujdy.



– Ja obstawiałbym, że raczej dziewięćdziesiąt pięć – stwierdził Profesor przez Duże P. – Wróżbiarstwo to kant, chłopcy i dziewczęta. Ikey Heyman, jak to nazywają w gadce. Weźmy tę czapkę. Dogmyce z Joylandu dostępne są tylko w trzech kolorach: czerwonym, niebieskim i żółtym. Czerwony jest zdecydowanie najbardziej popularny. Co do lalki, no nie, dajcie spokój. Mnóstwo dzieci przynosi do parku rozrywki taką czy inną zabawkę. To nieznanie miejsce, a z ulubioną zabawką czują się pewniej. Gdyby nie zakrzuszyła się hot dogiem na twoich oczach, gdyby tylko uściskała Howiego i poszła dalej, zobaczyłbyś inną dziewczynkę w czerwonej czapce z lalką w ręku i pomyślałbyś: Oho! Madame Fortuna rzeczywiście widzi przyszłość, muszę sypanąć jej groszem, żeby powiedziała mi coś więcej.

– Ale z ciebie cynik! – Erin szturchnęła go łokciem. – Rozzie Gold nie wzięłaby pieniędzy od swoich.

– Nie prosiła o pieniądze – dodałem, ale pomyślałem, że w tym, co mówił Tom, było sporo sensu. Owszem, Rozzie wiedziała (czy zdawała się wiedzieć), że piękna brunetka należy do mojej przeszłości, nie przyszłości, ale to mógł być tylko trafny domysł oparty na rachunku prawdopodobieństwa – albo mojej minie w chwili, kiedy ją o to zapytałem.

– Normalne, że nie. – Tom sięgnął po następną piankę. – Po prostu trenowała na tobie. Żeby nie wyjść z wprawy. Założę się, że innym żółtodziobom też wiele wywróżyła.

– Z tobą włącznie? – spytałem.

– No... nie. Ale to o niczym nie świadczy.

Spojrzałem na Erin, która pokręciła głową.

– Uważa też, że Straszny Dwór jest nawiedzony – powiedziałem.

– Też to słyszałam – przytaknęła Erin. – Przez zamordowaną tam dziewczynę.

– Pieprzenie w bambus! – krzyknął Tom. – Zaraz mi jeszcze powiecie, że zabił ją Hak, który do dziś czyha za Krzyzącą Czaszką!

– Tam naprawdę zdarzyło się morderstwo – tłumaczyłem im. – Ofiarą była Linda Gray. Pochodziła z Florence w Karolinie Południowej. Są zdjęcia, na których widać ją z jej zabójcą na strzelnicy i wśród stojących w kolejce do Spina. Haka nie miał, miał za to wytatuowanego ptaka na dłoni. Jastrzębia albo orła.

To uciszyło Toma, przynajmniej na pewien czas.

– Lane Hardy mówił, że Roz tylko podejrzewa, że Straszny Dwór jest nawiedzony, bo nie chce wejść do środka i naocznie się o tym przekonać. Nawet się do niego nie zbliża, jeśli nie musi. Co, według Lane’a, zakrawa na ironię, bo jego zdaniem tam naprawdę straszy.

Erin zrobiła wielkie oczy i przysunęła się trochę bliżej ognia – po części dla efektu, lecz głównie po to, jak sędzę, żeby Tom objął ją ramieniem.

– Widział...?

– Nie wiem. Odesłał mnie do pani Shoplaw, a ona opowiedziała mi całą historię. – Przedstawiłem im ją pokrótce. To była opowieść w sam raz na noc pod gwiazdami, wśród szumu fal, przy dogasającym ognisku. Nawet Tom słuchał zafascynowany.

– Czy ta Shoplaw widziała Lindę Gray? – spytał, kiedy skończyłem.

Odtworzyłem w pamięci jej opowieść w postaci, w jakiej usłyszałem ją dnia, kiedy wynająłem pokój na piętrze.

– Nie sędzę. Powiedziałaaby coś.

Skinął głową z zadowoleniem.

– I tak to zawsze jest. Każdy zna kogoś, kto widział UFO, i każdy zna kogoś, kto widział ducha. Dowody poszlakowe, niedopuszczalne w sądzie. Ja jestem Niewiernym Tomaszem. Chwyacie? Tom Kennedy, Niewierny Tomasz.

Erin znów dźgnęła go łokciem, tym razem dużo mocniej.

– Chwytam. – Spojrzała zamyślona w ogień. – Wiecie co? Minęły już dwie trzecie wakacji, a ja ani razu nie byłam w joylandowym domu strachów, nawet w tej części dla dzieci przy wejściu. W środku nie wolno robić zdjęć. Brenda Rafferty mówiła, że to dlatego, że dużo par chodzi się tam obściskować. – Przyjrzała mi się zmrużonymi oczami. – Czego się szczerzysz?

– Bez powodu. – Myślałem o świętej pamięci mężu pani Shoplaw, zbierającym po godzinach majtki porzrucane w Straszonym Dworze.

– Byliście tam w środku?

Obaj pokręciliśmy głowami.

– Straszny Dwór to działka Zespołu Dobików – powiedział Tom.

– Zróbmy to jutro. Wsiądziemy we trójkę do jednego wagonika. Może ją zobaczymy.

– Spędzić wolny dzień w Joylandzie zamiast na plaży? – zdziwił się Tom. – Toż to najczystszej próby masochizm.

Tym razem zamiast dźgnąć go łokciem, dała mu sówkę w bok. Nie wiedziałem, czy już ze sobą sypiali, ale wydawało się to prawdopodobne; ich związek na pewno stał się bardzo fizyczny.

– Chrzanić to! Jako pracownicy mamy wolny wstęp, a cała przejażdżka trwa ile? Pięć minut?

– Chyba trochę dłużej – powiedziałem. – Z dziesięć. Plus trochę czasu w części dla dzieci. Czyli w sumie będzie piętnaście.

Tom oparł brodę na głowie Erin i spojrzał na mnie ponad chmurą jej włosów.

– Mówi: „Chrzanić to”. Od razu widać, że mamy tu młodą kobietę z porządnej uczelni. Zanim skumała się z laskami z korporacji akademickiej, powiedziałaaby „pieprzyć”.

– Prędeż w dupę sobie wleżę, niż skumam się z tą bandą zagłodzonych zdzir, co tylko po sklepach z ciuchami latają! – Z jakiegoś powodu te wulgaryzmy sprawiły mi ogromną uciechę. Może dlatego, że Wendy była weteranką latania po sklepach z ciuchami. – Ty, Thomasiu Patricku Kennedy, po prostu boisz się, że naprawdę ją zobaczymy i będziesz musiał odwołać wszystko, co powiedziałeś o madame Fortunie, duchach, UFO i...

Tom podniósł ręce.

– Poddaję się. Staniemy w kolejce razem z resztą ówków... znaczy, szaraczków i zwiedzimy Straszny Dwór. Ale po południu, nie wcześniej. Muszę się wyspać, żeby być pięknym.

– Będziesz musiał długo spać – zauważyłem.

– Bardzo śmieszne, zwłaszcza w ustach kogoś o twoim wyglądzie. Daj no piwo, Jonesy.

Dałem mu.

– Opowiedz, jak poszło ze Stansfieldami – poprosiła Erin. – Szlochali ci w pierś i nazywali bohaterem?

Była bliska prawdy, ale nie chciałem tego przyznać.

– Rodzice są w porządku. Mała siedziała w kącie, czytała „Screen Time” i mówiła, że widzi Deana Martina.

– Daruj sobie koloryt lokalny i przejdź do rzeczy – powiedział Tom. – Zarobiłeś coś na tym?

Właśnie myślałem o tym, że ta mała dziewczynka, która z taką czcią wymieniała nazwiska gwiazd, mogła już leżeć w śpiączce. Albo w trumnie. I jako że byłem rozkojarzony, odpowiedziałem szczerze:

– Facet zaproponował mi pięć stów, ale ich nie przyjąłem.

Tom wybałuszył oczy.

– Że jak?!

Spojrzałem na szczątki pianki w mojej ręce. Rozpuściła się i ciekła mi po palcach, więc wrzuciłem ją w ogień. I tak byłem najedzony. Byłem też skrępowany i to uczucie mnie wkurzało.

– Człowiek próbuje rozkręcić małą firmę i z tego, co mówił, jej losy się ważą. Ma też żonę, jedno dziecko i następne w drodze. Nie sądzę, żeby mógł sobie pozwolić na rozdawanie pieniędzy.

– On nie? A ty?

Zamrugalem.

– Co ja?

Do dziś nie wiem, czy Tom autentycznie się rozzłościł, czy udawał. Myślę, że z początku pewnie żartował, ale zagotował się, kiedy w pełni dotarło do niego, co zrobiłem. Nie mam pojęcia, jak wyglądała jego sytuacja rodzinna, ale wiem, że żył od wypłaty do wypłaty i nie miał samochodu. Kiedy chciał zabrać gdzieś Erin, pożyczał mój... i zawsze sumiennie – skrupulatnie, należałoby powiedzieć – płacił za zużyte paliwo. Pieniądze były dla niego ważne. Nigdy nie odniosłem wrażenia, by był ich niewolnikiem, ale tak, miały dla niego wielkie znaczenie.

– Ledwo cię stać na studia, tak jak Erin i mnie, a w Joylandzie na limuzynę nie zarobimy. Co ci odbiło? Matka cię na głowę upuściła, kiedy byłeś mały?

– Wyluzuj – hamowała go Erin.

Nie zwracał na nią uwagi.

– Chcesz wstawać skoro świt przez cały semestr, żeby zbierać brudne talerze z taśmociągu na stołówce? Najwyraźniej tak, bo na Rutgers za taką robotę płacą mniej więcej pięćset dolarów za semestr. Sprawdziłem to, zanim z nieba spadły mi korepetycje. Wiesz, z czego żyłem na pierwszym roku? Z pisania prac dla nadzianych studentów specjalizujących się w piwologii dla zaawansowanych. Gdybym wpadł, mogliby mnie zawiesić na semestr albo w ogóle wyrzucić. Powiem ci, do czego sprowadza się ten twój wielkoduszny gest: do rezygnacji z dwudziestu godzin tygodniowo, które mógłbyś poświęcić na naukę. – Usłyszał, że zrzędzi, umilkł i uśmiechnął się szeroko. – Albo na rwanie hożych dziewoi.

– Już ja ci dam hoże dziewoje! – Erin rzuciła się na niego. Przeturlali się po piasku, Erin łaskotała Toma, a Tom krzyczał (wyraźnie bez przekonania), żeby z niego zesła. Nie miałem nic

przeciwko temu, bo nie chciałem rozwijać tematu. Wydaje się, że już wtedy podjąłem pewne decyzje i teraz trzeba było tylko, by moja świadomość została o tym powiadomiona.

## 39.♥

Następnego dnia piętnaście po trzeciej staliśmy w kolejce do Straszego Dworu. Przy wejściu urzędował Brady Waterman. Pamiętam go, bo też był dobry jako Howie (ale nie tak dobry jak ja, wypada dodać... tylko gwoli uczciwości). Brady, na początku lata dość korpulentny, teraz był szczupły, bez grama tłuszczu. Noszenie futra odchudzało skuteczniej niż dieta Weight Watchers.

– Co tu robicie? – spytał. – Przecież macie dziś wolne, nie?

– Uznaliśmy, że trzeba zobaczyć jedyny tunel strachu w Joylandzie – powiedział Tom – i już mam bardzo przyjemne wrażenie dramatycznej spójności: Brad Waterman i Straszny Dwór. Idealna para.

Brady się zasępił.

– Chcecie się wcisnąć do jednego wagonika, tak?

– Musimy – powiedziała mu Erin. Nachyliła się do jednego z odstających uszu Brada i szepnęła: – Graliśmy w „Prawda czy wyzwanie”.

Brad w zamyśleniu dotknął językiem środka górnej wargi. Poznałem po nim, że wyobraźnia pracuje mu na pełnych obrotach.

– E, małolaty, ruszcie się! – popędził nas facet następny w kolejce. – Słyszałem, że w środku jest klimatyzacja, a teraz mi jej trzeba.

– Włażcie – rzucił Brad. – Brać narty i zjeżdżać! – Jak na Brada, to był iście rabelaisowski humor.

– Są tam jakieś duchy? – spytałem.

– Setki i oby ci w dupę wleciały.

## 40.♥

Zaczęliśmy od Pałacu Luster Mysterio. Zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby popatrzeć na nasze rozciągnięte i spłaszczone odbicia. Trochę się pochichaliśmy, po czym ruszyliśmy szlakiem małych czerwonych kropek u dołu niektórych luster. Zaprowadziły nas do Gabinetu Figur Woskowych. Dzięki tym tajemnym znakom dotarliśmy do celu długo przed resztą zwiedzających, którzy roześmiani błądzili to tu, to tam, wpadając na zakrzywione szklane tafle.

Ku rozczarowaniu Toma w Gabcinecie Figur Woskowych nie było morderców, tylko politycy i gwiazdy. Wejścia strzegli uśmiechnięty John F. Kennedy i Elvis Presley w jednoczęściowym kombinezonie. Nie zważając na tabliczkę PROSIMY NIE DOTYKAĆ, Erin trąciła struny gitary Elvsa.

– Rozstro... – zaczęła i odskoczyła do tyłu, kiedy Elvis obudził się do życia i zaczął śpiewać *Can't Help Falling in Love with You*.

– A kuku! – powiedział Tom radośnie i przytulił ją.

Za Gabinetem Figur Woskowych była Sala Mostu i Beczki Śmiechu. Rozbrzmiewał w niej złowieszczy pomruk maszynarii (która nie miała w sobie nic złowieszczonego) i błyskały różnokolorowe lampy stroboskopowe. Erin przeszła na drugą stronę pomieszczenia po rozchwianym, kołyszącym się z boku na bok Moście Koziółka, a towarzyszący jej twardziele odważyli się stawić czoło beczce. Pokonałem tę przeszkodę, zataczając się jak pijak, i tylko raz fiknąłem. Tom zatrzymał się na środku, rozkrzyżował ręce i nogi tak, że wyglądał jak papierowa lalka, i w takiej pozycji obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Przestań, głupku, kark sobie skręcisz! – krzyknęła Erin.

– Nic mu nie będzie, nawet jak upadnie – powiedziałem. – Beczka jest obita gąbką.

Tom dołączył do nas, radośnie wyszczerzony i zarumieniony po korzonki włosów.

– To obudziło szare komórki, które spały, odkąd skończyłem trzy lata.

– A ile szarych komórek zabiło? – spytała Erin.

Następny był Krzywy Pokój, a dalej salon gier pełen nastolatków grających na flipperach i w Skee-Ball. Erin przez chwilę przyglądała się automatom do Skee-Balla z rękami założonymi na piersi i dezaprobatą wypisaną na twarzy.

– Nie wiedzą, że to zupełny kant?

– Ludzie po to tu przychodzą, żeby dawać się kantować – uspokoiłem ją. – To część atrakcji.

Erin westchnęła.

– A myślałam, że tylko Tom jest cynikiem.

Na drugim końcu salonu gier, pod świecącą zieloną czaszką, wisiała tablica o treści: **ZA TYMI DRZWIAMI CZEKA STRASZNY DWÓR! STRZEŻCIE SIĘ! WYJŚCIE DLA KOBIET W CIĄŻY I Z MAŁYMI DZIEĆMI NA LEWO.**

Weszliśmy do poczekalni, po której niosły się echem nagrane chichoty i krzyki. Pulsująca czerwona lampa oświetlała pojedynczą stalową szynę i ciemny wjazd do tunelu. Z jego głębi dochodziły jakieś rumory, błyski i krzyki. Te nie były nagrane. Z daleka nie wydawały się szczególnie wesołe, ale pewnie takie były. Przynajmniej niektóre.

Eddie Parks, zarządca Straszego Dworu i szef Zespołu Doberman, podszedł do nas. Miał rękawice z niewyprawionej skóry i dogmycę tak starą, że zupełnie straciła kolor (choć przy każdym błysku światel stawała się krwistoczerwona). Pociągnął nosem lekceważąco.

– Widać cholernie się wam nudzi w dzień wolny.

– Chcieliśmy zobaczyć, jak żyje druga połowa – powiedział Tom.

Erin obdarzyła Eddiego swoim najbardziej promiennym uśmiechem. Nie został odwzajemniony.

– Troje w jednym wagoniku, domyślam się. Tego chcecie?

– Tak – powiedziałem.

– Proszę bardzo. Tylko pamiętajcie, że obowiązują was te same zasady co całą resztę. Macie trzymać ręce w środku.

– Tajest! – Tom zasalutował niedbale.

Eddie spojrzał na niego jak na nowo odkryty gatunek robaka i wrócił za stery, które składały się z trzech drążków sterujących z sięgającego po pas pulpitu. Było też kilka przycisków oświetlonych lampką na wysięgniku, nisko opuszczoną, żeby jej niezbyt upiorne białe światło nie rzucało się w oczy.

– Przyjemniaczek – mruknął Tom.

Erin wsunęła jedną rękę pod prawy łokieć Toma, drugą pod mój lewy i przyciągnęła nas do siebie.



– Ktoś go w ogóle lubi? – spytała.

– Nie – powiedział Tom. – Nawet jego własny zespół. Już dwóch wywalił.

Reszta naszej grupy zaczęła nas doganiać i w tej samej chwili przyjechała kolejka wyładowana roześmianymi szaraczkami (i kilkoma zapłakаныmi dziećmi, których rodzice zapewne powinni byli usłuchać ostrzeżenia i wyjść). Erin spytała jedną z dziewczyn, czy było strasznie.

– Najstraszniej było, jak ten tu nie mógł utrzymać rąk przy sobie – powiedziała i pisnęła radośnie, kiedy jej chłopak najpierw ją pocałował w szyję, a potem pociągnął w stronę salonu gier.

Wsiedliśmy. We trójkę w wagoniku przeznaczonym dla dwóch osób było straszliwie ciasno i udo Erin napierało na moje, a jej pierś ocierała się o moje ramię. Poczułem nagłe i wcale nie nieprzyjemne mrowienie w nizej położonych rejonach ciała. Moim zdaniem – pomijając fantazje – większość mężczyzn to monogamiści od brody wzwyż. Poniżej pasa czyha znarowiony buhaj, który nie dba o to, kogo weźmie na rogi.

– Ręce w waaaaa-goniku! – krzyczał Eddie Parks monotonnym, śmiertelnie znudzonym głosem, który stanowił zupełne przeciwieństwo wesołego bajeru Lane'a Hardy'ego. – Ręce w waaaaa-goniku! Dzieci poniżej metra wzrostu trzymać na kolanach albo wysiaaa-dka! Nie ruszać się, czekać, aż pooo-przeczka opadnie!

Poprzeczki zabezpieczające opadły z brzękiem i kilka dziewczyn wydało próbne okrzyki. Rozgrzewały struny głosowe przed śpiewaniem arii grozy, można powiedzieć.

Wagonikiem szarpnęło i wjechaliśmy do Straszego Dworu.

## 41.♥

Dziewięć minut później wysiedliśmy i wyszliśmy przez salon gier z resztą klientów. Za plecami słyszeliśmy, jak Eddie zaklina następną grupę, by trzymali ręce w waaaaa-goniku i czekali, aż opadnie pooo-przeczka. Nawet na nas nie spojrzął.

– Loch nie był straszny, bo wszyscy ci więźniowie to Dobiki – stwierdziła Erin. – Ten w stroju pirata to był Billy Ruggerio. – Była zarumieniona, włosy miała zmierzwione od podmuchów powietrza z wentylatorów i myślałem sobie, że nigdy nie wyglądała pięknie. – Ale Krzycząca Czaszka naprawdę mnie wystraszyła, a Izba Tortur... mój Boże!

– Makabra, fakt – przytaknąłem. W czasach szkoły średniej oglądałem masę horrorów i wydawało mi się, że jestem na takie strachy uodporniony, ale na widok głowy z wybałuszonymi oczami, która staczała się pochyłym korytkiem z gilotyny, omal nie wyskoczyłem ze skóry. Usta wciąż jej się ruszały.

Kiedy wyszliśmy z powrotem na Joyland Avenue, zobaczyliśmy Cama Jorgensena z Zespołu Foxhound. Sprzedawał lemoniadę.

– Kto chce? – spytała Erin, wciąż jeszcze ożywiona. – Ja stawiam!

– Jasne – powiedziałem.

– Tom?

Wzruszył ramionami na znak zgody. Erin spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem i pobiegła po lemoniadę. Zerknąłem na Toma, ale patrzył na kręcącą się Rakietę. A może na coś, co było gdzieś za nią, w oddali.

Erin wróciła z trzema kartonowymi kubkami. W każdym pływała połówka plasterka cytryny. Poszliśmy z nimi do Joyland Park, tuż obok Tuptusiowa, i usiedliśmy na ocienionej ławce. Erin mówiła o nietoperzach na końcu przejażdżki, o tym, że wie, że to tylko nakręcane zabawki na drutach, ale zawsze strasznie się bała nietoperzy i...

Tu urwała.

– Tom, coś ty taki milczący? Dobrze się czujesz? Chyba nie zmuliło cię od tego kręcenia się w Beczce Śmiechu, co?

– Z brzuchem wszystko gra. – Łyknął lemoniady, jakby chciał to udowodnić. – W co ona była ubrana, Dev? Wiesz może?

– Hę?

– Ta zamordowana dziewczyna. Laurie Gray.

– Linda Gray.

– Laurie, Larkin, Linda, jeden czort. Co miała na sobie? Czy to była szeroka spódnica... długa, do łydek... i bluzka bez rękawów?

Spojrzałem na niego z uwagą. Oboje na niego patrzyliśmy, początkowo przekonani, że to kolejny wyglup Toma Kennedy'ego. Tyle że nie wyglądał jak człowiek, który się wyglupia. Sprawiał wrażenie, jakby był śmiertelnie przerażony.

Erin dotknęła jego ramienia.

– Widziałeś ją? Tylko bez żartów.

Położył dłoń na jej dłoni, ale nie patrzył na nią. Patrzył na mnie.

– Uhm – mruknął. – Długa spódnica, bluzka bez rękawów. Wiesz to, pani Shoplaw ci powiedziała.

– Jakiego koloru? – spytałem.

– Trudno określić, bo światła co chwila się zmieniały, ale wydaje mi się, że niebieskie. I bluzka, i spódnica.

Wtedy Erin zrozumiała.

– Ożeż kurde! – wymamrotała. Krew błyskawicznie odpływała z jej twarzy.

Było coś jeszcze. Coś, co według pani Shoplaw policja długo trzymała w tajemnicy.

– A jej włosy, Tom? Związane w koński ogon, zgadza się?

Potrząsnął głową. Upił łyżeczek lemoniady. Otarł usta grzbietem dłoni. Nie osiwiął, nie miał wybałuszonych oczu, ręce mu nie drżały, ale mimo to nie wyglądał jak ten sam chłopak, który wyglupiał się w Pałacu Luster, w Sali Mostu i Beczki Śmiechu. Wyglądał jak facet, któremu zrobiono lewatywę z rzeczywistości, czym wypłukano z niego całą ochotę do gówniarskich żartów.

– Nie, nie koński ogon. Miała włosy długie, owszem, ale z takim czymś na głowie, żeby nie opadały jej na twarz. Widziałem to z milion razy, lecz za skarby nie mogę sobie przypomnieć, jak dziewczyny na to mówią.

– Opaska Alicji – powiedziała Erin.

– Właśnie. Chyba też była niebieska. I ta Linda wyciągała do mnie ręce. – Wyciągnął ręce przed siebie dokładnie tak, jak zrobiła to Emmalina Shoplaw, kiedy opowiadała mi tę historię. – Jakby prosiła o pomoc.

– Usłyszałeś to wszystko od pani Shoplaw – stwierdziłem. – Mam rację? Przyznaj się, nie będziemy się gniewać. Prawda, Erin?

– Jasne.

Ale Tom pokręcił głową.

– Ja tylko mówię, co widziałem. Wy jej nie widzieliście?

Zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy, że nie.

– Dlaczego ja? – spytał Tom z żalem. – Jak już byliśmy w środku, nawet o niej nie myślałem. Po prostu się dobrze bawiłem. Dlaczego więc padło na mnie?

## 42.♥

Erin próbowała wyciągnąć z niego więcej szczegółów, kiedy wracaliśmy do Heaven's Bay moim ręką. Tom odpowiedział na jej pierwsze dwa czy trzy pytania, po czym warknął, że nie chce dłużej o tym rozmawiać. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by zwracał się do Erin takim tonem. Ona chyba też nie, bo przez resztę drogi siedziała jak mysz pod miotłą. Niewykluczone, że potem rozmawiali o tym między sobą, ale mogę wam powiedzieć, że przy mnie poruszył ten temat dopiero na jakiś miesiąc przed śmiercią, a i to tylko w kilku słowach. To było pod koniec rozmowy telefonicznej, rozmowy bolesnej przez to, że już wtedy miał urywany, nosowy głos i czasami tracił wątek.

– Przynajmniej... wiem... że coś tam jest. Widziałem... na własne oczy... tamtego lata. W Chyżej Chacie. – Nie poprawiłem go; wiedziałem, co miał na myśli. – Pamiętasz?

– Pamiętam – powiedziałem.

– Ale nie wiem... czy to coś... jest dobre... czy złe. – W jego umierającym głosie słyszałem przerażenie. – To, jak... Dev, to, jak wyciągała ręce...

Tak.

To, jak wyciągała ręce.

## 43.♥

Następny wolny dzień miałem dopiero w połowie sierpnia, kiedy szeregi szaraczków stopniały. Nie musiałem już odstawiać slalomu między ludźmi, gdy szedłem Joyland Avenue do Carolina Spin... i budy madame Fortuny, która stała w jego obracającym się cieniu.

Lane Hardy i Rozzie Gold – tego dnia była Fortuną całą gębą, w pełnym cygańskim ryszpunku – rozmawiali ze sobą przy pulpicie sterowniczym Spina. Na mój widok Lane przekrzywił melonik na drugi bok – zawsze tak mnie witał.

– Patrzcie państwo, kogo wiatr przyniósł. Jak się masz, Jonesy?

– W porządku – odparłem, nie do końca zgodnie z prawdą. Teraz, kiedy nosiłem futro tylko cztery–pięć razy dziennie, znów nie spałem po nocach. Leżałem w łóżku, przy otwartym oknie, żeby słyszeć szum fal, i czekałem, aż późna pora przejdzie we wczesną, myśląc o Wendy i jej nowym chłopaku. Myślałem też o dziewczynie, którą Tom zobaczył obok toru w Straszonym Dworze, w atrapie murowanego tunelu między Lochem a Izbą Tortur.

Odwróciłem się do Fortuny.

– Mogę z tobą porozmawiać?

Nie spytała dlaczego, tylko zaprowadziła mnie do swojej budy i zapraszającym gestem odgarnęła wiszącą w wejściu fioletową zasłonę. Zobaczyłem okrągły stół nakryty różowym obrusem. Na nim stała kryształowa kula, teraz zasłonięta kawałkiem materiału. Dwa proste składane krzesła ustawione były tak, by wróżka i klient patrzyli na siebie nad kryształową kulą (przypadkiem wiedziałem, że kula była podświetlona od dołu małą żarówką, którą madame Fortuna mogła włączać nogą). Na tylnej ścianie wisiała wielka, wykonana techniką sitodruku dłoń z rozstawionymi palcami. Naniesiono na nią siedem najważniejszych, starannie oznaczonych linii: linię życia, linię serca, linię głowy, linię miłości (zwaną też Pasem Wenus), linię słońca, linię losu i linię zdrowia.

Madame Fortuna zebrała falbaniastą spódnicę i usiadła. Wskazała mi krzesło. Nie odsłoniła kryształowej kuli ani nie zachęciła, żebym sypnął groszem, to poznam przyszłość.

– Spytaj, o co chcesz spytać – powiedziała.

– Chcę wiedzieć, czy z tą dziewczynką trafiłaś przypadkiem, czy naprawdę coś wiedziałaś. Coś widziałaś.

Długo patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem. W miejscu pracy madame Fortuny wisiała słaba woń kadzidła zamiast zapachów popcornu i smażonego ciasta. Ściany były liche, ale muzyka, trajkotanie szaraczków, łoskot karuzeli i kolejek wydawały się bardzo odległe. Miałem ochotę spuścić oczy, ale udało mi się powstrzymać.

– Tak naprawdę chcesz wiedzieć, czy jestem oszustką. Mam rację?

– Ja... szczerze mówiąc, sam nie wiem, czego chcę.

Na to się uśmiechnęła. Dobry znak – chyba pomyślnie przeszedłem jakąś próbę.

– Słodki z ciebie chłopiec, Jonesy, ale jak wielu słodkich chłopców kłamać to ty ni cholery nie potrafisz.

Zacząłem coś odpowiadać; uciszyła mnie machnięciem obciążonej pierścionkami dłoni. Sięgnęła pod stół i wyjęła kasetkę z pieniędzmi. Madame Fortuna wróżyła za darmo – wszystko w cenie biletu, panie i panowie, dziewczęta i chłopcy – ale napiwki były mile widziane. I legalne w Karolinie Północnej. Kiedy otworzyła kasetkę, zobaczyłem plik zmiętych banknotów, głównie jednodolarowych, coś, co podejrzenie przypominało planszę do loterii (nielegalnej w Karolinie Północnej), i jedną małą kopertę. Na niej, wypisane drukowanymi literami, widniało moje nazwisko. Podała mi ją. Po chwili wahania wziąłem tę kopertę.

– Nie przyszedłeś dziś do Joylandu, tylko żeby o to mnie spytać.

– Cóż...

Znów zbyła mnie machnięciem ręki.

– Doskonale wiesz, czego chcesz. Przynajmniej na krótką metę. A skoro każdy z nas może być czegokolwiek pewnym tylko na krótką metę, kimże jest Fortuna... czy nawet Rozzie Gold, żeby się z tobą spierać? Idź już. Zrób to, po co tu przyszedłeś. A potem otwórz kopertę i przeczytaj, co napisałam. – Uśmiechnęła się. – Od pracowników nie biorę pieniędzy. Zwłaszcza od takich porządnych dzieciaków jak ty.

– Ja nie...

Podniosła się wśród szelestu falban spódnicy i brzęku biżuterii.

– Idź, Jonesy. Rozmowa zakończona.

## 44. ♥

Wyszedłem z jej ciasnej kanciapy oszołomiony. Muzyka z dwu tuzinów stoisk, kramików i karuzeli uderzyła we mnie jak wiejące z różnych stron wiatry, słońce paliło jak piec. Poszedłem prosto do budynku administracji (tak naprawdę był to domek holenderski), przez grzeczność zapukałem, otworzyłem drzwi i przywitałem się z Brendą Rafferty, która zerkała to na otwartą księgę rachunkową, to na swoją wierną maszynę sumującą.

– Cześć, Devin – powiedziała. – Opiekujesz się swoją Gwiazdeczką?

– Tak, psze pani, wszyscy nad nią czuwamy.

– To Dana Elkhart, prawda?

– Erin Cook, psze pani.

– Erin, oczywiście. Zespół Beagle. Ta ruda. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałbym porozmawiać z panem Easterbrookiem.

– Odpoczywa i nie będę mu przeszkadzać. Strasznie dużo się dziś nagadał przez telefon, a mamy jeszcze trochę rachunków do przejrzania, mimo że wolałabym nie zawracać mu tym głowy. Ostatnio bardzo szybko się męczy.

– Nie zabiorę mu dużo czasu.

Westchnęła.

– Zobaczę, czy nie śpi. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– O dług wdzięczności. Zrozumie.



## 45.♥

Zrozumiał i zadał mi tylko dwa pytania. Pierwsze, czy jestem pewien. Przytaknąłem. Drugie...

– Powiedziałaś już rodzicom, Jonesy?

– Mam tylko tatę, panie Easterbrook, i zrobię to dziś wieczorem.

– Wobec tego zgoda. Daj znać Brendzie, zanim wyjdiesz. Przygotuje wszystkie potrzebne papiery i możesz je wypełnić... – Nie dokończył, obnażył końskie zęby w szerokim, potężnym ziewnięciu. – Wybacz, synu. To był męczący dzień. Męczące lato.

– Dziękuję, panie Easterbrook.

Machnął ręką.

– Nie ma sprawy. Na pewno będzie z ciebie dużo pożytku, ale jeśli zrobisz to bez zgody ojca, sprawisz mi zawód. Wychodząc, zamknij drzwi, proszę.

Próbowałem nie zauważać zmarszczonego czoła Brendy, kiedy grzebała po szafkach na dokumenty w poszukiwaniu rozmaitych formularzy niezbędnych do otrzymania etatu w Joyland, Inc. To nie pomagało, bo i tak wyczuwałem jej dezaprobatę. Złożyłem papiery, wcisnąłem je do tylnej kieszeni dżinsów i wyszedłem.

Za szeregiem duniek na drugim końcu podwórza była mała kępa błotni. Poszedłem tam, usiadłem pod drzewem i otworzyłem kopertę, którą dała mi madame Fortuna. Wiadomość była krótka i na temat.

*Idziesz do pana Easterbrooka spytać, czy pozwoli ci zostać w Joylandzie po wakacjach. Wiesz, że nie odmówi twojej prośbie.*

Miała rację, chciałem wiedzieć, czy jest oszustką. To była jej odpowiedź. I tak, już zdecydowałem, co w najbliższej przyszłości czeka Devina Jonesa. Co do tego też miała rację.

Ale była jeszcze jedna linijka tekstu.

*Uratowałaś tę dziewczynkę, ale chłopcze kochany! Nie uratujesz wszystkich.*

## 46.♥

Kiedy powiedziałem tacie, że nie wracam na uczelnię – że potrzebuję roku wolnego od studiów i że planuję spędzić ten czas w Joylandzie – na drugim końcu linii, w południowym Maine, zapadła długa cisza. Myślałem, że mnie skrzyczy, ale tego nie zrobił. W jego głosie brzmiało tylko zmęczenie.

– To przez tę dziewczynę, prawda?

Prawie dwa miesiące wcześniej powiedziałem mu, że Wendy i ja musimy „trochę od siebie odpocząć”, ale tata przejrzał mnie na wylot. Od tego czasu ani razu nie wymienił jej imienia w trakcie naszych cotygodniowych rozmów telefonicznych. Teraz była tylko „tą dziewczyną”. Za którymś razem, kiedy tak ją nazwał, próbowałem obrócić to w żart, mówiąc, że lepsza ta dziewczyna niż tamta czy nawet owa. Nie rozśmieszyłem go. Więcej nie próbowałem.

– Po części tak – przyznałem – ale nie tylko. Po prostu potrzebuję przerwy. Oddechu. Poza tym spodobało mi się tutaj.

Westchnął.

– Może faktycznie przerwa dobrze ci zrobi. Przynajmniej będziesz pracował, zamiast włóczyć się autostopem po Europie jak córka Deweya Michauda. Czternaście miesięcy w schroniskach młodzieżowych! Czternaście jak do tej pory! Wielkie nieba! Wróci z grzybicą i brzuchem.

– Cóż, myślę, że zdołam uniknąć jednego i drugiego. Jeśli będę ostrożny.

– Tylko uważaj na huragany. Podobno w tym roku ma ich być sporo.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, tato?

– A co? Chciałeś, żebym się z tobą spierał? Usiłował ci to wyperswadować? Mogę spróbować, ale wiesz, co powiedziałaaby twoja matka: skoro jest na tyle dorosły, że może legalnie kupować alkohol, to może też zacząć samodzielnie decydować o swoim życiu.

Uśmiechnąłem się.

– Uhm. To byłoby w jej stylu.

– Moje zdanie jest takie: nie chcę, żebyś wracał na uczelnię, jeśli miałbyś przez cały czas wzdychać do tej dziewczyny i zaniedbywać naukę. Jeżeli malowanie karuzeli i sprzątanie

kramików pomoże ci się z niej wyleczyć, pewnie warto spróbować. Ale co będzie z twoim stypendium i kredytem studenckim, gdybyś chciał wrócić na studia przyszłą jesienią?

– Nie będzie z tym kłopotu. Mam średnią 3,2; to mocny argument.

– Ta dziewczyna – powiedział tonem bezbrzeżnej odrazy, po czym przeszliśmy do innych tematów.

## 47.♥

Wciąż byłem smutny i przygnębiony końcem mojego związku z Wendy, co do tego miał rację, lecz rozpocząłem już trudną podróż („wędrowkę”, jak to ostatnimi czasy nazywają w grupach wsparcia) od zaprzeczenia do akceptacji. Prawdziwy spokój ducha był jeszcze daleko za horyzontem, ale nie miałem już wrażenia – jak w te długie, bolesne dni i noce czerwcowe – że jest czymś nieosiągalnym.

Decyzja o pozostaniu w Joylandzie miała inne przyczyny, które trudno było ułożyć w logiczną całość, bo mieszały się ze sobą w bezładnej stercie przewiązanej szorstkim sznurem intuicji. Gdzieś w tym splocie była Hallie Stansfield. Były też słowa wypowiedziane przez Bradleya Easterbrooka dawno, na początku lata: „sprzedajemy zabawę”. Do tego dochodził szum oceanu nocą i cicha pieśń silnej bryzy wiejącej przez konstrukcję Carolina Spin. Chłodne tunele pod lunaparkiem. Gadka, ten tajemny język, który inne żółtodzioby do Bożego Narodzenia zapomną. Ja nie chciałem go zapomnieć; był zbyt bogaty. Czułem, że Joyland ma mi coś jeszcze do zaoferowania. Nie wiedziałem co konkretnie, tylko... coś.

Ale przede wszystkim – dziwna sprawa, wiele razy dokładnie analizowałem moje wspomnienia tamtych dni, by się upewnić, że pamięć mnie pod tym względem nie myli, i doszedłem do wniosku, że nie – postąpiłem tak dlatego, że nasz Niewierny Tomasz zobaczył ducha Lindy Gray. To go odmieniło w sposób może ledwo zauważalny, lecz zasadniczy. Nie sądzę, by Tom chciał się zmienić – myślę, że dobrze się czuł taki, jaki był – ale ja chciałem.

Pragnąłem też ją zobaczyć.

## 48.♥

W drugiej połowie sierpnia kilku starych wiarusów – między innymi Papcio Allen i Dottie Lassen – kazało mi się modlić o deszcz w pierwszy długi weekend września. Deszcz nie spadł i w sobotnie popołudnie zrozumiałem, o co im chodziło. Szaraczki nadciągnęły tłumnie, żeby pożegnać lato z hukiem, i Joyland był zavalony do granic możliwości. Co gorsza, połowa pracowników sezonowych już wróciła na swoje uczelnie. Ci, co zostali, harowali jak psy.

Niektórzy z nas harowali nie tylko jak psy, ale i jako psy – a konkretnie jeden szczególnie pies. Większą część tego weekendu widziałem przez siateczkę w oczach Wesołego Psa Howiego. W niedzielę dwanaście razy włożyłem ten cholerny futrzany kostium. Po przedostatnim występie pokonałem trzy czwarte długości Bulwaru pod Joyland Avenue, gdy świat w odcieniach szarości zaczął mi się rozmywać przed oczami. Pamiętam, że pomyślałem: Jeszcze trochę i spotkam Lindę Gray.

Jechałem małym wózkiem elektrycznym, w futrze ściąg-niętym po pas, żeby czuć podmuch klimatyzacji na mojej spoconej piersi, i kiedy zdałem sobie sprawę, że odpływam, zachowałem dość przytomności umysłu, by odbić pod ścianę i zdjąć nogę z gumowego przycisku, który służył za pedał gazu. Gruby Wally Schmidt, ten sam, który zgadywał wagę klientów, akurat był na przerwie w trupiarni. Zobaczył, że siedzę w krzywo zaparkowanym wózku z głową zwieszoną nad drążkiem sterowniczym. Wyjął z lodówki dzbanek wody z lodem, poczłapał do mnie i uniósł mój podbródek pulchną dłonią.

– Hej, świeżak. Masz zapasowy kostium, czy tylko ten na ciebie pasuje?

– Jeszt jeszcze jeden – wybełkotałem jak pijak. – W szszkładzie kosztiumów. XL-ka.

– A, to dobrze – powiedział i wylał mi cały dzbanek na głowę.

Mój okrzyk zaskoczenia poniósł się echem po Bulwarze i ściągnął do nas kilka osób.

– Kurwa, Gruby Wally, co ty?!

Uśmiechnął się szeroko.

– Od razu się ocknąłeś, co? Pewnie, że tak. Ostatni weekend lata, żółtodziobie. To znaczy, że masz pracować, nie spać. Dziękuj swoim szczęśliwym gwiazdom, że na dworze nie ma czterdziestu stopni.

Gdyby było czterdzieści stopni, nie opowiadałbym tej historii; umarłbym z usmażonym mózgiem w połowie Tańca Wesołego Howiego na Bajkowej Scenie Tuptusiowej Wioski. Ale w świąteczny poniedziałek było pochmurno i wiała przyjemna bryza. Jakoś przeżyłem.

Koło czwartej, kiedy przebierałem się w rezerwowe futro przed moim ostatnim letnim występem, do składu kostiumów wszedł Tom Kennedy. Już nie w dogmycy i brudnych tenisówkach. Miał na sobie schludnie uprasowane spodnie chinos (gdzieś ty je ukrywał? – pomyślałem), starannie w nie włożoną koszulę Ivy League i eleganckie półbuty. Różanolicy sukinsyn nawet się ostrzygł. Wyglądał jak student biznesu pełną gębą. Nikt by się nie domyślił, że zaledwie dwa dni wcześniej czołgał się z wiadrem oleju pod Zipperem w brudnych lewisach, z których wyłaził mu tyłek, i klął na Papcia Allena, nieustraszonego wodza naszego Zespołu Beagle, ilekroć walnął głową w jakąś belkę.

– Wyjeżdżasz? – spytałem.

– Zgadza się, przyjacielu. Jutro o ósmej rano mam pociąg do Filadelfii. Posiedzę tydzień w domu, a potem wracam do kieratu.

– Gratulacje.

– Erin musi jeszcze załatwić parę spraw, ale wieczorem mamy się spotkać w Wilmington. Zarezerwowałem pokój w małym, ładnym pensjonacie.

Poczułem tępą zazdrość.

– Fajnie.

– Naprawdę mi na niej zależy – powiedział.

– Wiem.

– Na tobie też, Dev. Będziemy w kontakcie. Ludzie tak mówią tylko na odwal się, ale ja nie. Będziemy w kontakcie, obiecuję. – Podał mi rękę.

Uścisnąłem ją.

– Jasne. Jesteś w porządku, Tom, a Erin to dziewczyna, jakich ze świecą szukać. Dbaj o nią.

– Żaden kłopot. – Uśmiechnął się szeroko. – Na drugim semestrze przenosi się na Rutgers. Nauczyłem ją już hymnu naszej drużyny, Scarlet Knights. No wiesz: „Do boju, Czerwoni, Czerwoni, do boju”...

– Skomplikowany – powiedziałem.

Pogroził mi palcem.

– Sarkazmem niczego na tym świecie nie osiągniesz, chłopcze. Chyba że liczysz na posadę w redakcji „Mad”.

– Moglibyście skrócić pożegnanie i ograniczyć łyzy do minimum? – zapytała Dottie Lassen. – Masz robotę, Jonesy.

Tom odwrócił się do niej i rozłożył ramiona.

– Dottie, jak ja cię kocham! Jakże mi cię będzie brakować!

Klepnęła się w tyłek, by pokazać, jak bardzo ją to wzruszyło, po czym odwróciła się do kostiumu, który wymagał naprawy.

Tom podał mi świstek papieru.

– Mój adres domowy, adres uczelniany, numery telefonów pod oba adresy. Oczekuję, że z nich skorzystasz.

– Jasne.

– Naprawdę odpuścisz sobie rok picia piwa i obracania lasek, żeby zeszkrobywać farbę tu, w Joylandzie?

– Uhm.

– Zwariowałaś?

Przemyślałem to.

– Pewnie tak. Trochę. Ale mi się polepsza.

Byłem spocony, a on miał czyste ubranie, ale mimo to pożegnał mnie krótkim uściskiem. Potem ruszył do drzwi, po drodze zatrzymując się, żeby pocałować Dottie w pomarszczony policzek. Nie mogła go zwymyślać – trzymała w ustach szpilki – ale odpędziła go machnięciem ręki.

W drzwiach odwrócił się do mnie.

– Poradzić ci coś, Dev? Trzymaj się z dala od... – Machnął głową w bok i dobrze wiedziałem, o co mu chodziło: o Straszny Dwór. A potem wyszedł, pewnie myśląc o wizycie w domu i o Erin, o samochodzie, który miał nadzieję kupić, i o Erin, o nadchodzącym roku akademickim i o Erin. Do boju, Czerwoni, Czerwoni, do boju. Na drugim semestrze będą mogli skandować to razem. Kurczę, mogli skandować to tej nocy, gdyby mieli ochotę. W Wilmington. W łóżku. Razem.

## 49.♥

W Joylandzie nie było zegara rejestrującego czas pracy; szefowie zespołów pilnowali, o której przychodziliśmy i wychodziliśmy. Po moim ostatnim występie w roli Howiego tego pierwszego wrześniowego poniedziałku Papcio Allen kazał, żebym przyszedł do niego z kartą zegarową.

– Została mi jeszcze godzina – powiedziałem.

– Nie, ktoś czeka przy bramie, żeby cię odprowadzić. – Wiedziałem, kim ten ktoś musiał być. Trudno było uwierzyć, że w skurczonym do rozmiarów rodzyńka sercu Papcia mogła skrywać się słabość do kogokolwiek, ale tak było, tego lata panna Erin Cook zawładnęła nim bez reszty. – Znasz plan na jutro?

– Od wpół do ósmej do szóstej – powiedziałem. I zero futra. O szczęście niepojęte!

– Przez pierwszych parę tygodni nadal będę twoim szefem, potem jadę na słoneczną Florydę. Od tego czasu będziesz podlegał Lane’owi Hardy’emu. I Freddie’emu Deanowi, jak sądzę, jeśli przypadkiem zauważy, że jeszcze jesteś.

– Rozumiem.

– To dobrze. Podpiszę twoją kartę i jesteś dziesięć-czterdzieści dwa. – To w gadce znaczyło to samo, co w tak wówczas popularnym żargonie użytkowników CB-radia: Zjazd do bazy. – Aha, i Jonesy... Powiedz tej dziewczynie, żeby raz na jakiś czas przysłała mi kartkę. Będzie mi jej brakować.

Nie tylko jemu.



## 50.♥

Erin też już powoli przestawiała się z Życia w Joylandzie na Życie w Świecie Rzeczywistym. Zniknęły sprane dzinsy i T-shirt z czupurnie podwiniętymi do ramion rękawami; zniknęła też zielona sukienka Gwiazdeczki i czapeczka rodem z lasu Sherwood. Dziewczyna skąpana w szkarłatnym blasku neonu nad bramą miała na sobie jedwabistą niebieską bluzkę bez rękawów włożoną w krótką spódnicę przewiązaną paskiem. Wyglądała pięknie.

– Odprowadź mnie plażą – poprosiła. – Mam akurat dość czasu, żeby zdążyć na autobus do Wilmington. Jestem umówiona z Tomem.

– Mówił mi. Ale nie przejmuj się autobusem. Podwiozę cię.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Szliśmy po drobnym białym piasku. Na niebie wisiał półksiężyc malujący świetlistą smugę na wodzie. W połowie dystansu do Heaven's Beach – ściśle: niedaleko wielkiego zielonego domu w stylu wiktoriańskim, który odegrał tak wielką rolę w moim życiu tej jesieni – wzięła mnie za rękę i tak pokonaliśmy resztę drogi. Niewiele mówiliśmy aż do chwili, kiedy stanęliśmy u podnóża schodów prowadzących na parking koło plaży. Wtedy odwróciła się do mnie.

– Wyleczysz się z niej. – Patrzyła mi prosto w oczy. Tego wieczora nie miała makijażu i go nie potrzebowała. Blask księżyca był jej makijażem.

– Tak – powiedziałem. Wiedziałem, że to prawda, i trochę było mi żal. Trudno wypuścić z ręki coś, czego człowiek się kurczowo trzymał. Nawet kiedy to coś jest najeżone cierniami. Może zwłaszcza wtedy.

– I w tej chwili to odpowiednie miejsce dla ciebie. Czuję to.

– A Tom to czuje?

– Nie, ale on nigdy nie myślał o Joylandzie tak jak ty... i ja tego lata. A po tym, co się stało wtedy w tunelu strachu... co zobaczył...

– Rozmawiacie o tym w ogóle?

– Próbowałam. Dałam sobie spokój. To nie pasuje do jego sposobu postrzegania świata, więc stara się to wyprzeć z pamięci. Ale myślę, że martwi się o ciebie.

– A ty?

– W związku z duchem Lindy Gray nie. W związku z duchem tamtej Wendy trochę.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Mój ojciec w ogóle nie wypowiada jej imienia. Nazywa ją „tą dziewczyną”. Erin, mogłabyś coś dla mnie zrobić, kiedy wrócisz na studia? To znaczy, jeśli znajdziesz czas?

– Pewnie. O co chodzi?

Powiedziałem jej.

## 51.♥

Poprosiła, żebym nie wiozł jej do pensjonatu, w którym Tom wynajął pokój, tylko wysadził ją przy dworcu autobusowym w Wilmington. Wołała pojechać tam taksówką. Zamierzałem protestować, że szkoda pieniędzy, ale ugryzłem się w język. Wydawała się spięta i nieco skrępowana. Domyśliłem się – nie chciała zaraz po opuszczeniu mojego samochodu zrzucić z siebie ciuchów i wskoczyć do łóżka z Tomem Kennedym.

Kiedy zatrzymałem wóz naprzeciwko postoju taksówek, położyła dłonie na moich policzkach i pocałowała mnie w usta. To był długi i w pełni pełny pocałunek.

– Gdyby nie pojawił się Tom, sprawiłabym, że zapomniałbyś o tej głupiej dziewczynie – powiedziała.

– Ale się pojawił – odparłem.

– Tak. To prawda. Bądźmy w kontakcie, Dev.

– Pamiętaj, o co cię poprosiłem. Oczywiście jeśli będziesz miała okazję.

– Będę pamiętać. Jesteś słodki.

Nie wiem dlaczego, ale na te słowa zachciało mi się płakać. Jednak uśmiechnąłem się.

– Poza tym przyznaj, byłem cholernie dobrym Howiem.

– To prawda. Devin Jones, wybawca małych dziewczynek.

Przez chwilę myślałem, że znowu mnie pocałuje, ale tego nie zrobiła. Wysiadła z mojego samochodu i z rozwianą spódnicą pobiegła przez ulicę na postój taksówek. Zaczekałem, aż odjedzie. Wtedy ruszyłem w drogę powrotną na Heaven's Beach, do pani Shoplaw i mojej jesieni w Joylandzie – najlepszej, a zarazem najgorszej jesieni mojego życia.

## 52.♥

Czy Annie i Mike Ross siedzieli na końcu chodnika z desek przy zielonym wiktoriańskim domu, kiedy następnego dnia szedłem plażą do Joylandu? Pamiętam ciepłe croissanty, które jadłem po drodze, i krążące mi nad głową mewy, ale czy byli tam oni, tego nie jestem do końca pewien. Stali się do tego stopnia ważnym elementem pejzażu – punktem odniesienia – że nie potrafię wskazać momentu, kiedy pierwszy raz ich zauważyłem. Nic tak nie szkodzi pamięci jak powtórzenia.

Dziesięć lat po wydarzeniach, o których wam opowiadam, pracowałem (może za moje grzechy) w redakcji pisma „Cleveland”. Pierwsze wersje moich tekstów najczęściej pisałem w żółtych notatnikach w kawiarni na Zachodniej Trzeciej, blisko stadionu Lakefront, na którym w tamtych czasach grali Indians. Codziennie o dziesiątej wchodziła młoda kobieta, która zamawiała cztery–pięć kaw i zanosila je do agencji nieruchomości po sąsiedzku. I też nie potrafię powiedzieć, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Wiem tylko, że pewnego dnia ją zobaczyłem, a potem zauważyłem, że wychodząc, czasem zerkala na mnie. W końcu za którymś razem odwzajemniłem to zerknięcie i kiedy się uśmiechnęła, ja też się uśmiechnąłem. Osiem miesięcy później wzięliśmy ślub.

Z Annie i Mikiem było podobnie; pewnego dnia po prostu stali się rzeczywistą częścią mojego świata. Ja machałem ręką do nich, chłopak na wózku inwalidzkim machał do mnie, a pies z nadstawionymi uszami i zmierzwioną wiatrem sierścią mnie obserwował. Kobieta była piękną blondynką – wydatne kości policzkowe, szeroko rozstawione niebieskie oczy i pełne usta, takie, które zawsze wydają się lekko opuchnięte. Chłopak na wózku miał naciągniętą na uszy baseballówkę White Sox. Wyglądał na ciężko chorego. Za to jego uśmiech tryskał zdrowiem. Zawsze mi go posyłał, kiedy przechodziłem w jedną lub drugą stronę. Raz czy dwa razy nawet pokazał mi znak pokoju i odpowiedziałem tym samym. Stałem się nieodłączną częścią jego pejzażu, tak jak on mojego. Myślę, że nawet Milo, jego piesek, zaczął rozpoznawać we mnie stały element krajobrazu. Tylko mama chłopca trzymała się na dystans. Często kiedy przechodziłem, nawet nie podnosiła głowy znad książki. Gdy to robiła, nie machała do mnie, a już na pewno nie pokazywała znaku pokoju.



## 53.♥

W Joylandzie zajęć mi nie brakowało i choć praca nie była tak ciekawa i zróżnicowana jak latem, to przynajmniej stała się bardziej stabilna i mniej wyczerpująca. Miałem nawet okazję znów wystąpić w mojej popisowej roli Howiego i jeszcze kilka razy zaśpiewać *Happy Birthday* w Tuptusiowej Wiosce, bo Joyland był otwarty w pierwsze trzy weekendy września. Frekwencja jednak mocno spadła i nie miałem kompletu na żadnej karuzeli. Nawet na Carolina Spin, który popularnością ustępował tylko tradycyjnej karuzeli z figurami zwierząt.

– Na północy, w Nowej Anglii, większość lunaparków jest czynna w weekendy do Halloween – powiedział mi Fred Dean któregoś dnia. Siedzieliśmy na ławce i jedliśmy pożywny, bogaty w witaminy lunch złożony z hamburgerów z chili i skwarków. – Na południu, na Florydzie, są otwarte przez cały rok. My jesteśmy w takiej, że tak powiem, strefie letniej. Pan Easterbrook próbował w latach sześćdziesiątych wprowadzić sezon jesienny... wydał kupę forsy na dużą kampanię reklamową, ale to się nie sprawdziło. Kiedy noce robią się chłodne, ludzie z tych stron zaczynają myśleć o jarmarkach, kiermaszach i innych takich. Poza tym wielu naszych weteranów zimą wyjeżdża. – Spojrzał w głąb pustej Hound Dog Way i westchnął. – O tej porze roku człowiek czuje się tu trochę samotny.

– Mnie to odpowiada. – Mówiłem prawdę. To był rok, w którym zżyłem się z samotnością. Czasem chodziłem do kina w Lumberton albo Myrtle Beach z panią Shoplaw i Tiną Ackerley, bibliotekarką o wielkich oczach, ale zwykle wieczory spędzałem w swoim pokoju, gdzie któryś już raz czytałem *Władcę Pierścieni* i pisałem listy do Erin, Toma i mojego taty. Pisałem też sporo wierszy, o których dziś wstydzę się nawet myśleć. Dzięki Bogu, że je spaliłem. Dodałem nową i cudownie ponurą płytę do mojej kolekcji – *The Dark Side of the Moon*. Księga Przysłów uczy nas, że „jak pies do wymiotów powraca, tak głupi powtarza szaleństwa”. Tej jesieni wracałem do *Dark Side* raz za razem, od czasu do czasu dając Floydowi odpocząć, żeby znów posłuchać Jima Morrisona melancholijnie zawodzącego *This is the end, beautiful friend*. Poważny przypadek młodzieńczego doła – wiem, wiem.

Przynajmniej w Joylandzie miałem się czym zająć. Pierwsze parę tygodni, kiedy lunapark jeszcze był otwarty w niepełnym wymiarze czasu, upłynęło pod znakiem jesiennych porządków.

Fred Dean postawił mnie na czele małej ekipy wycirusów i zanim na bramie zawisła tabliczka ZAMKNIĘTE DO WIOSNY, zagrabilśmy i przystrzygliśmy wszystkie trawniki, przygotowaliśmy wszystkie kwietniki do zimy, wyszorowaliśmy wszystkie kramiki i budki. Na tyłach Joylandu postawiliśmy szopę z blachy falistej i schowaliśmy do niej wózki gastronomiczne (w gadce zwane żarłozami), a także te, z których sprzedawano popcorn i lody, oraz przyczepę Łapy Lizać starannie nakrytą zieloną plandeką.

Kiedy wycirusy ruszyły na północ zbierać jabłka, ja, Lane Hardy i Eddie Parks, zręczliwy weteran, który w sezonie prowadził Straszny Dwór (i Zespół Doberman), zajęliśmy się przygotowaniami do zimy. Opróżniliśmy wodotrysk u zbiegu Joyland Avenue i Hound Dog Way i właśnie zabieraliśmy się do pracy przy zjeżdźalni Szust i Chlust Kapitana Nemo – dużo większe wyzwanie – kiedy przyszedł Bradley Easterbrook ubrany do podróży w czarny garnitur.

– Wieczorem wyjeżdżam do Sarasoty – rzekł. – Zabieram ze sobą Brendę Rafferty, jak zwykle. – Uśmiechnął się, obnażając te swoje końskie zęby. – Robię obchód i wszystkim dziękuję. To znaczy tym, którzy zostali.

– Życzę panu wspaniałej zimy, panie Easterbrook – powiedział Lane.

Eddie wymamrotał coś, co usłyszałem jako „strzyż okiem wrogim”, ale pewnie było słowami „szerokiej drogi”.

– Dziękuję za wszystko – odezwałem się.

Ucisnął nam dłonie. Do mnie podszedł na końcu.

– Mam nadzieję, że za rok znowu się zobaczymy, Jonesy. Myślę, że masz w sobie wiele z kuglarza.

Jednak za rok nie zobaczyłem go ani ja, ani nikt inny. Pierwszego stycznia pan Easterbrook zmarł w apartamencie na John Ringling Boulevard, pół kilometra od miejsca, w którym zimuje słynny cyrk.

– Stary wariat – mruknął Parks, patrząc, jak Easterbrook idzie do swojego samochodu, przy którym Brenda czekała, żeby pomóc mu wsiąść.

Lane długo wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, po czym rzekł:

– Zamknij się, Eddie.

Eddie się zamknął. Co pewnie było rozsądne.

## 54.♥

Pewnego ranka, kiedy szedłem z croissantami do Joylandu, Jack Russell terrier w końcu przytruchtał po plaży, żeby mnie obejrzyć z bliska.

– Milo, do nogi! – zawołała kobieta.

Milo zerknął na nią, po czym popatrzył na mnie swoimi błyszczącymi czarnymi ślepkami. Pod wpływem impulsu oderwałem kawałek rogalika i ukucnąłem. Przybiegł jak błyskawica.

– Nie karm go! – krzyknęła kobieta ostrym tonem.

– Oj, mamó, daj spokój – powiedział chłopiec.

Milo usłyszał ją i nie przyjął poczęstunku... ale usiadł i zaczął służyć. Dałem mu kawałek croissanta do pyska.

– Więcej tego nie zrobię – obiecałem, wstając – ale szkoda zmarnować taką dobrą sztuczkę.

Kobieta prychnęła i wróciła do swojej książki, która była gruba i wyglądała na żmudną lekturę.

– Karmimy go na okrągło – rzekł chłopiec. – W ogóle nie tyje, wszystko spala, bo biega jak szalony.

Nie podnosząc oczu znad książki, jego mama zapytała:

– Co mówiliśmy o rozmawianiu z nieznajomymi, Mike?

– Żaden z niego nieznajomy, skoro codziennie go widzimy – zauważył chłopiec.

Całkiem rozsądnie, z mojego punktu widzenia.

– Jestem Devin Jones – powiedziałem. – Mieszkam kawałek dalej przy plaży. Pracuję w Joylandzie.

– W takim razie na pewno nie chcesz się spóźnić. – Wciąż nie podnosiła głowy.

Chłopiec spojrział na mnie i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: I co ja na to poradzę? Był blady i zgarbiony jak starzec, ale odniosłem wrażenie, że to wzruszenie ramion i towarzysząca mu mina dowodziły żywego poczucia humoru. Odpowiedziałem mu tym samym gestem i ruszyłem dalej. Następnego ranka specjalnie zjadłem croissanty, zanim doszedłem do wielkiego zielonego wiktoriańskiego domu, żeby nie kusić Milo, ale pomachałem ręką. Chłopak,



Mike, pomachał do mnie. Kobieta była na swoim zwykłym miejscu pod zielonym parasolem i nie miała książki, ale – jak zwykle – nie pomachała. Jej piękna twarz była jak zamknięta książka. Nic tu po tobie, wyczytałem z niej. Idź do swojego tandetnego parku rozrywki i zostaw nas w spokoju.

Tak zrobiłem. Tego dnia i w kolejne też. Ale wciąż do nich machałem, a chłopiec machał do mnie. Rano i wieczorem chłopiec machał do mnie ręką.

## 55.♥

W pierwszy poniedziałek po wyjeździe Gary'ego Allena, czyli Papcia, na Florydę – do Alston's All-Star Carnival w Jacksonville, gdzie miał zaklepaną fuchę na strzelnicy – przyszedłem do Joylandu i zastałem Eddiego Parksa, najmniej przeze mnie lubianego starego wiarusa, siedzącego na skrzynce przed Strasznym Dworem. Palenie w lunaparku było *verboden*, ale skoro pan Easterbrook wyjechał, a Freda Deana nie było w zasięgu wzroku, Eddie najwyraźniej uznał, że może olać ten zakaz. Palił w rękawicach, co wydałoby mi się dziwne, gdyby kiedykolwiek je zdejmował, ale nigdy nie widziałem go bez nich.

– No, jesteś, młody, i spóźniłeś się tylko pięć minut. – Wszyscy wołali na mnie Dev albo Jonesy, ale dla Eddiego byłem po prostu „młodym” i tak już miało pozostać na zawsze.

– Na moim jest punkt wpół do ósmej – powiedziałem, stukając w zegarek.

– To ci się spóźnia. Dlaczego nie przyjeżdżasz z miasta samochodem jak wszyscy? Byłbyś tu w pięć minut.

– Lubię plażę.

– Sram na to, co lubisz, młody, masz być o czasie i już. To nie uniwersum, gdzie możesz sobie przychodzić i wychodzić z zajęć, kiedy chcesz. Tu się pracuje i teraz, kiedy Beagle Numer Jeden wyjechał, masz się przykładać do roboty.

Mogłem zwrócić uwagę, że według Papcia po jego wyjeździe Lane Hardy miał mi wyznaczać obowiązki, ale trzymałem język za zębami. Nie było co pogarszać i tak już złej sytuacji. Co się tyczy powodu, dla którego Eddie za mną nie przepadał, sprawa była oczywista. Eddie niechęcią obdzielał wszystkich równo. Gdyby życie z nim stało się zbyt ciężkie, mogłem pójść do Lane'a, ale to tylko w ostateczności. Ojciec nauczył mnie – głównie swoim przykładem – że jeśli człowiek chce być panem swojego losu, musi sam sobie radzić ze swoimi problemami.

– Co pan dla mnie ma, panie Parks?

– Dużo spraw. Na początek skoczysz do szopy po pudełko wosku Turtle Wax, tylko nie trać tam czasu na pogaduchy ze swoimi kolegami. Potem pójdziesz do Straszego Dworu i nawoskujesz wszystkie wagoniki. – Oczywiście wymówił to „waaa-goniki”. – Wiesz, że po sezonie je woskujemy, co?

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem.

– Jezu Chryste, co ja z wami mam, małolaty. – Zdeptał niedopałek, po czym uniósł skrzynkę, na której siedział, i wsunął go pod nią. Jakby w ten sposób pet miał zniknąć. – Tylko masz się przyłożyć, młody, bo inaczej każę ci robić wszystko od nowa. Jasne?

– Jasne.

– Cieszę się. – Wsadził do gęby następnego papierosa i zaczął szukać zapalniczki w kieszeni spodni. W rękawicach zajęło mu to trochę czasu. W końcu ją wyciągnął, otworzył wieczko i znieruchomiał. – Na co się gapisz?

– Na nic – powiedziałem.

– To rusz się. Zapal se światła, żebyś widział, kurwa, co robisz. Chyba wiesz, gdzie są włączniki?

Nie wiedziałem, ale uznałem, że znajdę je bez jego pomocy.

– Jasne.

Przyjrzał mi się z kwaśną miną.

– Jakiś ty bystry.

Byyy-stry.

## 56.♥

Znalazłem metalową skrzynkę z napisem OŚW na ścianie między Gabinetem Figur Woskowych a Salą Mostu i Beczki Śmiechu. Otworzyłem ją i pchnąłem wszystkie włączniki nasadą dłoni. Przy zapalonych światłach Straszny Dwór powinien był stracić całą swoją kiczowato-złowieszcą aurę tajemniczości, ale tak się z jakiegoś powodu nie stało. W kątach wciąż stały się cienie. Słyszałem, jak wiatr – tego ranka dość silny – wieje za cienkimi drewnianymi ścianami i grzechocze jakąś obłuzowaną deską. Zapisałem sobie w pamięci, żeby ją znaleźć i naprawić.

Z dłoni zwisał mi druczany koszyk wypełniony czystymi szmatami i wielką puszką wosku Turtle Wax. Przeniosłem go przez Krzywy Pokój – teraz znieruchomiały w przechyle na prawą burtę – i wszedłem do salonu gier. Spojrzałem na automaty do Skee-Balla i przypomniałem sobie pełne dezaprobaty słowa Erin: „Nie wiedzą, że to zupełny kant?”. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie, ale serce waliło mi mocno. Bo, proszę ja was, wiedziałem już, co zrobię po skończonej robocie.

Wagoniki, w sumie dwadzieścia, stały w punkcie załadunku pasażerów. Przede mną tunel prowadzący w trzewia Straszego Dworu oświetlony był dwoma reflektorami roboczymi zamiast błyskających lamp stroboskopowych. Wyglądał przez to dużo bardziej prozaicznie.

Byłem prawie pewien, że Eddie przez całe lato nawet nie przetarł wagoników mokrą ścierką, a to znaczyło, że na początek musiałem je wyszorować. Co wymagało pójścia do szopy po proszek mydlany i noszenia wiader wody z najbliższego czynnego kranu. Kiedy umyłem i opłukałem wszystkie dwadzieścia wagoników, była już pora przerwy na lunch, ale postanowiłem pracować dalej, zamiast pójść na tyły czy do trupiarni na kawę. I tu, i tam mogłem spotkać Eddiego, a dość się już nasłuchiwałem jego gderania jak na jeden poranek. Wziąłem się więc do woskowania wagoników, pokrywałem je grubą warstwą wosku, a potem pucowałem jeden po drugim dotąd, aż w świetle reflektorów lśniły jak nowe. Nie żeby następna grupa żądnych emocji śmiazków miała to zauważyć, gdy władują się do nich na dziewięćminutową przejażdżkę. Kiedy skończyłem, rękawice miałem całkiem zniszczone. Trzeba będzie kupić nowe w sklepie z

narzędziami w mieście, stwierdziłem, a porządne nie były tanie. Uśmiechnąłem się pod nosem na myśl o tym, jak zareagowałby Eddie, gdybym zażądał, żeby za nie zapłacił.

Postawiłem koszyk z brudnymi szmatami i puszką wosku (już prawie pustą) przy wyjściu z salonu gier. Było dziesięć po dwunastej, ale w tamtej chwili nie głód był we mnie najsilniejszy. Rozprostowałem obolałe ręce i nogi, po czym wróciłem do poczekalni. Przez chwilę podziwiałem wagoniki lśniące łagodnie w blasku reflektorów i wreszcie powoli poszedłem wzdłuż szyny do właściwego Straszego Dworu.

Musiałem schylić głowę, żeby przejść pod Krzyczącą Czaszką, mimo że była podciągnięta i umocowana w pozycji wyjściowej. Za nią zaczynał się Loch, w którym przebierańcy z Zespołu Doberman Eddiego próbowali (przeważnie z powodzeniem) straszyć małe i duże dzieci jękami i skowytami. Tu znów mogłem się wyprostować, bo pomieszczenie było wysokie. Moje kroki rozbrzmiewały echem, kiedy szedłem po drewnianej podłodze pomalowanej na imitację kamienia. Słyszałem mój oddech – chrapliwy, suchy. Bałem się. Tom kazał mi się trzymać z dala od tego miejsca, ale Tom był dla mnie nie większym autorytetem życiowym niż nie przymierzając Eddie Parks. Miałem The Doors, miałem Pink Floyd, ale chciałem czegoś więcej. Chciałem Lindy Gray.

Między Lochem a Izbą Tortur tor opadał i opisywał podwójne S, na którym wagoniki przyspieszały, rzucając pasażerami z boku na bok. W Straszonym Dworze panowała ciemność, ale to był jedyny rzeczywiście ciemny odcinek. Na pewno tutaj morderca poderżnął gardło dziewczynie i porzucił jej ciało. Jakże musiał być szybki i jak pewny w tym, co robił! Za ostatnim zakrętem pasażerów oślepiały migające wielokolorowe lampy stroboskopowe. Choć Tom nie powiedział tego wprost, byłem przekonany, że w tym miejscu zobaczył ducha.

Powoli ruszyłem w głąb podwójnego S, myśląc, że Eddiego byłoby stać na to, by usłyszawszy mnie, zgasić dla żartu reflektory. Zmusić mnie, bym szedł po omacku przez miejsce zbrodni, mając do towarzystwa tylko szum wiatru i stukot tej jednej obluzowanej deski. A gdyby tak... gdyby tak... z ciemności wychynęła dziewczęca dłoń i wzięła mnie za rękę, tak jak zrobiła to Erin tamtego ostatniego wieczoru na plaży?

Światła pozostały zapalone. Ani zakrwawiona koszula, ani rękawice nie ukazały się obok toru w widmowej poświacie. A kiedy doszedłem do, jak sądziłem, właściwego miejsca, tuż przed wejściem do Izby Tortur, nie zobaczyłem wyciągającego do mnie ręce ducha dziewczyny.

A mimo to coś tam było. Wiedziałem to wtedy i wiem teraz. Powietrze było zimniejsze. Nie na tyle zimne, żeby para szła z ust, ale tak, zdecydowanie zimniejsze. Gęsia skórka obsypała moje ręce, nogi i pachwiny, włosy zjeżyły mi się na karku.

– Pokaż mi się – szepnąłem. Czułem się głupio, a jednocześnie nie byłem przerażony. Pragnąłem, by to się stało, i miałem nadzieję, że to się nie stanie.

Usłyszałem dźwięk. Przeciągłe, powolne westchnienie. Nie ludzkie westchnienie, w żadnym razie. Zabrzmiało tak, jakby ktoś odkręcił niewidzialny zawór parowy. A potem zapadła cisza. I na tym się skończyło. Przynajmniej tego dnia.

## 57.♥

– Co tak długo? – spytał Eddie, kiedy w końcu wyszedłem za piętnaście pierwsza. Siedział na tej samej skrzynce, teraz z resztką kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem w jednej dłoni i styropianowym kubkiem kawy w drugiej. Byłem umorusany od szyi w dół. Eddie, przeciwnie, wydawał się świeży jak pączek róży.

– Wagoniki były dość brudne. Musiałem je umyć, zanim zacząłem woskować.

Eddie odcharknął, wykręcił głowę w bok i splunął.

– Jak chcesz order, to akurat mi się skończyły. Idź do Hardy’ego. Mówi, że trza spuścić wodę z systemu iryyy-gacyjnego. To powinno zająć takiego guzdrałę jak ty do fajrantu. Jeśli nie, przyjdź do mnie, znajdę ci coś jeszcze do roboty. Mam całą listę, wierz mi.

– Dobra. – Poszedłem, zadowolony, że mam go z głowy.

– Młody!

Odwróciłem się niechętnie.

– Widziałeś ją tam w środku?

– Hę?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Bez żadnych „hę”. Wiem, co robiłeś. Nie ty pierwszy i nie ostatni. Widziałeś ją?

– A ty widziałeś ją kiedyś?

– Nie. – Patrzył na mnie chytrymi małymi oczkami osadzonymi w wąskiej, spalonej słońcem twarzy. Ile on miał lat? Trzydzieści? Sześćdziesiąt? Nie sposób było to stwierdzić, tak jak nie sposób było stwierdzić, czy mówił prawdę. Nie obchodziło mnie to. Chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od niego. Ciarki mnie przy nim przechodziły.

Podniósł dłonie w rękawicach.

– Facet, który to zrobił, miał takie na rękach. Wiedziałeś o tym?

Skinąłem głową.

– I dwie koszule.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się szerzej. – Żeby nie pobrudzić się krwią. I to poskutkowało, nie? Nigdy go nie złapali. No już, spadaj stąd.





## 58.♥

Pod Spinem powitał mnie tylko cień Lane'a. Jego właściciel wdrapywał się na karuzelę. Był już w połowie wysokości. Wspinając się, sprawdzał każdą stalową belkę poprzeczną, by mieć pewność, że utrzyma jego ciężar. U biodra wisiał mu skórzany kuferek z narzędziami, do którego od czasu do czasu sięgał po klucz nasadowy. W Joylandzie był tylko jeden tunel strachu, za to kilkanaście tak zwanych konstrukcji wysokich, w tym Spin, Zipper, Thunderball i Delirium Shaker. W sezonie trzyosobowa ekipa konserwatorska kontrolowała je co dzień przed Pierwszym Dzwonem, oczywiście zdarzały się też wizyty (zapowiedziane i niezapowiedziane) stanowego inspektora parków rozrywki, ale Lane mówił, że operator, który sam nie sprawdza swojej karuzeli, jest leniwy i nieodpowiedzialny. Co kazało mi się zastanowić, kiedy Eddie Parks ostatnio przejechał się jednym ze swoich waaa-goników i sprawdził pooo-przeczki.

Lane spojrzał w dół, zobaczył mnie i zawołał:

– Ten parszywiec w ogóle dał ci przerwę na lunch?!

– Przepracowałem ją! – odkrzyknąłem. – Straciłem rachubę czasu. – Ale teraz naprawdę byłem głodny.

– Jak chcesz, w mojej budzie jest trochę sałatki z tuńczykiem i makaronem. Zrobiłem jej wczoraj zdecydowanie za dużo.

Poszedłem do małej sterowni, znalazłem spory pojemnik Tupperware i otworzyłem go. Kiedy Lane zszedł na ziemię, sałatka była już w moim żołądku i dopychałem ją dwoma ciastkami Fig Newton.

– Dzięki, Lane. Była pyszna.

– Tak, kiedyś będzie ze mnie dobra żona. Daj no parę tych ciastek, zanim wszystkie zeżresz.

Oddałem mu pudełko.

– Jak karuzela?

– Jak w zegarku. Pomożesz mi przy silniku, kiedy trochę przetrawisz?

– Jasne.

Zdjął melonik i zakręcił nim na palcu. Miał włosy spięte w krótki, ciasny kucyk i pośród ich czerni zauważyłem kilka białych nitok. Na początku lata ich nie było – prawie na pewno.

– Słuchaj, Jonesy, Eddie Parks to kuglarz z kuglarzy, ale to nie zmienia faktu, że jest z niego kawał sukinsyna. W jego oczach masz dwie podstawowe wady: jesteś młody i nie skończyłeś edukacji na podstawówce. Jak będziesz miał dość jego gderania, daj znać, to załatwię, że się od ciebie odwali.

– Dzięki, na razie wszystko gra.

– Wiem. Obserwuję, jak sobie radzisz, i jestem pod wrażeniem. Ale Eddie to nie jest przeciętny miś.

– To tyran – powiedziałem.

– Uhm, ale oto dobra wiadomość: w każdym tyranie siedzi tchórz. Nawet niezbyt głęboko ukryty. Są tu, w Joylandzie, ludzie, których Eddie się boi, i tak się składa, że jestem jednym z nich. Już nieraz dałem mu po nosie i chętnie zrobię to znowu. Mówię tylko, że gdybyś kiedyś chciał trochę od niego odpocząć, załatwię ci to.

– Mogę ci zadać pytanie na jego temat?

– Wal.

– Dlaczego zawsze nosi rękawice?

Lane zaśmiał się, nasadził melonik na głowę i przekrzywił go pod należytym kątem.

– Łuszczyca. Jego dłonie wyglądają jak pokryte łuskami, przynajmniej tak twierdzi... ja nie pamiętam, kiedy je ostatnio widziałem. Mówi, że jak nie nosi rękawic, to drapie je do krwi.

– Może dlatego zawsze jest w złym humorze.

– Myślę, że jest odwrotnie: od złego humoru ma złą skórę. – Postukał się w skroń. – Głowa rządzi ciałem, ja tak uważam. No dobra, Jonesy, do roboty.

## 59.♥

Skończyliśmy przygotowywać Spina do długiego snu zimowego i zajęliśmy się systemem irygacyjnym. Kiedy przedmuchiśmy rury sprężonym powietrzem i waliśmy do studzienek kilkanaście litrów płynu przeciw zamarzaniu, słońce opadało już ku drzewom na zachód od lunaparku i cienie się wydłużały.

– Na dziś starczy – powiedział Lane. – Aż nadto. Przynieś kartę, to ci ją podpiszę.

Postukałem w zegarek, pokazując mu, że dopiero piętnaście po piątej.

Pokręcił głową z uśmiechem.

– Żaden kłopot wpisać w karcie, że jest szósta. Odwaliłeś dziś tyle roboty, jakbyś przepracował dwanaście godzin, młody. Co najmniej.

– Dobra – powiedziałem – ale nie mów na mnie „młody”. On tak na mnie mówi. – Kiwnąłem głową w stronę Straszego Dworu.

– Zapamiętam to sobie. A teraz przynieś swoją kartę i spadaj.

## 60.♥

Po południu wiatr nieco osłabł, ale kiedy ruszyłem plażą do miasta, wciąż było ciepło i wietrznie. Wracając z pracy, zwykle lubiłem obserwować mój długi cień na falach, lecz tego wieczora głównie patrzyłem na swoje nogi. Byłem wykończony. Marzyłem o kanapce z szynką i serem z piekarni U Betty i paru piwach ze stojącego po sąsiedzku Seven-Eleven. Zamierzałem pójść do swojego pokoju, usiąść w fotelu przy oknie i poczytać Tolkienu przy jedzeniu. Właśnie byłem w środku *Dwóch wież*.

Wołanie chłopca sprawiło, że podniosłem głowę. Przy sprzyjającym wietrze słyszałem go wyraźnie.

– Szybciej, mamó! Już prawie ci... – Przerwał mu atak kaszlu. Po czym: – Już prawie ci się udało!

Matka Mike'a była tego wieczora na plaży, nie pod swoim parasolem. Biegła w moją stronę, ale nie widziała mnie, bo patrzyła na trzymany nad głową latawiec. Koniec sznurka był w rękach chłopca, który siedział na wózku inwalidzkim na końcu chodnika z desek.

Nie w tę stronę, mamuśka, pomyślałem.

Puściła latawiec. Uniósł się może o pół metra, zakołysał niesfornie na boki, po czym dał nura w piasek. Porwany wiatrem, smygnął po plaży. Matka Mike'a rzuciła się w pościg za nim.

– Jeszcze raz! – zawołał Mike. – Teraz... – I znowu kaszel, ostry, oskrzelowy. – Prawie ci się udało!

– Nieprawda. – Była zmęczona i wkurzona. – To cholerstwo się na mnie wzięło. Chodźmy do środka na kolac...

Milo siedział obok wózka inwalidzkiego Mike'a i obserwował błyszczącymi ślepkami wieczorne zajęcia jego właścicieli. Na mój widok wyrwał z jazgotem naprzód jak strzała. Przypomniałem sobie przepowiednię madame Fortuny z dnia, kiedy ją poznałem: „Spotkasz małą dziewczynkę i małego chłopca. Chłopiec ma psa”.

– Milo, wracaj! – krzyknęła mama Mike'a. Jej włosy wcześniej pewnie były związane, ale teraz, po kilku eksperymentach lotniczych, wisiały wokół jej twarzy. Odgarnęła je ze znużeniem grzbietami dłoni.

Milo nie zważał na nią. Ostro wyhamował przede mną, wzbijając chmurę piasku, i odstawił ten swój numer z siadaniem i stawaniem słupka. Poglaskałem go po łbie.

– Na nic więcej nie licz, kolego, nie mam dziś croissanta.

Szczeknął na mnie, po czym potruchtął do swojej pani, która stała po kostki w piasku, zdyszana, i patrzyła na mnie nieufnie. Schwytyany latawiec zwisał smętnie u jej nogi.

– A widzisz? – powiedziała. – Dlatego nie chciałam, żebyś go karmił. To niepoprawny żebrak i myśli, że każdy, kto mu rzuci byle ochłap, to jego przyjaciel.

– Cóż, ja jestem dość przyjazny.

– Dobrze wiedzieć. Ale więcej nie karm naszego psa i już. – Miała na sobie rybaczkę i stary niebieski T-shirt z wypłowiałym nadrukiem. Sądząc z tego, jak bardzo był przepecony, już dość długo starała się poderwać latawiec do lotu. Próbowala ile sił i ja to rozumiałem. Gdybym miał dziecko na wózku inwalidzkim, też pewnie chciałbym dać mu coś, co lata.

– Puszczaj go pani w złą stronę. Poza tym wcale nie musi pani biec. Nie wiem, czemu wszyscy myślą, że tak trzeba.

– Nie wątpię, że prawdziwy z ciebie ekspert, ale jest późno i muszę zrobić Mike’owi kolację.

– Mamo, daj mu spróbować – odezwał się Mike. – Proszę!

Postała jeszcze kilka sekund ze spuszczoną głową i uwolnionymi spod gumki pasmami włosów – też spoconymi – lepiącymi się do szyi. W końcu westchnęła i podała mi latawiec. Teraz wyraźnie widziałem nadruk na jej koszulce: ZAWODY CAMP PERRY 1959 (POZYCJA LEŻĄCA). Latawiec wyglądał dużo ciekawiej i mimo woli parsknąłem śmiechem. Widniała na nim twarz Jezusa.

– Prywatny żart – powiedziała. – Nie pytaj.

– Jasne.

– Daję ci jedną szansę, panie Joyland, a potem zabieram Mike’a na kolację. Nie może przemarznąć. Rok temu się rozchorował i jeszcze mu nie przeszło. On jest innego zdania, ale się myli.

Na plaży było co najmniej dwadzieścia kilka stopni, lecz przemilczałem to; mamuśka wyraźnie nie była w nastroju do dalszej dyskusji. Przypomniałem jej tylko, że nazywam się Devin Jones. Uniosła ręce i bezwładnie je zwiesiła, czym wyraziła jasno: A nazywaj się sobie, jak chcesz.

Spojrzałem na chłopca.

– Mike!

– Tak?

– Zwijaj sznurek. Powiem ci, kiedy przestać.

Zrobił, co kazałem. Pozwoliłem, żeby przyciągnął mnie z latawcem do siebie, i kiedy znalazłem się na równi z nim, spojrzałem na Jezusa.

– To co, tym razem polecisz pan, panie Chrystus?

Mike się zaśmiał. Jego mama nie, ale miałem wrażenie, że drgnęły jej usta.

– Mówi, że tak – powiedziałem Mike'owi.

– To dobrze, bo... – Długi atak kaszlu. Miała rację, jeszcze mu nie przeszło. Cokolwiek to było. – Bo do tej pory tylko najadł się piachu.

Podniosłem latawiec nad głowę, ale skierowałem go w stronę Heaven's Bay. Od razu poczułem, że wiatr wyrywa mi go z rąk. Plastik zafalował.

– Teraz go puszczę, Mike. Kiedy to zrobię, znów zacznij zwijać sznurek.

– Przecież wtedy...

– Żadne przecież. Musisz być czujny i szybki. – Tak naprawdę nie było w tym nic szczególnie trudnego, ale chciałem, żeby chłopak poczuł się z siebie dumny, kiedy latawiec wzbije się w powietrze. Co stanie się na pewno, o ile tylko wiatr nagle nie ucichnie. Miałem szczerą nadzieję, że nie zrobi nam tego świństwa, bo sądziłem, że mamuśka nie żartowała, mówiąc, że daje mi tylko jedną szansę. – Latawiec się wzniesie. Wtedy zacznij rozwijać sznurek. Tylko pilnuj, żeby był naprężony, jasne? Jeśli latawiec zacznie opadać...

– Mam znów zwinąć trochę sznurka. Rozumiem, na litość boską.

– No dobra. Gotowy?

– Tak!

Milo siedział między mamuśką a mną i patrzył w górę na latawiec.

– Dobrze więc. Trzy... dwa... jeden... start!

Dzieciak siedział zgarbiony na wózku, nogi wystające z jego szortów były cienkie jak patyczki, ale ręce miał w pełni sprawne i potrafił wykonywać polecenia. Zaczął zwijać sznurek i latawiec natychmiast wzbił się w niebo. Wtedy popuścił sznurek – z początku trochę za bardzo i latawiec nieco opadł, ale wystarczyła drobna korekta, żeby znów zaczął się wznosić.

– Czuję go! – krzyknął ze śmiechem. – Czuję go w rękach!

– Czujesz wiatr – wyjaśniłem. – Tak trzymaj. Jak wzleci trochę wyżej, wiatr go porwie. Wtedy musisz tylko uważać, żeby nie wypuścić sznurka z rąk.

Latawiec wzniósł się najpierw nad plażą, a potem nad oceanem, wzbijając się wyżej i wyżej w głęboki błękit nieba. Przez pewien czas obserwowałem go, potem zaryzykowałem i zerknąłem na kobietę. Nie zjeżyła się pod moim spojrzeniem, bo go nie zauważyła. Była całkowicie skupiona na synu. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem ludzkiej twarzy wyrażającej taką miłość i tak wielkie szczęście. A wszystko dlatego, że szczęśliwy był on. Jego oczy błyszczały, kaszel ustał.

– Mamusiu, zupełnie jakby był żywy!

Bo jest żywy, pomyślałem, wspominając, jak ojciec uczył mnie puszczać latawiec w parku miejskim. Byłem wtedy w wieku Mike'a, ale miałem zdrowe nogi, na których mogłem stać. „Dopóki jest tam, w górze, w swoim żywiole, naprawdę żyje”, mówił ojciec.

– Chodź, sama zobacz!

Wspięła się po lekkiej pochyłości plaży na chodnik z desek i stanęła obok syna. Patrzyła na latawiec, dłonią głaskała ciemnobrązowe włosy Mike'a.

– Mam go wziąć, skarbie? To twój latawiec.

– Tak, ale musisz to poczuć. To niesamowite!

Wzięła szpulkę, coraz cieńszą w miarę jak sznurek się rozwijał, a latawiec wlatywał coraz wyżej (teraz był już tylko czarnym rombem, twarz Jezusa stała się niewidoczna), i trzymała ją przed sobą. Przez chwilę wydawała się lekko wystraszona. Kiedy szarpnięty podmuchem wiatru latawiec przechylił się najpierw na lewo, potem na prawo nad nadciągającymi falami, zobaczyłem jej uśmiech.

Jak już trochę się nacieszyła latawcem, Mike powiedział:

– Teraz on.

– Nie, nie trzeba – zaprotestowałem.

Mimo to podała mi szpulkę.

– Nalegamy, panie Jones. W końcu to pan jest mistrzem latania.

Wzięłem więc szpulkę i poczułem znajomy dreszcz emocji. Sznurek napiął się jak żyłka, kiedy spory pstrąg połknie haczyk, ale puszczenie latawca ma tę zaletę, że nie kończy się śmiercią żadnego stworzenia.

– Jak wysoko polecisz? – spytał Mike.

– Nie wiem, ale może dziś już nie wynośmy go wyżej. Wiatr w górze jest silniejszy i mógłby go rozszarpać. Poza tym mieliście zjeść kolację.

– Czy pan Jones mógłby zjeść z nami, mamó?

Wyglądała na zaskoczoną tym pomysłem. Zaskoczoną niemile. Mimo to poznałem po niej, że zamierzała się zgodzić, bo przecież poderwałem latawiec do lotu.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Dziękuję za zaproszenie, ale miałem ciężki dzień w pracy. Przygotowujemy wszystko do zimy i jestem brudny od stóp do głów.

– Może pan się umyć u nas – zaproponował Mike. – Mamy chyba z siedemdziesiąt łazienek.

– Michaelu Rossie, wcale nie!

– No dobrze, siedemdziesiąt pięć, a w każdej jacuzzi. – Zaśmiał się. To był piękny, zaraźliwy dźwięk, dopóki nie przeszedł w kaszel. Ostry kaszel. I kiedy mamuśka zaczynała wyglądać na zaniepokojoną (ja już ten stan osiągnąłem), chłopiec nad nim zapanował.

– Przy innej okazji – powiedziałem i oddałem mu szpulkę. – Fajny jest ten twój latawiec z Chrystusem. Psa też masz niczego sobie. – Schyliłem się i pogłaskałem Milo po łbie.

– Hm... no dobrze. Przy innej okazji. Ale niech pan nie czeka z tym za długo, bo...

Mamuśka przerwała mu pośpiesznie:

– Mógłby pan jutro wyjść do pracy trochę wcześniej niż zwykle, panie Jones?

– Czemu nie.

– Jeśli będzie ładna pogoda, zapraszam na koktajl owocowy tu, na plaży. Koktajl owocowy to moja specjalność.

Nie wątpiłem w to. No i w ten sposób nie będzie musiała przyjąć obcego mężczyzny w swoim domu.

– Przyjdzie pan? – spytał Mike. – Byłoby super.

– Chętnie. Przyniosę słodkie bułki od Betty.

– Nie, nie musi pan... – zaczęła.

– To dla mnie przyjemność, psze pani.

– Och! – Zrobiła zaskoczoną minę. – Nie przedstawiłam się, prawda? Jestem Ann Ross. – Podała mi rękę.

– Chętnie uściskałbym pani dłoń, pani Ross, ale naprawdę jestem brudny. – Pokazałem jej moje ręce. – Latawiec pewnie też uwaląłem.



– Powinien pan być dorysować Jezusowi sumiaste wąsy! – krzyknął Mike i wybuchnął śmiechem, który przeszedł w kolejny atak kaszlu.

– Trochę za bardzo popuszczasz sznurek, Mike – powiedziałem. – Lepiej go zwiń.

Kiedy zaczął to robić, pogłaskałem Milo na pożegnanie i ruszyłem plażą do domu.

– Panie Jones! – zawołała.

Odwróciłem się. Stała prosto, z podniesionym podbródkiem. Przepocona koszulka lepiła się do niej. Miała piękne piersi.

– Panna Ross, nie pani Ross. Ale skoro już przedstawiliśmy się sobie należycie, może pan mi mówić Annie.

– Nie ma sprawy. – Wskazałem jej koszulkę. – Co to za zawody? I dlaczego w pozycji leżącej?

– Strzelectwo – wyjaśnił Mike i pokazał, jakby strzelał z karabinu.

– Nie robiłam tego od lat – powiedziała szorstkim tonem, który wskazywał, że chce zamknąć ten temat.

Nie miałem nic przeciwko. Pomachałem do Mike'a, a on do mnie. Uśmiechał się szeroko. Miał piękny uśmiech.

Pięćdziesiąt kroków dalej obejrzałem się za siebie. Latawiec opadał, ale wciąż jeszcze pozostawał we władzy wiatru. Oboje patrzyli na niego, kobieta trzymała dłoń na ramieniu syna.

Panna, pomyślałem. Panna, nie pani. Czy w tym wielkim domu z siedemdziesięcioma łazienkami mieszka z nimi jakiś pan? To, że żadnego nie widziałem w ich towarzystwie, nie znaczyło, że takowy nie istnieje, chociaż osobiście mocno w to wątpiłem. Miałem wrażenie, że są tam tylko we dwoje. Sami.

## 61.♥

Następnego ranka nie uzyskałem wyjaśnienia tej kwestii od Annie Ross, za to od Mike'a dowiedziałem się aż za wiele. Przy okazji dostałem wyśmienity koktajl owocowy. Annie zapewniła, że sama zrobiła jogurt, i na wierzchu pływały świeże truskawki, Bóg wie skąd wzięte. Ja przyniosłem croissantsy i jagodowe muffiny z piekarni U Betty. Mike nie tknął wypieków, ale wypił koktajl do dna i poprosił o dolewkę. Sądząc po tym, jak jego matce opadła szczęka, było to wydarzenie nadzwyczajne. Ale, jak przypuszczałem, nie w złym tego słowa znaczeniu.

– Na pewno wypijesz całą szklanę?

– Może wystarczy pół. O co chodzi, mamó? Zawsze mówisz, że po świeżym jogurcie lepiej się wypróżniam.

– Siódma rano to nie najlepsza pora na dyskusję o twoich wypróżnieniach, Mike. – Wstała i zerknęła na mnie niepewnie.

– Bez obaw – powiedział Mike radośnie. – Jak będzie mnie obłapiał, poszczuję go Milo.

Zarumieniła się.

– Michaelu Everecie Ross!

– Przepraszam. – Nie wyglądał na skruszonego. Oczy mu błyszczały.

– Nie mnie przepraszaj, przeproś pana Jonesa.

– Nie ma za co, nie ma za co – powiedziałem szybko.

– Będzie pan miał go na oku, panie Jones? Zaraz wracam.

– Chętnie, jeśli tylko będziesz mi mówić Devin.

– Nie omieszkam. – Pospieszyła chodnikiem z desek do domu. Po drodze przystanęła i obejrzała się przez ramię. Myślę, że korciło ją, żeby zawrócić, ale ostatecznie perspektywa dostarczenia przeraźliwie chudemu synowi jeszcze kilku zdrowych kalorii okazała się zbyt kusząca i ruszyła dalej.

Mike patrzył na nią, gdy wchodziła po schodach na tylny taras.

– Teraz będę to musiał wypić – westchnął.

– No... tak. Sam tego chciałeś, nie?

– Tylko żebym mógł porozmawiać z panem bez niej. Jasne, kocham ją i tak dalej, ale we wszystko się wtrąca. Jakby to, co jest ze mną nie tak, było wielką wstydliwą tajemnicą. – Wzruszył ramionami. – Mam dystrofię mięśniową. Dlatego jestem na wózku. Mogę chodzić, wie pan, lecz aparaty ortopedyczne i kule są cholernie uciążliwe.

– Przykro mi. To fatalnie, Mike.

– Może i tak, ale odkąd pamiętam, zawsze to miałem, więc co tam. Tylko że to taka specyficzna dystrofia. Dystrofia Duchenne’a, tak się nazywa. Większość dzieci, które na to chorują, odwała kitę w wieku kilkunastu lat, najpóźniej dwudziestu.

I co tu powiedzieć dziesięciolatkowi, który właśnie cię powiadomił, że żyje z wyrokiem śmierci?

– Ale... – Uniósł palec w belferskim geście. – Pamięta pan, jak mówiła, że rok temu byłem chory?

– Mike, nie musisz mi tego mówić, jeśli nie chcesz.

– Wiem, ale chcę. – Patrzył na mnie z głębokim przejęciem. Wręcz żarliwie. – Bo pan chce to wiedzieć. Może nawet musi.

Znów myślałem o Fortunie. Dwoje dzieci, powiedziała mi, dziewczynka w czerwonej czapce i chłopiec z psem. Dodała, że jedno z nich ma dar widzenia, ale nie wie które. I chyba właśnie się tego dowiedziałem.

– Mama mówiła panu, że myślę, że mi przeszło. Kiedy pan na mnie patrzy, uważa pan, że mi przeszło?

– Paskudny kaszel – powiedziałem – ale poza tym... – Nie miałem pojęcia, jak to dokończyć. Poza tym masz nogi jak suche patyki? Poza tym takie z ciebie chuchro, że jakbyśmy z twoją mamą przywiązali ci sznurek do koszuli, to moglibyśmy cię puszczać jak latawiec? Poza tym gdybym miał się założyć, czy dłużej pożyjesz ty, czy Milo, to postawiłbym na psa?

– Zaraz po Święcie Dziękczynienia dostałem zapalenia płuc, no nie? Kiedy po paru tygodniach w szpitalu mi się nie polepszyło, lekarz powiedział mojej mamie, że pewnie umrę i że powinna, wie pan, się na to przygotować.

Nie powiedział jej tego przy tobie, pomyślałem. Nie odbyłoby takiej rozmowy w twojej obecności.

– Ale ja się nie dałem. – Powiedział to z pewną dumą. – Mój dziadek zadzwonił do mamy... to była ich pierwsza rozmowa od dawna. Nie wiem, kto go powiadomił, co się dzieje, ale wszędzie ma swoich ludzi. Mógł to usłyszeć od każdego z nich.

„Wszędzie ma swoich ludzi” zabrzmiało mi paranoicznie, a nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, lecz trzymałem język za zębami. Później dowiedziałem się, że chłopak wcale nie przesadzał. Jego dziadek naprawdę miał ich wszędzie, a wszyscy oddawali cześć Jezusowi, fladze i Narodowemu Stowarzyszeniu Strzeleckiemu, niekoniecznie w tej kolejności.

– Dziadek stwierdził, że zapalenie płuc mi przeszło, bo taka była wola Boża. Mama odpowiedziała, że pieprzy bzdury, tak jak wtedy, kiedy gadał, że moja dystrofia mięśniowa to kara Boża. Dodała, że po prostu twarde ze mnie sukinsyn i Bóg nie ma z tym nic wspólnego. A potem rzuciła słuchawkę.

Mike mógł słyszeć to, co mówiła ona, ale nie słowa dziadka, a matka raczej na pewno mu ich nie przytoczyła. Jednak nie sądziłem, by zmyślał. Złapałem się na tym, że mam nadzieję, iż Annie nie wróci za szybko. Nie czułem się tak jak wtedy, kiedy słuchałem madame Fortuny. Ona, jak wtedy sądziłem (i sądzę nadal, po tak wielu latach), miała odrobinę autentycznych zdolności parapsychologicznych wzmocnionych głęboką znajomością ludzkiej natury i opakowanych w tandetny, jarmarczny blichtr. Dar Mike’a był bardziej wyrazisty. Prostszy. Czystszy. To nie było to samo, co zobaczyć ducha Lindy Gray, ale coś podobnego, rozumiecie? Dotknięcie innego świata.

– Mama zarzekała się, że nigdy tu nie wróci, a proszę, oto jesteśmy. Bo chciałem pójść na plażę, bo chciałem puszczać latawiec, bo nie dożyję dwunastego, a co dopiero dwudziestego roku życia. Przez zapalenie płuc, rozumie pan? Dostaję sterydy, które pomagają, ale zapalenie płuc w połączeniu z dystrofią Duchenne’a na amen zjebało mi serce i płuca.

Patrzył na mnie wyzywającym wzrokiem dziecka ciekawego, jak dorosły zareaguje na użyty przez nie, eufemistycznie określając, brzydki wyraz. Oczywiście, nie zareagowałem. Byłem zbyt zajęty rozważaniem sensu całości, żeby zaprzętać sobie głowę jego doborem słów.

– A zatem – stwierdziłem w końcu – chcesz powiedzieć, że dolewka koktajlu nie pomoże.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Śmiech przeszedł w najostrejszy atak kaszlu do tej pory. Zaniepokojony podszedłem do niego i poklepałem go po plecach... ale delikatnie. Wydawało się, że miał tam same kości. Milo szczeknął raz i postawił przednie łapy na wychudzonej nodze Mike’a.

Na stole były dwa dzbanki, jeden z wodą, drugi ze świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy. Mike wskazał wodę i nalałem mu pół szklanki. Kiedy próbowałem go napoić, spojrzał na mnie zniecierpliwionym wzrokiem – mimo że wciąż wstrząsał nim kaszel – i wyrwał mi szklankę z ręki. Trochę wody chlapnęło mu na koszulę, ale większość wlał sobie do gardła i kaszel zelżał.

– Uch, ostro było – powiedział, klepiąc się po piersi. – Serce wali mi jak skurczybyk. Niech pan nie mówi mamie.

– Jezu, mały! Myślisz, że ona nie wie?

– Wie za dużo, tak myślę. Wie, że mogę mieć przed sobą trzy dobre miesiące, a potem cztery–pięć bardzo złych. Złych w tym sensie, że spędzę je w łóżku, zdolny jedynie wdychać tlen i oglądać *MASH* i *Alberta*. Pytanie tylko, czy pozwoli babci i dziadkowi Rossom przyjechać na pogrzeb. – Zakaszlał tak mocno, że oczy mu zwilgotniały, wiedziałem jednak, że to nie łzy. Był posępny, ale opanowany. Zeszłego wieczoru, kiedy czuł, jak wlatujący w niebo latawiec ciągnie za sznurek, zachowywał się jak małe dziecko. Teraz usiłował być dużo starszy. Co przerażające, świetnie mu to wychodziło. Jego oczy napotkały moje. – Ona wie. Lecz nie wie, że ja wiem.

Trzasnęły tylne drzwi domu. Spojrzeliśmy tam i zobaczyliśmy Annie idącą przez taras w naszą stronę.

– Dlaczego uważasz, że muszę to wiedzieć, Mike?

Potrzęsnał głową.

– Nie mam pojęcia. Ale niech pan nie rozmawia o tym z mamą, dobrze? To ją denerwuje. Ma tylko mnie. – Ostatnie słowa powiedział nie z dumą, lecz ze swoistym ponurym realizmem.

– Zgoda.

– Aha, jeszcze jedno. Byłbym zapomniał. – Zerknął na nią i widząc, że jest dopiero w połowie długości chodnika z desek, odwrócił się do mnie. – Nie są białe.

– Co nie jest białe?

Mike Ross był zdumiony.

– Nie mam pojęcia. Kiedy się rano obudziłem, przypomniałem sobie, że przychodzi pan na koktajl, i te słowa same wpadły mi do głowy. Myślałem, że pan zrozumie.

Przyszła Annie. Wlała koktajl do szklanki. Na jego powierzchni pływała samotna truskawka.

– Mniem! – wykrzyknął Mike. – Dzięki, mamie!

– Proszę cię bardzo, kochanie.

Spojrzała na jego mokrą koszulę, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. Kiedy spytała, czy dolać mi soku, Mike mrugnął do mnie. Powiedziałem, że chętnie się jeszcze napiję. Gdy nalewała sok, Mike nakarmił Milo dwiema czubatymi łyżkami koktajlu.

Odwróciła się do niego i spojrzała na opróżnioną do połowy szklankę.

– Ojej, rzeczywiście byłeś głodny.

– Przecież mówiłem.

– O czym rozmawialiście z panem Jonesem... Devinem?

– Właściwie o niczym – odparł Mike. – Był smutny, ale już mu lepiej.

Poczułem, że oblewam się rumieńcem. Kiedy ośmieliłem się zerknąć na Annie, uśmiechała się.

– Witaj w świecie Mike'a, Devin – powiedziała i musiałem mieć minę, jakbym połknął złotą rybkę, bo wybuchnęła śmiechem. To był ładny dźwięk.

## 62.♥

Gdy tego wieczora wracałem z Joylandu, stała na końcu chodnika z desek i czekała na mnie. Pierwszy raz widziałem ją w bluzce i spódnicy. I była sama. To też było coś nowego.

– Devin? Masz chwilę?

– Jasne. – Wspiąłem się do niej po piaszczystej pochyłości. – Gdzie Mike?

– Trzy razy w tygodniu ma fizjoterapię. Janice, jego terapeutka, zwykle przychodzi rano, ale dziś przełożyłam jej wizytę na wieczór, bo chciałam porozmawiać z tobą na osobności.

– Mike o tym wie?

Uśmiechnęła się smutno.

– Prawdopodobnie tak. Mike wie dużo więcej, niż powinien. Nie spytam, o czym rozmawialiście, kiedy rano się mnie pozbył, ale domyślam się, że jego... spostrzeżenia nie są dla ciebie zaskoczeniem.

– Powiedział mi, dlaczego jest na wózku, to wszystko. I wspomniał, że w ostatnie Święto Dziękczynienia zachorował na zapalenie płuc.

– Chciałam ci podziękować za ten latawiec, Dev. Mój syn bardzo źle sypia. Nie to, że coś go boli, ale we śnie ma kłopoty z oddychaniem. To jak bezdech. Musi spać w pozycji półsiedzącej, lecz to niewiele pomaga. Czasem zupełnie przestaje oddychać i wtedy włącza się alarm, który go budzi. A tej nocy po zabawie latawcem spał bez przerwy do rana. Nawet zajrzałam do niego koło drugiej, żeby sprawdzić, czy monitor się nie zepsuł. Mike spał jak marzenie. Żadnego przewracania się z boku na bok, żadnych koszmarów... często je ma... i żadnych jęków. To dzięki latawcowi. Sprawił mu frajdę jak nic innego. Może poza wizytą w tym twoim cholernym parku rozrywki, a to w ogóle nie wchodzi w rachubę. – Urwała i uśmiechnęła się. – Oż cholera. Wygłaszam przemówienie.

– Nie ma sprawy – powiedziałem.

– Sęk w tym, że rzadko mam okazję z kimś porozmawiać. Owszem, jest gosposia, przemiła kobieta z Heaven's Bay, która pomaga mi prowadzić dom, no i oczywiście Janice, ale to nie to samo. – Odetchnęła głęboko. – A teraz druga sprawa. Przy kilku okazjach byłam dla ciebie nieuprzejma bez żadnego powodu. Przepraszam.

– Pani... Panno... – Cholera! – Annie, nie masz za co przeproszać.

– Właśnie że mam. Kiedy zobaczyłeś moje zmagania z tym latawcem, mogłeś odwrócić się na pięcie i pójść, a wtedy Mike nie wyspałby się tak dobrze. Mogę tylko przyznać, że niełatwo mi przychodzi zaufanie do ludzi.

Teraz zaprosi mnie na kolację, pomyślałem. Ale tego nie zrobiła. Może przez to, co powiedziałem potem.

– Wiesz, on mógłby przyjść do lunaparku. Łatwo byłoby to zorganizować, a skoro teraz interes i tak jest zamknięty, miałby cały Joyland dla siebie.

Jej twarz zamknęła się przede mną jak dłoń zaciśnięta w pięść.

– O nie. Wykluczone. Jeśli tak uważasz, najwyraźniej nie powiedział ci o swojej chorobie tyle, ile sądziłam. Proszę, nie wspominaj mu o tym. Nie proszę, nalegam.

– W porządku. Ale gdybyś zmieniła zdanie...

Zawiesiłem głos. Nie zmieniła zdania. Spojrzała na zegarek i jej twarz znów rozświetlił uśmiech. Był promienny, prawie można było nie zauważyć, że nie objął jej oczu.

– O rany, ale się późno zrobiło! Mike po fizjoterapii będzie głodny, a ja jeszcze nie zaczęłam robić kolacji. Wybaczysz?

– Jasne.

Patrzyłem, jak idzie szybkim krokiem po chodniku z desek do zielonego wiktoriańskiego domu – tego, którego przez moją niewyparzoną gębę miałem zapewne nigdy nie zobaczyć od środka. Ale myśl o zabranii Mike’a do Joylandu wydawała się słuszna. W lecie gościliśmy grupy dzieciaków z różnymi problemami i upośledzeniami – dzieci kalekie, niewidome, chore na raka, niepełnosprawne umysłowo (które w nieoświeconych latach siedemdziesiątych nazywaliśmy niedorozwiniętymi). Przecież to nie było tak, że chciałem wsadzić Mike’a do pierwszego wagonika Delirium Shakera i dać gaz do dechy. Nawet gdyby Shaker nie był już zamknięty na zimę, nie jestem zupełnym idiotą.

Ale karuzela dla dzieci wciąż była czynna, a na niej na pewno mógłby się przejechać. Albo pociągami w Tuptusiowej Wiosce. Byłem też pewien, że Fred Dean nie miałby nic przeciwko temu, żebym oprowadził Mike’a po Pałacu Luster Mysterio. Ale nie. Nie. Był jej delikatnym kwiatuszkiem i chciała, żeby tak zostało. Ta historia z latawcem była tylko odchyleniem od normy, a przeprosiny gorzką pigułką, którą uznała, że musi przełknąć.



Nie mogłem nie podziwiać jej szybkich, gibkich ruchów, pełnych gracji, która jej synowi nigdy nie będzie dana. Patrzyłem na jej gołe nogi pod rąbkiem spódnicy i wcale nie myślałem o Wendy Keegan.

## 63.♥

W ten weekend nie pracowałem i bez trudu zgadniecie, co się stało. Jak sądzę, wrażenie, że w weekendy zawsze pada, jest tylko złudzeniem, ale wcale się nim nie wydaje: spytajcie każdego człowieka pracy, który kiedykolwiek planował spędzić dni wolne pod namiotem czy na rybach.

Cóż, zawsze pozostawał Tolkien. W sobotę po południu siedziałem w fotelu przy oknie i wchodziłem w góry Mordoru z Frodo i Samem, kiedy zapukała pani Shoplaw i spytała, czy nie chciałbym zejść do salonu i zagrać w scrabble z nią i Tiną Ackerley. Nie przepadam za scrabble, bo doznałem w tej grze wielu sromotnych klęsk z rąk moich ciotek Tansy i Naomi, które posiadają przeogromny zasób, jak to wciąż nazywam w duchu, „gówno wartego scrabble’owego słownictwa” – wyrazów typu „sep”, „tmeza” czy „bhut” (indyjski upiór, jeśli to was ciekawi). Mimo to powiedziałem, że chętnie zagram. Bądź co bądź, pani Shoplaw była moją gospodynią, a dyplomacja ma wiele postaci.

W drodze na dół wyznała mi:

– Pomagamy Tinie złapać formę. To prawdziwa maniaczka scrabble. Zgłosiła się do jakiegoś turnieju w Atlantic City w przyszły weekend. Zdaje się, że jest nagroda pieniężna.

Bardzo szybko – po może czterech kolejkach – przekonałem się, że nasza bibliotekarka rezydentka ograłaby moje ciotki w cuglach. Kiedy panna Ackerley układała wyraz „ponętnie” (z przepaszającym uśmiechem typowego maniaka scrabble; chyba ćwiczą go przed lustrem), Emmalina Shoplaw miała do niej osiemdziesiąt punktów straty. A ja... mniejsza z tym.

– Pewnie nie znacie Annie i Mike’a Rossów, co? – spytałem podczas przerwy w grze (obie kobiety wyraźnie czuły potrzebę, żeby dłuugo studiować planszę, zanim położą na niej choćby jedną literę). – Mieszkają na Beach Row w zielonym wiktoriańskim domu.

Panna Ackerley znieruchomiała z ręką w brązowym woreczku z literami. Miała szeroko otwarte oczy, dodatkowo powiększone grubymi szklami okularów.

– A ty ich poznałeś?

– Uhm. Próbowali puszczać latawiec... to znaczy, ona próbowała... i trochę pomogłem. Są bardzo mili. Tak tylko myślałem... siedzą sami w tym wielkim domu, a on jest poważnie chory...

Spojrzenie, które wymieniły między sobą, wyrażało czyste niedowierzanie i zacząłem żałować, że poruszyłem ten temat.

– Ona z tobą rozmawia? – spytała pani Shoplaw. – Królowa Lodu odzywa się do ciebie?

Nie tylko się odzywa, ale i poczęstowała mnie koktajlem owocowym. Podziękowała mi. Nawet mnie przeprosiła... Nic z tego nie powiedziałem. Nie dlatego, że Annie naprawdę zmieniła się w sople lodu, kiedy za bardzo się spoufałem, ale przez poczucie, że mówiąc o tym, postąpiłbym w pewien sposób niełojalnie.

– Cóż, trochę. Pokazałem im, co zrobić, żeby latawiec latał, to wszystko. – Odwróciłem planszę. Należała do Tiny i była profesjonalna, z wmontowanym małym wałkiem obrotowym. – No, pani S., pani kolej. Może nawet ułoży pani jakiś wyraz, który mam w swoim skąnym zasobie słów.

– W odpowiednim położeniu słowo „skąpy” może być warte ponad pięćdziesiąt punktów – stwierdziła Tina Ackerley. – Nawet więcej, jeśli połączyć słowo z igrekiem ze „skąp”.

Pani Shoplaw zignorowała i planszę, i radę.

– Oczywiście wiesz, kim jest jej ojciec.

– Prawdę mówiąc, nie. – Wiedziałem jedynie, że miała z nim na pieńku, i to ostro.

– Buddy Ross. Ten od *Godziny Mocy Buddy’ego Rossa*. Mówi ci to coś?

Coś mówiło, ale mgliście. Miałem wrażenie, że w składzie kostiumów kiedyś słyszałem w radiu kaznodzieję o nazwisku Ross. Nie byłoby to zaskakujące. W czasie jednej z moich szybkich przemian w Howiego Dottie Lassen spytała mnie – ni z tego, ni z owego – czy odnalazłem Jezusa. W pierwszym odruchu chciałem zapytać, czy dawno się zgubił, ale się powstrzymałem.

– To jeden z tych wymachujących Biblią krzykaczy, dobrze mówię?

– Największy po Oralu Robertsie i tym, jak mu tam, Jimmym Swaggarcie – powiedziała pani S. – Nadaje z takiego gigantycznego kościoła w Atlancie, nazywa go Bożą Cytadelą. Jego audycja radiowa idzie na cały kraj, a ostatnio Buddy Ross coraz częściej pokazuje się w telewizji. Nie wiem, czy stacje wpuszczają go na antenę za darmo, czy musi płacić. Na pewno go na to

stać, zwłaszcza późną nocą. Wtedy przy odbiornikach siedzą staruszkowie, którym ból nie daje zasnąć. Jego programy to w połowie cudowne uleczenia, a w połowie próśby o dary serca.

– Wnuka jakoś nie uleczył – zauważyłem.

Tina wyjęła z woreczka pustą rękę. Szczęśliwie dla jej nieszczęsnych ofiar, chwilowo zapomniała o scrabble. Oczy jej błyszczały.

– Nie znasz tej historii, co? Zazwyczaj nie wierzę plotkom, ale... – zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu – skoro ich poznałeś, mogę ci co nieco powiedzieć.

– Chętnie posłucham – zapewniłem. Stwierdziłem, że już poznałem odpowiedź na jedno z moich pytań: jak to się stało, że Annie i Mike mieszkają w wielkim domu na jednej z najbardziej ekskluzywnych plaż Karoliny Północnej. To była letnia kryjówka dziadka Buddy’ego kupiona za dary serca.

– On ma dwóch synów – ciągnęła Tina. – Obaj są wysokimi funkcjonariuszami jego Kościoła, diakonami czy pastorami pomocniczymi, nie wiem, jak oni to nazywają, bo całe to rozmodlone towarzystwo niezbyt mnie interesuje. Jego córka zawsze była inna. Lubiła sport. Jazdę konną, tenis, łucznictwo, polowanie na jelenie z ojcem, strzelectwo. Pisano o tym we wszystkich gazetach, kiedy zaczęły się jej kłopoty.

Teraz wiedziałem, skąd się wzięła koszulka CAMP PERRY.

– Kiedy skończyła osiemnaście lat, wszystko diabli wzięli... w jego mniemaniu dosłownie. Poszła na, jak oni to określają, „świecką uczelnię humanistyczną” i z tego, co słyszałam, niezłe tam szalała. Rezygnacja z zawodów strzeleckich i turniejów tenisowych to jedno; rezygnacja z nabożeństw na rzecz imprez, alkoholu i mężczyzn to zupełnie co innego. W dodatku... – Tina zniżyła głos. – Palila trawę.

– Mój Boże! – jęknąłem. – Tylko nie to!

Pani Shoplaw spojrzała na mnie wymownie, lecz Tina tego nie zauważyła.

– Tak! To! Pisali też o niej w tabloidach, bo była ładna i bogata, ale głównie z powodu jej ojca. I jej odstępstwa od wiary. Tak to nazywają. Przynosiła wstyd temu jego Kościołowi, bo chodziła w mini, bez stanika i tak dalej. Cóż, jak sam wiesz, ci fundamentaliści głoszą zasady rodem ze Starego Testamentu: sprawiedliwi otrzymają nagrodę, a grzesznicy będą pokarani do siódmego pokolenia i tak dalej. A ona nie poprzestała na imprezach w Greenwich Village. – Oczy Tyny były już tak wielkie, że wydawało się, iż lada moment wyjdą jej z orbit i sturlają się

po policzkach. – Wystąpiła ze Stowarzyszenia Strzeleckiego i zapisała się do Amerykańskiego Stowarzyszenia Ateistów!

– Aha. O tym też pisano w gazecie?

– I to ile! Potem zaszła w ciążę, żadna niespodzianka, a kiedy się okazało, że z dzieckiem jest coś nie tak... porażenie mózgowe, zdaje się...

– Dystrofia mięśniowa.

– Cokolwiek to jest, jej ojca zapytano o to na jednej z tych jego krucjat i wiesz, co powiedział?

Potrząsnąłem głową, ale mogłem się domyślić.

– Że Bóg karze niewiernych i grzeszników. Że z jego córką nie jest inaczej i że choroba syna może skłoni ją do pojednania z Bogiem.

– Chyba na razie tak się nie stało. – Pomyślałem o latawcu z Jezusem.

– Nie mogę pojąć, dlaczego ludzie posługują się religią, żeby krzywdzić się nawzajem, kiedy i bez tego na świecie jest tyle bólu – powiedziała pani Shoplaw. – Religia ma podnosić na duchu.

– Ross to nadęty stary bigot i tyle – stwierdziła Tina. – Bez względu na to, z iloma mężczyznami spała i ile jointów wypaliła, nadal jest jego córką. A dziecko jego wnukiem. Widziałam tego chłopca parę razy w mieście, na wózku albo kuśtykającego w tych strasznych aparatach ortopedycznych, które musi nosić, kiedy chce chodzić. Wydaje się, że to bardzo grzeczne dziecko. A ona była trzeźwa. I miała stanik. – Zamyśliła się na chwilę. – Chyba.

– Może jej ojciec się zmieni – dodała pani Shoplaw – ale wątpię. Młode kobiety i młodzi mężczyźni dorodnieją, lecz stare kobiety i starzy mężczyźni tylko się starzeją i utwierdzają w przekonaniu, że słusność jest po ich stronie. Zwłaszcza jeśli znają Pismo Święte.

Przypomniało mi się powiedzenie mojej mamy.

– Diabeł potrafi cytować Biblię.

– I to miłym głosem – przytaknęła pani Shoplaw ze smutkiem. Potem się rozchmurzyła. – Chociaż jeśli wielebny Ross pozwala im korzystać ze swojego domu na Beach Row, może gotów jest puścić całą sprawę w niepamięć. Może wreszcie dotarło do niego, że była wtedy młoda, nawet za młoda, żeby głosować. Dev, chyba twoja kolej?

Miała rację. Ułożyłem słowo „łza”. Dało mi pięć punktów.

## 64.♥

Dostałem niemiłosierne lanie, ale kiedy Tina Ackerley rozkręciła się na dobre, egzekucja była względnie szybka. Wróciłem do mojego pokoju, usiadłem w fotelu przy oknie i próbowałem towarzyszyć Frodo i Samowi w drodze na Górę Przeznaczenia. Nie dałem rady. Zamknąłem książkę i patrzyłem przez spływającą deszczem szybę na pustą plażę i szary ocean. Ta panorama tchnęła smutkiem, w takich chwilach moje myśli zwykle mimowolnie wracały do Wendy – gdzie jest, co robi i z kim. Wspominałem wtedy jej uśmiech, to, jak włosy opadały jej na policzek, łagodną krągłość jej piersi w jednym z jej wydawało się niezliczonych obcisłych zapinanych sweterków.

Nie tego dnia. Zamiast o Wendy myślałem o Annie Ross i uświadomiłem sobie, że trochę się w niej zabijałem. Co tam trochę, mocno. Fakt, że nic z tego nie mogło wynikać – była pewnie z dziesięć lat starsza ode mnie, może nawet dwanaście – tylko pogarszał sytuację. A może należałoby powiedzieć „polepszał”, bo nieodwzajemniona miłość jednak ma dla młodych mężczyzn swoisty urok.

Pani S. stwierdziła, że świętoszkowaty ojciec Annie mógł dojrzeć do tego, by zapomnieć o dawnych urazach, i sądziłem, że jest w tym coś na rzeczy. Słyszałem, że wnuki potrafią zmiękczyć nawet najtwardszy kark, i być może wielebny chciał poznać chłopca, zanim będzie za późno. Mógł się dowiedzieć (od ludzi, których miał wszędzie), że Mike jest nie tylko niepełnosprawny, ale i mądry. Może nawet doszły go słuchy, że jego wnuk ma coś, co madame Fortuna nazwała „darem widzenia”. A może to zbyt optymistyczna teoria. Może pan Ogień Piekielny udostępnił córce dom w zamian za obietnicę, że w czasie jego arcyważnego przejścia z radia do telewizji będzie trzymała głowę na kłódkę i nie wywoła żadnych nowych skandali związanych z marihuaną i minispódniczkami.

Mogłem snuć te rozważania do zachodu zamaskowanego chmurami słońca, a i tak bym nie wiedział, jak to z Buddym Rossem jest naprawdę. Natomiast o Annie Ross jedno wiedziałem na pewno: ona nie była skłonna zapomnieć o dawnych urazach.

Wstałem i zbiegłem na dół, do salonu, po drodze wygrzebując z portfela świstek z numerem telefonu. Słyszałem, jak Tina i pani S. wesoło gawędzą w kuchni. Zadzwoiłem do

akademika Erin Cook, przekonany, że nie zastanę jej w sobotnie popołudnie – pewnie jest w New Jersey z Tomem, ogląda mecz drużyny Rutgers i śpiewa hymn Scarlet Knights.

Ale dziewczyna dyżurująca przy telefonie powiedziała, że zaraz ją zawoła, i po trzech minutach usłyszałem głos Erin.

– Dev, właśnie miałam do ciebie zadzwonić. Właściwie to chcę do ciebie przyjechać, muszę tylko przekonać Toma, żeby się ze mną zabrał. Powinno się udać, ale nie w następny weekend. Może za dwa tygodnie.

Spojrzałem na kalendarz ścienny – mówiła o pierwszym weekendzie października.

– Dowiedziałas się czegoś?

– Nie wiem. Może. Uwielbiam zbierać informacje i naprawdę się w to wciągnęłam. Poznałam tło sprawy, to na pewno, ale nie powiem, żebym rozwiązała zagadkę morderstwa Lindy Gray w uczelnianej bibliotece czy coś. Mimo to... są fakty, które chcę ci pokazać. Które mnie niepokoją.

– Co cię w nich niepokoi?

– Nie chcę tego wyjaśniać przez telefon. Jeśli nie przekonam Toma, żeby pojechał ze mną, zapakuję wszystko do wielkiej koperty i wyślę ci pocztą. Ale powinien się zgodzić. Chętnie zobaczyłby się z tobą, tyle że nie chce mieć nic wspólnego z moim małym śledztwem. Nawet nie spojrział na zdjęcia.

Miałem wrażenie, że jest bardzo tajemnicza, lecz postanowiłem nie wnikać.

– Słuchaj, słyszałaś o kaznodziei Buddym Rossie?

Zachichotała.

– *Godzina Mocy Buddy'ego Rossa*. Moja babcia na okrągło słucha tego starego kanciarza. On wyciąga z ludzi kozie żołądki i udaje, że to nowotwory! Wiesz, co powiedziałby Papcio Allen?

– Kuglarz z kuglarzy – odparłem z szerokim uśmiechem.

– Właśnie. Co chcesz o nim wiedzieć? I dlaczego sam nie możesz poszukać informacji? Co, twoja mama przestraszyła się katalogu bibliotecznego, kiedy nosiła cię w łonie?

– O ile wiem, nie, ale kiedy kończę pracę, biblioteka w Heaven's Bay jest już zamknięta. Zresztą nie sądzę, żeby mieli *Who's Who*. Cała biblioteka to jeden pokój. Poza tym nie chodzi o Buddy'ego Rossa, tylko o jego dwóch synów. Chcę wiedzieć, czy mają dzieci.

– Dlaczego?

– Bo jego córka ma syna. To świetny chłopak, ale umiera.

Chwila przerwy. Potem:

– W coś ty się tam znowu wpakował, Dev?

– Poznaję nowych ludzi. Przyjedźcie. Chętnie się z wami zobaczę. Powiedz Tomowi, że będziemy się trzymać z dala od Straszego Dworu.

Myślałem, że tym ją rozśmieszę. Myliłem się.

– On na pewno. Wołami byś go tam nie zaciągnął.

Pożegnaliśmy się, wpisałem czas rozmowy na liście, po czym wróciłem na górę i usiadłem przy oknie. Znowu czułem tę dziwną, tępą zazdrość. Dlaczego Tom Kennedy zobaczył Lindę Gray? Dlaczego on, nie ja?



## 65.♥

Lokalny tygodnik ukazywał się w czwartki i nagłówek na pierwszej stronie numeru z czwartego października głosił PRACOWNIK JOYLANDU RATUJE ŻYCIE KOLEJNEJ OSOBIE. Uznałem, że to przesada. Pomogłem Hallie Stansfield, zgoda, ale za uratowanie wrednego Eddiego Parksa należy mi się tylko część zasługi. Reszta – nie zapominając o uchyleniu dogmycy przed Lane’em Hardym – powinna przypaść w udziale Wendy Keegan, bo gdyby nie zerwała ze mną w czerwcu, tej jesieni byłbym w Durham w New Hampshire, tysiąc kilometrów od Joylandu.

Z całą pewnością nie przypuszczałem, że znowu na mnie padnie, żeby kogoś uratować; tego rodzaju przecucia były wyłączną domeną takich ludzi jak Rozzie Gold i Mike Ross. Kiedy pierwszego października, po kolejnym deszczowym weekendzie, przyszedłem do Joylandu, myślałem tylko o zbliżającej się wizycie Erin i Toma. Wciąż było pochmurno, ale z okazji poniedziałku przestało padać. Eddie siedział przed Strasznym Dworem na swoim tronie ze skrzynki i palił tradycyjnego porannego papierosa. Podniosłem rękę w powitalnym geście. Nie odpowiedział tym samym, tylko przydeptał niedopałek i schylił się, żeby wsunąć go pod skrzynkę. Widziałem to wszystko pięćdziesiąt razy, jeśli nie więcej (i czasem zastanawiałem się, ile petów się pod tą skrzynką zebrało), ale tym razem, zamiast ją unieść, Eddie przechylał się dalej i dalej.

Czy jego twarz wyrażała zaskoczenie? Trudno powiedzieć. W chwili, kiedy uprzytomniłem sobie, że dzieje się coś złego, widziałem jedynie wypłowiałą i umorusaną dogmycę na jego głowie zwieszoną między kolanami. Przechylał się coraz bardziej do przodu, aż w końcu zrobił pełnego fikołka i wylądował na plecach z rozrzuconymi nogami i twarzą zwróconą ku zachmurzonemu niebu. A wtedy była już skurczona bólem.

Upuściłem torbę z drugim śniadaniem, podbiegłem i padłem przy Eddiem na kolana.

– Co się stało?

– Pikawa – wydusił.

Przez chwilę zastanawiałem się, o jaką kawę mu chodzi, po czym zobaczyłem, że prawą dłońią schowaną w rękawicy trzyma się za lewą pierś.

Prejoylandowa wersja Deva Jonesa po prostu wezwałaby pomoc, ale po czterech miesiącach mówienia gadką słowo „pomocy” nawet nie przeszło mi przez myśl. Wziąłem głęboki wdech, podniosłem głowę i co sił w płucach wrzasnąłem: „Hej, ćwok!!!”. Jediną osobą na tyle blisko, by mnie usłyszeć, był Lane Hardy, i szybko przybiegł do mnie.

Pracownicy sezonowi, których zatrudniał Fred Dean, nie mieli obowiązku od pierwszego dnia znać zasad pierwszej pomocy, ale musieli się ich nauczyć. Ja opanowałem je już wcześniej, na kursie na ratownika, który zaliczyłem w szkole średniej. Wraz z pozostałymi pięcioma uczestnikami uczyliśmy się najważniejszych technik na brzegu basenu w YMCA i ćwiczyliśmy je na manekinie ochrzczonego niebanalnie Herkimer Salfish. Teraz miałem okazję po raz pierwszy przełożyć teorię na praktykę i wiecie co? Tak naprawdę niewiele się to różniło od tego gwałtownego manewru, za którego pomocą wy dobyłem kawałek hot doga z gardła małej Hallie Stansfield. Nie miałem na sobie futra, uścisk nie był konieczny, ale w obu przypadkach cała sztuka sprowadzała się do użycia stosownie dużej siły. Po moich zabiegach stary drań miał cztery żebra pęknięte i jedno złamane. Nie powiem, że bym żałował.

Kiedy przyszedł Lane, klęczałem obok Eddiego i robiłem mu masaż serca; najpierw przechylałem się do przodu i opierałem całym ciężarem na dłoniach, a następnie odchylałem się i nasłuchiwałem, czy oddycha.

– Chryste – powiedział Lane. – Zawał?

– Na to wygląda. Wezwij pogotowie.

Najbliższy telefon był w małej szopie obok strzelnicy Pappia Allena – jego budzie, jak to się mówiło w gadce. Była zamknięta, ale Lane miał Klucze do Królestwa: trzy klucze uniwersalne, które otwierały wszystko w lunaparku. Zerwał się do biegu. Ja dalej robiłem masaż serca, kołysałem się w przód i w tył, bolały mnie uda, kolana protestowały przeciwko przedłużającemu się kontaktowi z twardą nawierzchnią Joyland Avenue. Po serii pięciu uciśnień powoli odliczałem do trzech, nasłuchując oddechu, ale nie było nic. Żadnego szmeru. Żadnego skutku. Ani po pierwszej serii, ani po drugiej, ani po szóstej. Eddie leżał z rozdziawionymi ustami i z dłońmi w rękawicach u boków. Pieprzony Eddie Parks. Patrzyłem na niego, kiedy przybiegł Lane, krzycząc z daleka, że karetka już jedzie.

Nie zrobię tego, pomyślałem. Za skarby świata.

Wreszcie wychyliłem się do przodu, przy okazji jeszcze raz uciskając jego pierś, i wpiłem się ustami w jego usta. Nie było tak źle, jak przypuszczałem; było jeszcze gorzej. Wargi miał

gorzkie od papierosów, a z gęby czymś mu jechało – Boże drogi, zdaje się, że papryczkami jalapeño, może z omletu, który zjadł na śniadanie. No, ale szczerze objąłem jego usta swoimi, zatkałem mu nos i wdmuchnąłem powietrze do jego gardła.

Powtórzyłem to pięć czy sześć razy, nim zaczął oddychać samodzielnie. Przystałem uciskać mu pierś, żeby zobaczyć, co się stanie. Oddychał dalej. W piekle musieli mieć tego dnia komplet, tak myślę. Przewróciłem go na bok, na wypadek gdyby miał wymiotować. Lane stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu. Wkrótce potem usłyszeliśmy wycie zbliżającej się syreny.

Lane pobiegł karetce na spotkanie, żeby pokazać kierowcy, gdzie ma jechać. Kiedy zostałem sam z Eddiem, mimo woli spojrzałem na groźnie wykrzywione zielone twarze potworów zdobiące fasadę Straszego Dworu. WEJDŹ, JEŚLI SIĘ ODWAŻYSZ, zachęcał napis nad nimi, wymalowany ociekającą zieloną farbą. Znów przypomniałem sobie Lindę Gray, która weszła tam żywa i została wyniesiona wiele godzin później jako zimny trup. Sądzę, że moje myśli pobiegły tym torem, bo Erin miała mi przywieźć informacje. Informacje, które ją niepokoiły. Pomyślałem też o mordercy tej dziewczyny.

„To mogłeś być ty – powiedziała pani Shoplaw. – Tyle że twoje włosy są ciemne, nie blond, i nie masz głowy ptaka wytatuowanej na dłoni. On miał. Orła, może jastrzębia”.

Eddie miał przedwcześnie posiwiałe włosy nałogowego palacza, ale przed czterema laty mogły być koloru blond. I zawsze nosił rękawice. Na pewno był za stary, żeby być mężczyzną, który towarzyszył Lindzie Gray na jej ostatniej przejażdżce, na pewno, ale...

Karetka była bardzo blisko, lecz jeszcze nie przyjechała, chociaż widziałem, że stojący w bramie Lane pogania ją gestami podniesionych rąk. Pomyślałem sobie: a co tam – i ściągnąłem Eddiemu rękawice. Zobaczyłem palce pokryte koronką martwego naskórka i grzbiety dłoni czerwone pod grubą warstwą jakiegoś białego kremu. Nie miał tatuażu.

Tylko łuszczycę.

## 66.♥

Gdy załadowali go na tył karetki i zabrali do małego szpitala w Heaven's Bay, wszedłem do najbliższej duńki i raz po raz płukałem usta. Długo nie mogłem pozbyć się smaku cholernych papryczek jalapeño i od tej pory ich nie tykam.

Kiedy wyszedłem, Lane Hardy czekał na mnie pod drzwiami.

– To było coś – powiedział. – Przywróciłeś go do życia.

– Nieprędko z tego wyjdzie. I może mieć uszkodzony mózg.

– Może tak, może nie, ale gdyby nie ty, nie przeżyłby na pewno. Najpierw ta mała, teraz wstrętny staruch. Jeszcze trochę, a zacznę cię nazywać Jezus zamiast Jonesy, bo kurde, prawdziwy z ciebie zbawiciel.

– Spróbuj, to się zwinę na południe. – Co w gadce oznaczało zdanie karty zegarowej na dobre.

– Niech ci będzie, ale dobrze się spisałeś, Jonesy. Prawdę mówiąc, dałeś czadu.

– Ten jego smak... – Skrzywiłem się. – Boże!

– Nie wątpię, ale spójrz na to bardziej optymistycznie. Teraz, kiedy go nie ma, jesteś wolny, nareszcie wolny, chwała Bogu Najwyższemu, jesteś nareszcie wolny. Myślę, że taki układ bardziej ci odpowiada, mam rację?

Miał, w stu procentach.

Wyjął z tylnej kieszeni rękawice z niewyprawionej skóry. Rękawice Eddiego.

– Znalazłem na ziemi. Po co mu je zdjąłeś?

– Hm... żeby jego dłonie mogły oddychać. – Idiotyczne wyjaśnienie, ale prawda zabrzmiałaby jeszcze bardziej głupio. Nie do wiary, że w ogóle brałem pod uwagę możliwość, że mordercą Lindy Gray był Eddie Parks. – Na kursie ratowniczym uczyli nas, że jak ktoś dostanie zawału, trzeba odsłonić jak największą powierzchnię jego skóry. To jakoś pomaga. – Wzruszyłem ramionami. – Przynajmniej powinno.

– No proszę. Człowiek co dzień się czegoś uczy. – Trzepnął rękawicami. – Myślę, że Eddie nieprędko wróci... jeśli w ogóle... więc możesz je schować do jego budy, nie?

– Jasne – powiedziałem i to zrobiłem. Ale później tego dnia poszedłem i zabrałem je znowu. Wziąłem też coś innego.

## 67.♥

Żeby było jasne: nie lubiłem go. Nie dał mi żadnego powodu, żebym go lubił. Z tego, co wiedziałem, wynikało, że nie dał takiego powodu żadnemu pracownikowi Joylandu. Nawet starzy wiarusi jak Rozzie Gold i Papiro Allen omijali go szerokim łukiem. Mimo to o czwartej tego popołudnia wszedłem do szpitala rejonowego w Heaven's Bay i spytałem, czy mogę odwiedzić Edwarda Parksa. W dłoni trzymałem jego rękawice i coś jeszcze.

Niebieskowłosa recepcjonistka wolontariuszka dwa razy przejrzała papiery, kręcąc głową, i już zaczynałem myśleć, że Eddie jednak umarł, kiedy powiedziała:

– Aha! Edwin, nie Edward. Leży w sali numer 315. To na OIOM-ie, więc musi pan się najpierw zgłosić do pielęgniarki dyżurnej.

Podziękowałem jej i poszedłem do windy – tak wielkiej, w której zmieściłyby się nosze na kółkach. Była wolniejsza od śmierci w męczarniach, co dało mi pod dostatkiem czasu na to, by się zastanowić, co ja tu robię. Jeśli już ktoś z załogi miał odwiedzić Eddiego, powinien to być Fred Dean, nie ja, bo on tej jesieni rządził Joylandem. A mimo to przyszedłem. Pewnie i tak mnie do niego nie wpuszczą.

Ale pielęgniarka tylko zerknęła na jego kartę i zgodziła się.

– Tyle że może spać.

– Nie wie pani, jak z jego...? – Postukałem się w głowę.

– Sprawnością umysłową? Cóż... podał nam swoje nazwisko.

To dobrze rokowało.

Rzeczywiście spał. Kiedy widziałem go leżącego z zamkniętymi oczami i twarzą oświetloną późnymi promieniami słońca, przypuszczenie, że przed raptem czterema laty mógł być chłopakiem Lindy Gray, wydawało się jeszcze bardziej niedorzeczne. Wyglądał na co najmniej sto, może sto dwadzieścia lat. Zobaczyłem też, że niepotrzebnie przyniosłem jego rękawice. Ktoś zabandażował mu dłonie, pewnie po nasmarowaniu ich czymś nieco mocniejszym od dostępnego bez recepty kremu, z którego dotąd korzystał. Kiedy patrzyłem na te niezgrabne białe kokony, ogarniało mnie niechętnie współczucie.

Przeszedłem przez salę jak najciszej i schowałem rękawice do szafy z ubraniami, które miał na sobie, kiedy zabrała go karetka. Teraz musiałem coś zrobić z drugą rzeczą, którą przyniosłem – fotografią, która była przyczepiona do ściany jego zagraconej, zasmrodzonej tytoniem małej szopy, obok pożółkłego kalendarza sprzed dwóch lat. Zdjęcie pokazywało Eddiego z kobietą o pospolitej twarzy. Stali na zachwaszczonym trawniku przed nijakim domem. Eddie wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat. Obejmował kobietę ramieniem. Ona uśmiechała się do niego. A on – dziw nad dziwy – uśmiechał się do niej.

Obok łóżka był stolik na kółkach, na nim stały plastikowy dzbanek i szklanka. Głupota, pomyślałem; skoro miał zabandażowane dłonie, w najbliższym czasie niczego sobie nie naleje. Jednak dzbanek mógł spełnić pożyteczną funkcję. Oparłem o niego fotografię, tak żeby Eddie ją zobaczył, kiedy się przebudzi. To zrobiwszy, ruszyłem w stronę drzwi.

Już wychodziłem, kiedy odezwał się szeptem zupełnie niepodobnym do jego zwykłego gderliwego chrypienia.

– Młody.

Zawróciłem – niezbyt ochoczo – i podszedłem do łóżka. W kącie stało krzesło, ale nie miałem zamiaru go przysunąć i usiąść.

– Jak się czujesz, Eddie?

– Ciężko powiedzieć. Trudno oddychać. Całego mnie okleili.

– Przyniosłem ci rękawice, ale widzę, że już... – Wskazałem ruchem głowy jego obandażowane dłonie.

– Ano. – Wciągnął powietrze. – Może korzyść z tego będzie taka, że mi je wyleczą. Cały czas swędzą jak skurwysyn. – Spojrzał na zdjęcie. – Po coś to przyniósł? I co robiłeś w mojej budzie?

– Lane kazał schować tam twoje rękawice. Zrobiłem to, ale potem pomyślałem, że mogą ci się tu przydać. Zdjęcie też. Może chcesz, żeby Fred Dean zadzwonił do tej kobiety?

– Do Corinne? – Prychnął. – Od dwudziestu lat nie żyje. Daj no wody, młody. Gardło mam suche jak dziesięcioletni psi balas.

Nalałem wody, napiłem go i nawet otarłem prześcieradłem kącik jego warg, kiedy trochę mu z nich pociekło. Cała ta sytuacja była trochę zbyt intymna jak na mój gust, ale w sumie nie było tak źle, zważywszy, że raptem kilka godzin wcześniej robiłem temu podłemu dziadowi oddychanie usta-usta.

Nie podziękował mi, ale czy kiedykolwiek to zrobił? Zamiast tego powiedział:

– Podnieś to zdjęcie. – Zrobiłem, co chciałem. Przez kilka sekund patrzyłem na nie nieruchomym wzrokiem, po czym westchnąłem. – Zółza pierdolona, tylko dupę mi obrabiać umiała. Mądrze zrobiłem, rzucając ją dla Royal American Shows. – Łza zadrżała w kącie jego lewego oka, zawahała się, po czym spłynęła po policzku.

– Mam je zabrać z powrotem i powiesić w twojej budzie, Eddie?

– Nie, w sumie możesz to zostawić. Wiesz, mieliśmy dziecko. Córeczkę.

– Tak?

– Tak. Wpadła pod samochód. Trzy latka miała i umarła jak pies, na ulicy. Ta pizda trajlowała wtedy przez telefon, zamiast jej pilnować. – Odwrócił głowę na bok i zamknął oczy. – No już, idź sobie. Boli, kiedy mówię, i jestem zmęczony. Jakby słoń siedział mi na kłacie.

– Dobra. Dbaj o siebie.

Skrzywił się, nie otwierając oczu.

– Nie rozśmieszaj mnie. Niby jak mam to robić? Masz jakiś pomysł? Bo ja nie. Nie mam rodziny, przyjaciół, oszczędności ani ubezpieczenia. Co teraz zrobię?

– Jakoś ci się ułoży – powiedziałem bez przekonania.

– Jasne, tak jak to jest w filmach. No dobra, spadaj.

Tym razem byłem już za drzwiami, zanim znowu się odezwał.

– Powinieneś być dać mi umrzeć, młody. – Powiedział to bez dramatyzowania, stwierdzał fakt i tyle. – Teraz już byłbym z moją córeczką.



## 68.♥

Kiedy wszedłem do głównego holu szpitala, zamarłem w bezruchu, w pierwszej chwili niepewny, czy naprawdę widzę tego, kogo widzę. Ale to była ona, na pewno, z rozłożoną na kolanach kolejną z niekończącej się serii jej zmuśnych lektur. Ta nosiła tytuł *The Dissertation*.

– Annie?

Podniosła głowę, z początku nieufnie, ale uśmiechnęła się, kiedy mnie rozpoznała.

– Dev! Co tu robisz?

– Odwiedziłem kolegę z pracy. Miał dziś atak serca.

– O mój Boże, tak mi przykro. Wyjdzie z tego?

Nie zachęciła mnie, żebym usiadł obok niej, ale i tak to zrobiłem. Wizyta u Eddiego w niezrozumiały sposób wytrąciła mnie z równowagi i miałem zszarpane nerwy. To nie było niezadowolenie, to nie był smutek. To był dziwny, nieukierunkowany gniew, w jakiś sposób związany z okropnym smakiem papryczek jalapeño, który wciąż miałem w ustach. I z Wendy, Bóg raczy wiedzieć czemu. Świadomość, że jeszcze się z niej nie wyleczyłem, była męcząca. Złamana ręka zagoiłaby się szybciej.

– Nie wiem. Nie rozmawiałem z lekarzem. Z Mikiem wszystko w porządku?

– Tak, to tylko okresowe badania. Rentgen klatki piersiowej i morfologia krwi. Z powodu tego zapalenia płuc, rozumiesz. Dzięki Bogu, że już mu przeszło. Mike ma się dobrze, został tylko uporczywy kaszel. – Wciąż trzymała książkę otwartą, co pewnie znaczyło, że chciała, żebym sobie poszedł, a to rozzłościło mnie jeszcze bardziej. Musicie pamiętać, że tamtego roku wszyscy chcieli mnie splawić, nawet facet, któremu uratowałem życie.

I pewnie dlatego powiedziałem:

– Mike nie uważa, że ma się dobrze. W takim razie komu mam wierzyć, Annie?

Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, po czym jej spojrzenie stało się nieobecne.

– Wiesz, Devin, nie obchodzi mnie, komu i w co wierzysz. Tak czy tak, to nie twoja sprawa.

– Właśnie że jego. – Te słowa padły zza naszych pleców. Mike przyjechał na swoim wózku. Musiał kręcić kołami ręcznie, bo wózek nie miał silnika. Silny chłopak. Miał krzywo zapiętą koszulę.

Annie odwróciła się do niego zdziwiona.

– Co ty tu robisz? Pielęgniarka miała cię...

– Powiedziałem, że poradzę sobie sam, i się zgodziła. Z radiologii to tylko raz w lewo, dwa razy w prawo i jestem tutaj. Nie jestem ślepy, tylko umie...

– Pan Jones odwiedził swojego kolegę, Mike. – A zatem zostałem zdegradowany z powrotem do pana Jonesa. Zamknęła książkę z hukiem i wstała. – Pewnie spieszno mu do domu, a ty na pewno jesteś zmę...

– Chcę, żeby zabrał nas do lunaparku. – Mike mówił względnie spokojnie, ale jego głos był na tyle donośny, że ludzie się obejrżeli. – Nas.

– Mike, wiesz, że to nie...

– Do Joylandu. Do Joy... landu. – Wciąż spokojnie, ale jeszcze głośniej. Teraz patrzyli już wszyscy. Policzki Annie płonęły. – Chcę, żebyście mnie tam zabrali. Oboje. – Jego głos stał się jeszcze donośniejszy. – Chcę, żebyście zabrali mnie do Joylandu, zanim umrę.

Zakryła usta dłonią. Miała okrągłe oczy. Słowa, które wypowiedziała, były stłumione, ale zrozumiałe.

– Mike... nie umrzesz... kto ci naopowiadał... – Odwróciła się do mnie. – Powinam tobie podziękować za to, że takie myśli chodzą mu po głowie?

– Oczywiście, że nie. – Zdawałem sobie sprawę, że mamy coraz większą publiczność; teraz dołączyły do niej dwie pielęgniarki oraz lekarz w niebieskim fartuchu chirurgicznym i nakładkach na buty. Miałem to gdzieś. Wciąż byłem zły. – On mi to powiedział. Dlaczego miałoby cię to zaskakiwać, skoro wiesz o jego przeczuciach?

Tego popołudnia miałem dobrą passę w doprowadzaniu ludzi do płaczu. Najpierw Eddie, teraz Annie. Mike jednak miał suche oczy i wydawał się równie wściekły jak ja. Ale nic nie powiedział, kiedy złapała za rączki jego wózka, obróciła go i pchnęła w stronę drzwi. Myślałem, że je staranuje, lecz fotokomórka otworzyła je w porę.

Daj im odejść, pomyślałem, ale miałem już dość swojej bierności, dość tego, że pozwalam kobietom odchodzić, że dopuszczam, by ciągle zdarzało się coś, czego potem żałuję.

Podeszła do mnie pielęgniarka.

- Wszystko w porządku?
- Nie – powiedziałem i poszedłem za nimi.

## 69.♥

Annie zostawiła samochód na parkingu przy samym szpitalu, obok tabliczki oznajmiającej TE DWA RZĘDY ZAREZERWOWANE DLA OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH. Zobaczyłem, że miała vana, dość dużego, by z tyłu zmieścić się złożony wózek inwalidzki. Otworzyła drzwi od strony pasażera, ale Mike nie chciał zejść z wózka. Ścisnął poręcze zbielełymi z wysiłku dłońmi.

– Wsiadaj! – krzyknęła na niego.

Mike potrząsnął głową, nie patrząc na nią.

– Wsiadaj, do cholery!

Tym razem nawet nie potrząsnął głową.

Chwyciła go i szarpnęła ku sobie. Wózek miał zaciągnięty hamulec i przechylił się do przodu. Złapałem go w ostatniej chwili, zanim fiknął i wrzucił ich oboje do otwartego samochodu.

Włosy opadły Annie na twarz i patrzące spod nich oczy były oszalałe; prawie jak ślepiec spłoszonego konia w czasie burzy.

– Puszczaj! To wszystko przez ciebie! Nie powinnam była...

– Przestań. – Chwyciłem ją za ramiona. Poczułem pod palcami duże zagłębienia, kości leżące tuż pod skórą. Pomyślałem: Jest zbyt zajęta wmuszaniem w niego kalorii, żeby zatroszczyć się o siebie.

– Puść mnie...

– Nie chcę ci go odebrać – powiedziałem. – Annie, to ostatnie, czego bym chciał.

Przestała się wrywać. Ostrożnie ją puściłem. Powieść, którą czytała, upadła na asfalt w czasie szamotaniny. Podniosłem ją i schowałem do kieszeni z tyłu wózka inwalidzkiego.

– Mamo. – Mike wziął Annie za rękę. – To nie musi być ostatnia okazja do dobrej zabawy.

Wtedy zrozumiałem. Jeszcze zanim zwiesiła ramiona i zaszlochała, zrozumiałem. Tu nie chodziło o strach, że wsadzę go na jakąś szaleńczo pędzącą karuzelę i umrze od nadmiaru adrenaliny. Ani nie o obawę, że obcy człowiek skradnie to chore serce, które tak bardzo kochała.

Nie, kierowało nią swoiste atawistyczne przekonanie – matczyne przekonanie – że jeśli nigdy nie zaczną robić pewnych rzeczy po raz ostatni, życie dalej będzie się toczyć tak jak do tej pory: poranne koktajle owocowe na chodniku z desek, wieczory z latawcem na chodniku z desek, niekończące się lato. Tylko że przyszedł już październik i plaża opustoszała. Radosne krzyki nastolatków na Thunderballu i małych dzieci szalejących na zjeżdżalni Szust i Chlust ucichły, powietrze u kresu dnia było ostre. Żadne lato nie trwa wiecznie.

Ukryła twarz w dłoniach i usiadła na fotelu pasażera. Był dla niej za wysoki i omal się nie zsunęła. Złapałem ją i przytrzymałem. Chyba nie zauważyła.

– Proszę bardzo, weź go – burknęła. – Mam to w dupie. Skoczcie sobie na spadochronie, jak chcecie. Tylko nie oczekujcie, że się przyłączę do tej waszej... chłopięcej przygody.

– Bez ciebie nigdzie nie pójdę – powiedział Mike.

Spojrzała na niego.

– Michael, mam tylko ciebie. Rozumiesz to?

– Tak. – Wziął jej dłoń w obie ręce. – A ja mam tylko ciebie.

Poznałem po wyrazie jej twarzy, że tak naprawdę nigdy dotąd nie pomyślała o tym w ten sposób.

– Pomóż mi wsiąść – poprosił Mike. – Pomóżcie oboje.

Kiedy usiadł (nie pamiętam, żebym zapiął mu pas bezpieczeństwa, więc może to było, jeszcze zanim zrobił się wokół nich szum), zamknąłem drzwi i obszedłem vana od przodu razem z nią.

– Jego wózek – powiedziała z roztargnieniem. – Muszę wziąć jego wózek.

– Ja go schowam. Ty usiądź za kierownicą i przygotuj się do jazdy. Weź kilka głębokich wdechów.

Pozwoliła, żebym pomógł jej wsiąść. Trzymałem ją za rękę nad łokciem i mogłem objąć dłonią jej ramię. Miałem ochotę powiedzieć, że nie samymi żmudnymi lekturami człowiek żyje, ale nie zrobiłem tego. Dość się już dziś nasłuchiwała.

Złożyłem wózek i schowałem do bagażnika. Nie spieszyłem się, żeby miała czas ochłonać. Kiedy podszedłem do drzwi od strony kierowcy, po trosze spodziewałem się zastać zamknięte okno, lecz wciąż było otwarte. Annie już miała wytarte oczy i nos, i zrobiła jaki taki porządek z włosami.

– On nigdzie bez ciebie nie pójdzie, ja też nie – stwierdziłem.

Odpowiedziała tak, jakby Mike'a nie było u jej boku, jakby nie mógł jej słyszeć.

– Tak bardzo się o niego boję. Przez cały czas. Tak dużo widzi i tak wiele z tego, co widzi, sprawia mu ból. Wiem, że stąd biorą się jego koszmary. To taki wspaniały dzieciak. Dlaczego nie może po prostu wyzdrowieć? Dlaczego musi to znosić? Dlaczego?

– Nie wiem – powiedziałem.

Pocałowała Mike'a w policzek. Potem odwróciła się z powrotem do mnie. Wzięła głęboki, drżący wdech i wypuściła powietrze.

– To kiedy tam jedziemy? – spytała.

## 70.♥

*Powrót króla* na pewno nie był tak żmudną lekturą jak *The Dissertation*, ale tego wieczora nie zmógłbym nawet *Kota Prota*. Zjadłem na kolację spaghetti z puszki (starając się ignorować uszczypliwe komentarze pani Shoplaw na temat tego, jak to niektórzy młodzi ludzie uparcie znęcają się nad swoim organizmem), po czym w moim pokoju usiadłem przy oknie i patrzyłem w ciemność, wsłuchany w miarowy, to narastający, to cichnący szum fal.

Przysypiałem, kiedy pani S. zapukała lekko do moich drzwi i powiedziała:

– Telefon do ciebie, Dev. Jakiś mały chłopiec.

Pospiesznie zszedłem do salonu, bo znałem tylko jednego małego chłopca, który mógł do mnie zadzwonić.

– Mike?

– Mama śpi. – Mówił zniżonym głosem. – Powiedziała, że jest zmęczona.

– Nie dziwię się. – Wspomniałem, jak na nią naskoczyliśmy.

– To prawda, zrobiliśmy to – odparł, jakbym wypowiedział swoją myśl na głos. – Musieliśmy.

– Mike... ty czytasz w myślach?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Widzę i słyszę, to wszystko. I miewam pomysły. To był mój pomysł, żeby zamieszkać w domu dziadka. Mama mówiła, że dziadek nigdy nam na to nie pozwoli, ale ja wiedziałem, że się zgodzi. Cokolwiek mam, ten dar czy jak to nazwać, zdaje się, że odziedziczyłem to po nim. Wiesz, on uzdrawia ludzi. Czasem udaje, a czasem robi to naprawdę.

– Czemu dzwonicz, Mike?

Ożywił się.

– Żeby porozmawiać o Joylandzie! Naprawdę będziemy mogli się przejechać na karuzeli i diabelskim młynie?

– Jestem prawie pewien.

– Postrzelać na strzelnicy?

– Może. Jeśli twoja matka nie będzie miała nic przeciwko. Wszystko jest uzależnione od jej zgody. To znaczy...

– Wiem, co to znaczy – powiedział zniecierpliwionym tonem. Jednak dziecięce, radosne podniecenie wzięło górę. – Ale super!

– Szybkie kolejki odpadają – powiedziałem. – Rozumiemy się? Po pierwsze, są już zamknięte na zimę. – Carolina Spin też był zamknięty, ale z pomocą Lane’a Hardy’ego mogłem go uruchomić w niecałe czterdzieści minut. – Po drugie...

– Tak, wiem, moje serce. Diabelski młyn mi wystarczy. Wiesz, widać go z plaży. Na górze pewnie jest widok jak z mojego latawca.

Uśmiechnąłem się.

– Mniej więcej. Ale pamiętaj, tylko jeśli twoja mama się zgodzi. Ona decyduje.

– Robimy to dla niej. Zrozumie, kiedy tam będziemy. – Wydawał się dziwnie pewny siebie. – I dla ciebie, Dev. Ale głównie dla tej dziewczyny. Za długo tam jest. Chce odejść.

Opadła mi szczeka, ale nie było zagrożenia, że się zaślinię; w ustach zupełnie mi zaschło.

– Skąd... – Tylko chrapliwy skrzek. Jeszcze raz przełknąłem ślinę. – Skąd o niej wiesz?

– Nie wiem, ale myślę, że z jej powodu tu przyjechałem. Powiedziałem ci już, że nie są białe?

– Tak, ale powiedziałaś też, że nie wiesz, co to znaczy. Teraz już wiesz?

– Nie. – Zaczął kaszleć. Czekąłem. Kiedy atak minął, powiedział: – Muszę kończyć. Mama się obudziła. Teraz przez pół nocy nie zaśnie, tylko będzie czytała.

– Tak?

– Tak. Mam nadzieję, że puści mnie na diabelski młyn. Naprawdę.

– Nazywa się Carolina Spin, ale pracownicy mówią na niego wciągarka. – Niektórzy, na przykład Eddie, tak naprawdę używali określenia „wciągarka łosi”, lecz tego mu nie powiedziałem. – Ludzie z Joylandu mają taki swój tajemny język.

– Wciągarka. Zapamiętam. Na razie, Dev.

Usłyszałem trzask przerwane połączenia.



## 71.♥

Tym razem Fred Dean dostał ataku serca.

Leżał z siną, wykrzywioną twarzą na pochylni prowadzącej na Carolina Spin. Ukląknęłam obok niego i zacząłem robić mu masaż serca. Kiedy to nie przyniosło skutku, wychyliłem się do przodu, zatkałem mu nos i objąłem jego wargi moimi. Coś przemknęło mi po zębach na język. Odchyliłem się i zobaczyłem, że z jego ust wybiegają czarną falą małe pająki.

Zerwałem się ze snu owinięty wzburzoną pościelą jak całunem, z mocno walącym sercem, trąc dłońmi usta. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że nic w nich nie mam. Wstałem, poszedłem do łazienki i wypilem dwie szklanki wody. Może kiedyś miałem gorsze koszmary niż w ten wtorek o trzeciej w nocy, ale jeśli tak, to ich nie pamiętam. Pościeliłem łóżko od nowa i położyłem się, przekonany, że do rana nie zasnę. A mimo to już zasypiałem, kiedy naszła mnie myśl, że dramatyczna scena, którą odstawiliśmy wczoraj we trójkę w szpitalu, mogła nie zdać się na nic.

Jasne, Joyland chętnie czynił specjalne przygotowania do wizyt dzieci ułomnych, niewidomych i upośledzonych – dziś nazywanych dziećmi specjalnej troski – w trakcie sezonu, ale sezon się skończył. Czy niewątpliwie drogie ubezpieczenie lunaparku pokryje koszty, w razie gdyby Mike'owi Rossowi coś się stało w październiku? Już widziałem, jak Fred Dean kręci głową na moją prośbę i mówi, że bardzo mu przykro, ale...

## 72.♥

Rano było chłodno i wiał silny wiatr, więc pojechałem do pracy samochodem. Zaparkowałem obok pikapa Lane'a. Byłem przed czasem i tylko nasze dwa wozy stały na parkingu A przeznaczonym dla pięciuset aut. Opadłe liście przewalały się po asfalcie z owadziim chrzęstem, który przypominał pająki z mojego snu.

Lane siedział na składanym krześle przed budą madame Fortuny (która wkrótce miała zostać rozebrana i przeniesiona na zimę do magazynu) i jadł bajgla posmarowanego grubą warstwą serka śmietankowego. Melonik miał przekrzywiony pod zwykłym luzackim kątem, za ucho wetknął papierosa. Jedynym nowym akcentem była dżinsowa kurtka. Kolejny znak, że babie lato się skończyło.

– Jonesy, Jonesy, samotny Jonesy. Chcesz bajgla? Wziąłem parę na zapas.

– Jasne – powiedziałem. – Mogę przy jedzeniu o czymś z tobą pogadać?

– Przyszedłeś wyznać grzechy, co? Spocznij więc, synu. – Wskazał boczną ścianę budy wróżki, o którą opierały się dwa złożone krzesła.

– To nic grzesznego. – Wziąłem jedno krzesło i usiadłem, a on podał mi brązową torebkę z bajglami. – Ale złożyłem komuś obietnicę i boję się, że nie będę w stanie jej dotrzymać.

Powiedziałem mu o Mike'u i o tym, jak przekonałem jego matkę, żeby puściła go do Joylandu – nie lada wyczyn, zważywszy na jej kruchą równowagę psychiczną. Skończyłem na tym, jak obudziłem się w środku nocy przekonany, że Fred Dean nigdy się na to nie zgodzi. Nie wspomniałem tylko o śnie, z którego powodu się obudziłem.

– Czyli co, ta mamuśka jest niezłą laską? – zapytał Lane, kiedy skończyłem.

– No... tak. Prawdę mówiąc, tak. Ale nie dlatego...

Poklepał mnie po ramieniu i obdarzył pełnym wyższości uśmiechem, bez którego mógłbym się obejść.

– Ani słowa więcej, Jonesy, ani słowa więcej.

– Lane, ona jest dziesięć lat starsza ode mnie!

– Dobra, dobra, gdybym dostał dolca za każdą dziesięć lat młodszą laskę, z jaką się spotykałem, to dziś mógłbym sobie kupić porządny stek w Hanratty's w Bay. Wiek to tylko liczba, synu.

– Dzięki za twoją mądrość. A teraz powiedz mi, czy wdepnąłem w gówno, mówiąc temu dzieciakowi, że będzie mógł przyjść do Joylandu i pojeździć na Spinie i karuzeli.

– Wdepnąłeś w gówno – rzekł i zrobiło mi się ciężko na sercu. Potem podniósł palec. – Ale...

– Ale...?

– Wyznaczyłeś już datę tej wycieczki?

– Właściwie nie. Myślałem o czwartku. – Innymi słowy, zanim przyjadą Erin i Tom.

– Czwartek odpada. Piątek też. Czy ten dzieciak i jego seksowna mamuśka będą tu jeszcze w przyszłym tygodniu?

– Tak sędzę...

– W takim razie zaplanuj to na poniedziałek albo wtorek.

– Po co czekać?

– Ze względu na gazetę. – Patrzył na mnie, jakbym był największym durniem na świecie.

– Gazetę...?

– Lokalny brukowiec. Wychodzi w czwartki. Kiedy twój ostatni bohaterski wyczyn trafi na pierwszą stronę, staniesz się pupilkim Freddy'ego Deana. – Lane wrzucił resztkę bajgla do najbliższego kubła na śmieci (dwa punkty) i nakreślił w powietrzu wymyślony nagłówek. – „Przychodźcie do Joylandu! Nie tylko sprzedajemy zabawę, ale i ratujemy ludziom życie!” – Przekrzywił melonik na drugi bok. – Bezcenny rozgłos. Fred będzie twoim dłużnikiem. Wykorzystaj to.

– Skąd gazeta miałaby się o tym dowiedzieć? Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Eddie Parks im powiedział. – Choć gdyby to zrobił, pewnie by zażądał, żeby w pierwszym akapicie opisali, jak połamane mu zebra.

Przewrócił oczami.

– Ciągłe zapominam, że nie jesteś z tych stron. W tej kuwecie ludzie czytają jedynie kronikę kryminalną i interwencje pogotowia. Ale te interwencje są sucho opisane. Specjalnie dla ciebie, Jonesy, pofatyguję się do redakcji „Banner” i opowiem ówkom, jaki to z ciebie bohater. Zaraz przyślą kogoś, żeby zrobił z tobą wywiad.

– Wolałbym nie...

– Rany boskie, harcerzyk ze sprawnością skromnisia. Daruj sobie. Chcesz oprowadzić tego dzieciaka po lunaparku, zgadza się?

– Tak.

– To zgódź się na wywiad. I uśmiechaj się ładnie do obiektywu.

Co też – jeśli pozwolicie, że wybiegnę w przyszłość – uczyniłem.

Kiedy składałem krzesło, Lane rzekł:

– Wiesz, nasz Freddy Dean pewnie i tak powiedziałby „pieprzyć ubezpieczenie” i zaryzykował. Może na to nie wygląda, ale sam jest kuglarzem z kuglarzy. Jego ojciec był jarmarcznym naganiaczem. Freddy kiedyś mi mówił, że jego papcio nosił michigański rulon dość duży, żeby udusić nim konia.

Znałem ten żargon już praktycznie na wylot, ale nie wiedziałem, co to michigański rulon. Lane zaśmiał się, kiedy o to spytałem.

– Dwie dwudziestki z wierzchu, w środku albo jedyńki, albo pocięty zielony papier. Świetny numer na zwabienie frajerów. Ale w przypadku samego Freddiego nie to jest najważniejsze. – Znow przechrzywił melonik na drugi bok.

– A co?

– Kuglarze mają słabość do ładnych dzióbek w obcisłych kieckach i dzieci skrzywdzonych przez los. Mają też silną alergię na reguły świata ówoków. Co obejmuje całe to podliczanie słupków i tak dalej.

– Czyli może wcale nie muszę...

Uniósł dłonie, żeby mnie uciszyć.

– Lepiej tego nie sprawdzać. Udziel im wywiadu.

## 73.♥

Fotograf „Banner” upozował mnie przed Thunderballem. Skrzywiłem się, kiedy zobaczyłem to zdjęcie. Miałem na nim zmrużone oczy i wyglądałem jak wioskowy głupek, ale cel został osiągnięty: gazeta leżała na biurku Freda, kiedy przyszedłem do niego w piątek rano. Długo kręcił nosem, lecz w końcu przystał na moją prośbę, pod warunkiem że Lane obieca, że będzie z nami przez cały pobyt dziecka i jego matki w Joylandzie.

Lane zgodził się bez kręcenia nosem. Powiedział, że chce zobaczyć moją dziewczynę, i wybuchnął śmiechem, kiedy zacząłem gwałtownie protestować.

Jeszcze tego ranka zadzwoniłem do Annie Ross z tego samego telefonu, z którego Lane wezwał pogotowie. Powiedziałem jej, że zorganizuję im wycieczkę do lunaparku we wtorek rano, jeśli pogoda dopisze – a w środę lub w czwartek, jeśli nie. Potem wstrzymałem oddech.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po niej westchnienie.

I zgodziła się.

## 74.♥

To był pracowity piątek. Wyszedłem wcześniej z Joylandu, pojechałem do Wilmington i powitałem Toma i Erin, kiedy wysiedli z pociągu. Erin przebiegła całą długość peronu, rzuciła mi się na szyję, pocałowała mnie w oba policzki i czubek nosa. Rozkosznie było trzymać ją w ramionach, ale nie łudziłem się, że za tymi siostrzanymi pocałunkami kryje się coś głębszego. Puściłem ją i pozwoliłem, by Tom zrobił ze mną entuzjastycznego niedźwiedzia. Wydawało się, że nie widzieliśmy się pięć lat, nie pięć tygodni. Teraz byłem ciężko pracującym człowiekiem i choć włożyłem moje najlepsze spodnie chinos i koszulę sportową, na takiego wyglądałem. Mimo że moje umorusane dzinsy i wyblakła od słońca dogmyca zostały w szafie w moim pokoju u pani S., na takiego wyglądałem.

– Jak miło cię zobaczyć! – wykrzyknęła Erin. – Mój Boże, ale się opaliłeś!

Wzruszyłem ramionami.

– Co mogę powiedzieć? Pracuję w najdalej wysuniętej na północ prowincji Wieśniackiej Riwiery.

– Podjąłeś słuszną decyzję – powiedział Tom. – Wierzyć mi się nie chciało, kiedy mówiłeś, że nie wracasz na studia, ale dobrze zrobiłeś. Może też powinienem był zostać w Joylandzie.

Uśmiechnął się – tym swoim cwaniackim uśmiechem, któremu nie oparłaby się nawet święta, mówiącym „wylizałem Kamień z Blarney” – ale to nie całkiem rozproszyło cię, jaki przemknął mu po twarzy. Nie mógłby zostać w Joylandzie, nie po naszej przejażdżce tunelem strachu.

Zatrzymali się na weekend w Plażowym Pensjonacie (ku radości pani S. i Tiny Ackerley). Wieczorem urządziliśmy sobie w pięcioro wesoły zakrapiany piknik na plaży, grzejąc się przy huczącym ognisku. Jednak w sobotę po południu, kiedy przyszedł czas na to, by Erin podzieliła się ze mną swoimi niepokojącymi informacjami, Tom oznajmił, że zamierza złożyć skórę Tinie i pani S. w scrabble, i zostawił nas samych. Pomyślałem, że jeśli Annie i Mike będą na plaży, przedstawię ich Erin. Jednak dzień był chłodny, od oceanu dął zimny wiatr, więc przy stole

piknikowym na końcu chodnika z desek nie było żywej duszy. Zniknął nawet parasol, zabrany do środka na zimę.

Wszystkie cztery parkingi przy Joylandzie były puste, jeśli nie liczyć małej floty samochodów użytkowych. Erin – ubrana w gruby golf i wełniane spodnie, trzymająca w ręku cienką i bardzo elegancką aktówkę z wytłoczonymi inicjałami – uniosła brwi, kiedy wyjąłem pęk kluczy i największym otworzyłem bramę.

– A zatem – powiedziała – stałeś się jednym z nich.

To mnie zawstydziło – bo czyż nam wszystkim nie robi się wstyd (nawet jeśli nie wiemy dlaczego), kiedy ktoś nazywa nas „jednym z nich”?

– Właściwie nie. Mam klucz do bramy, na wypadek gdybym przyszedł pierwszy albo wyszedł ostatni, ale tylko Fred i Lane mają Klucze do Królestwa.

Zaśmiała się, jakbym palnął jakieś głupstwo.

– Klucz do bramy to klucz do królestwa, ja tak uważam. – Spoważniała i długo mierzyła mnie spojrzeniem. – Wydajesz się starszy, Devin. Pomyślałam tak, jeszcze zanim wysiedliśmy z pociągu, kiedy zobaczyłam cię na peronie. Teraz wiem dlaczego. Ty poszedłeś do pracy, a my wróciliśmy do Nibylandii bawić się z zaginionymi chłopcami i dziewczynkami. Tymi, którzy w końcu odnajdą się w garniturach od Brooks Brothers i z dyplomami MBA w kieszeniach.

Wskazałem jej aktówkę.

– Pasowałaby do garnituru od Brooks Brothers... o ile szyją garnitury dla kobiet, ma się rozumieć.

Westchnęła.

– To prezent od rodziców. Ojciec chce, żebym została prawnikiem jak on. Do tej pory nie zebrałam się na odwagę, by mu powiedzieć, że chcę być niezależną fotograficzką. Dostanie apopleksji.

Szliśmy Joyland Avenue w ciszy – przerywanej tylko przypominającym stukot kości grzechotem opadłych liści. Erin patrzyła na przykryte kolejki i karuzele, suchą fontannę, znieruchomiałe konie na karuzeli, pustą Bajkową Scenę w wymarłej Tuptusiowej Wiosce.

– Trochę smutno to wszystko wygląda. Aż człowiek zaczyna myśleć o śmierci. – Spojrzała na mnie badawczo. – Widzieliśmy gazetę. Pani Shoplaw specjalnie zostawiła ją w naszym pokoju. Znowu się wykazałeś.

– Mówisz o Eddiem? Przypadkiem byłem tam, gdzie trzeba. – Doszliśmy do budy madame Fortuny. Składane krzesła wciąż stały oparte o nią. Rozłożyłem dwa, zachęciłem Erin gestem, żeby usiadła, i klapnąłem obok. Wyjąłem z kieszeni kurtki półlitrowkę. – Tania whisky, ale dobrze rozgrzewa.

Wyraźnie rozbawiona, wzięła mały łyk. Ja też się napiłem, zakręciłem butelkę i schowałem do kieszeni. Pięćdziesiąt metrów w głąb Joyland Avenue – naszej głównej arterii – widziałem wysoką fasadę Straszego Dworu i ociekające zielone litery tworzące napis WEJDŹ, JEŚLI SIĘ ODWAŻYSZ.

Jej mała dłoń ścisnęła moje ramię z zaskakującą siłą.

– Uratowałeś tego starego drania. Zrobiłeś to. Choć raz bądź z siebie dumny.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tego, jak Lane nazwał mnie harcerzykiem ze sprawnością skromnisia. Może miał rację; w tamtym czasie jakoś nie bardzo potrafiłem docenić samego siebie.

– Wyżyje? – zapytała Erin.

– Pewnie tak. Freddy Dean rozmawiał z paroma lekarzami i powiedzieli, że bla-bla-bla, koniec z jedzeniem frytek, bla-bla-bla, pacjent musi rzucić palenie, bla-bla-bla, musi zacząć regularnie ćwiczyć.

– Już widzę, jak Eddie Parks uprawia jogging.

– Mhm, z papierosem w gębie i torebką skwarków w ręku.

Zachichotała. Poryw wiatru rozwał jej włosy. W grubym golfie i eleganckich ciemnoszarych spodniach nie przypominała rumianej amerykańskiej piękności, która biegała po Joylandzie w kusej zielonej sukience i uśmiechając się tym swoim ślicznym uśmiechem, namawiała ludzi, żeby dali sobie zrobić zdjęcie jej przedpotopowym aparatem.

– Co masz dla mnie? Czego się dowiedziałaś?

Otworzyła aktówkę i wyjęła plastikową teczkę.

– Jesteś absolutnie pewien, że chcesz w to wejść? Bo nie sądzę, żebyś po wysłuchaniu mnie miał powiedzieć „Elementarne, droga Erin” i rzucić nazwisko zabójcy jak Sherlock Holmes.

Jeśli potrzebowałem dowodów, że żaden ze mnie Sherlock Holmes, to moja szalona teoria, że Eddie Parks był tak zwanym Mordercą z Lunaparku, wystarczała aż nadto. Chciałem



powiedzieć, że bardziej zależy mi na tym, by przynieść ukojenie ofierze, niż na schwytaniu zabójcy, ale wtedy wyszedłbym na wariata, nawet uwzględniając to, co spotkało Toma.

– Też na to nie liczę.

– À propos, wiesz mi prawie cztery dychy – to opłaty za wypożyczenia międzybiblioteczne.

– Stać mnie.

Dała mi kuksańca pod żebro.

– Mam nadzieję. Pracuję na chesne, nie dla rozrywki.

Postawiła aktówkę między łydkami i otworzyła teczkę. Zobaczyłem kserokopie, parę kartek maszynopisu i błyszczące zdjęcia, które wyglądały jak te robione szaraczkom przez Gwiazdeczki.

– No dobra, to jedziemy. Zaczęłam od artykułu w „Charleston Post-Courier”, o którym mi powiedziałaś. – Podała mi jedną z kserokopii. – Z niedzielnego wydania, pięć tysięcy słów spekulacji i może osiemset słów konkretów. Jak chcesz, później go sobie przeczytasz, ja tylko streszczę ci najważniejsze. Cztery dziewczyny. Pięć, jeśli liczyć ją. – Wskazała Straszny Dwór. – Pierwsza to Delight Mowbray, dla przyjaciół DeeDee. Z Waycross w Georgii. Biała, dwadzieścia jeden lat. Na dwa dni przed śmiercią powiedziała swojej przyjaciółce Jasmine Withers, że ma nowego chłopaka, starszego i bardzo przystojnego. Znalaziono ją obok ścieżki biegnącej skrajem bagien Okefenokee trzydziestego pierwszego sierpnia 1961 roku, dziewięć dni po tym, jak zniknęła. Gdyby facet zabrał ją w głąb bagien, chociaż kawałek, pewnie znalazłoby ją dużo później.

– Jeśli w ogóle – powiedziałem. – Dwadzieścia minut i ciało pożarłyby aligatory.

– Obrzydliwe, ale prawdziwe. – Dała mi następne ksero. – To artykuł z „Waycross Journal-Herald”. – Towarzyszyło mu zdjęcie. Przedstawiało poważnego policjanta trzymającego gipsowy odlew śladów opon. – Teoria jest taka, że porzucił ją w miejscu, gdzie poderznął jej gardło. Z tego, co piszą, ślady opon pozostawił pikap.

– Porzucił ją, jakby była śmieciem.

– Też obrzydliwe, ale prawdziwe. – Podała mi następny skserowany artykuł. – Dziewczyna numer dwa. Claudine Sharp. Pochodziła z tych stron, z Rocky Mount w Karolinie Północnej. Biała, dwadzieścia trzy lata. Znalazona martwa w lokalnym kinie. Drugiego sierpnia 1963 roku. Pokazywano wtedy film *Lawrence z Arabii*, który, tak się składa, jest bardzo długi i

bardzo głośny. Autor artykułu, powołując się na „anonimowe źródło w policji”, podaje, że facet prawdopodobnie poderznął jej gardło w czasie jednej ze scen batalistycznych. Oczywiście, to czyste spekulacje. Zostawił zakrwawioną koszulę i rękawice, zapewne wyszedł w koszuli, którą miał pod spodem.

– To musi być ten sam człowiek, który zabił Lindę Gray – zauważyłem.

– Na to wygląda. Gliny przeszukały wszystkich jej znajomych, ale Claudine nie mówiła nic o nowym chłopaku.

– Ani o tym, z kim tego wieczora wybierała się do kina? Nawet rodzicom?

Erin spojrzała na mnie z politowaniem.

– Miała dwadzieścia trzy lata, Dev, nie czternaście. Mieszkała na jednym końcu miasta, jej rodzice na drugim. Pracowała w aptece i miała małe mieszkanie nad nią.

– Dowiedziałas się tego wszystkiego z jednego artykułu?

– Pewnie, że nie. Zadzwoiłam też do kilku osób. Mało mi palce nie odpadły od wykręcania numerów, jeśli chcesz znać prawdę. Swoją drogą, wisisz mi też za połączenia międzymiastowe. Więcej o Claudine Sharp później. Na razie przejdźmy dalej. Ofiara numer trzy według artykułu w „Post-Courier” to dziewczyna z Santee w Karolinie Południowej. Teraz jesteśmy już w roku 1965. Eva Longbottom, dziewiętnaście lat. Czarna. Zaginęła czwartego lipca. Dziewięć dni później dwaj wędkarze znaleźli jej ciało na północnym brzegu rzeki Santee. Zgwałcona i pchnięta nożem w serce. Pozostałe ofiary nie były czarne i nie zostały zgwałcone. Jak chcesz, możesz ją zapisać na konto Mordercy z Lunaparku, ale osobiście mam co do tego wątpliwości. Ostatnią ofiarą przed Lindą Gray była... ona.

Podawała mi zdjęcie złotowłosej piękności, prawdopodobnie pochodzące ze szkolnej książki pamiątkowej. To był typ dziewczyny, która jest kapitanem zespołu czirliderek, królową szkolnego balu, chodzi z gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej... i mimo to wszyscy ją lubią.

– Darlene Stammacher. Pewnie zmieniłaby nazwisko, gdyby trafiła do branży filmowej, co było jej nieskrywanym celem. Biała, dziewiętnaście lat. Z Maxton w Karolinie Północnej. Zniknęła dwudziestego dziewiątego czerwca 1967 roku. Znalaziona po dwóch dniach intensywnych poszukiwań w przydrożnej wiacie w sosnowym gąszczu na południe od Elrod. Poderżnięte gardło.

– Chryste, jaka piękna! Nie miała stałego chłopaka?

– Widzisz, że jest ładna, to po co pytasz? Do niego policja poszła najpierw, tylko że go nie było. Pojechał z trzema kumplami pod namiot w Pasma Błękitne i wszyscy to potwierdzili. Jeśli w tym czasie nie przyleciał z powrotem na skrzydłach, nie mógł jej zabić.

– A potem była Linda Gray – powiedziałem. – Numer pięć. O ile wszystkie zabił ten sam facet.

Erin uniosła palec w belferskim geście.

– I pod warunkiem, że wszystkie jego ofiary znaleziono. Mogły być też inne, w sześćdziesiątym drugim, sześćdziesiątym czwartym, sześćdziesiątym szóstym... rozumiesz.

Wiatr przybrał na sile i zawył w konstrukcji Spina.

– A teraz co mnie niepokoi – powiedziała Erin... jakby pięć martwych dziewczyn nie było wystarczająco niepokojące. Wyjęła z teczki następane ksero. To była ulotka, w gadce zwana „wołaczem”, reklamująca coś o nazwie *Show Tysiąca Cudów Manly'ego Wellmana*. Przedstawiała dwóch klaunów z pergaminem wyliczającym niektóre ze wspomnianych cudów; wśród nich znalazła się **NAJLEPSZA W AMERYCE KOLEKCJA DZIWOŁĄGÓW! I OSOBLIWOŚCI!** Były też karuzele, gry, zabawy dla dzieci i **NAJSTRASZNIEJSZY DOM STRACHÓW NA ŚWIECIE!**

Wejdz, jeśli się odważysz, pomyślałem.

– Dostałaś to w ramach wypożyczenia międzybibliotecznego? – spytałem.

– Tak. Przekonałam się, że w ten sposób można zdobyć wszystko, jeśli tylko człowiek gotów jest trochę poszperać. Czy może raczej powinnam powiedzieć „pogadać, z kim trzeba”, bo tak naprawdę to największa poczta pantoflowa na świecie. Ta reklama ukazała się w „Waycross Journal-Herald”. Zamieszczali ją przez cały pierwszy tydzień sierpnia 1961 roku.

– Show Wellmana był w Waycross, kiedy zniknęła pierwsza dziewczyna?

– Nazywała się DeeDee Mowbray i nie, wtedy już przeniósł się gdzie indziej. Ale był tam, kiedy DeeDee powiedziała koleżance, że ma nowego chłopaka. A teraz spójrz, to z „Rocky Mount Telegram”. Dawali to przez cały tydzień w środku lipca 1963 roku. Standardowa reklama wstępna. Pewnie nawet nie muszę ci tego mówić.

To była kolejna całostronicowa zapowiedź wizyty *Show Tysiąca Cudów Manly'ego Wellmana*. Ci sami dwaj klauni trzymali ten sam pergamin, ale dwa lata po pobycie w Waycross obiecywali też grę w bingo z nagrodą główną wynoszącą dziesięć tysięcy dolarów, a słowo „dziwołagi” zniknęło.

– Czy show był w mieście, kiedy Sharp została zamordowana w kinie?

– Wyjechali dzień wcześniej. – Postukała w dolną część kartki. – Wystarczy spojrzeć na daty, Dev.

Nie byłem tak zorientowany w chronologii wydarzeń jak ona, ale nie próbowałem się bronić.

– A ta trzecia dziewczyna? Longbottom?

– Nie znalazłam żadnych informacji o wesołym miasteczku w okolicach Santee, a o tym Wellmana i tak nie miałabym szans nic znaleźć, bo jesienią 1964 zbankrutowało. Dowiedziałam się tego z „Outdoor Trade and Industry”. Mnie i moim bibliotecznym pomocnikom udało się ustalić, że to jedyne pismo branżowe, które pisze o wesołych miasteczkach i parkach rozrywki.

– Wiesz co? Powinnaś rzucić fotografię i znaleźć sobie jakiegoś bogatego pisarza albo producenta filmowego. Zająć się zbieraniem dla nich informacji.

– Wolę robić zdjęcia. Grzebanie po bibliotekach za bardzo przypomina prawdziwą pracę. Ale nie zbaczaj z tematu, Devin. W okolicach Santee nie było wesołego miasteczka, owszem, ale morderstwo Evy Longbottom i tak jest inne od czterech pozostałych. Przynajmniej moim zdaniem. W tamtych nie doszło do gwałtu, pamiętasz?

– Nie wiadomo. Gazety niechętnie o tym piszą.

– Zgadza się, używają określeń typu „molestowana” albo „seksualnie napastowana” zamiast „zgwałcona”, ale jasno dają do zrozumienia, o co chodzi, wierz mi.

– A co z Darlene Shoemaker? Czy był tam...

– Stammacher. Te dziewczyny zostały zamordowane, Dev, mógłbyś chociaż nie przekreślać ich nazwisk.

– Nie będę. Daj mi trochę czasu.

Położyła dłoń na mojej dłoni.

– Przepraszam. Za dużo tego wszystkiego dla ciebie jak na jeden raz, co? Ja miałam kilka tygodni na to, żeby się tym dręczyć.

– A dręczyłaś się?

– Trochę tak. To paskudna sprawa.

Miała rację. Kiedy czytasz albo oglądasz kryminał, stopy trupów mogą cię nie ruszać, bo przecież najważniejsze jest to, czy zabił lokaj, czy zła macocha. Ale tu chodziło o prawdziwe

młode kobiety. Wrony pewnie rozdziobały ich ciała; larwy załęgły się w ich oczach i wpełzły przez nos do mózgu.

– Czy kiedy Stannacher została zamordowana, w okolicach Maxton było wesołe miasteczko?

– Nie, ale zaraz potem otwarto jarmark w Lumberton... to najbliższe większe miasto. Masz.

Podawała mi następne ksero, z reklamą Letniego Jarmarku w hrabstwie Robeson. I znów postukała palcem w kartkę. Tym razem zwracała moją uwagę na linijkę: 50 **BEZPIECZNYCH** KARUZELI DOSTARCZONYCH PRZEZ SOUTHERN STAR AMUSEMENTS.

– W „Outdoor Trade and Industry” sprawdziłam też Southern Star. Firma powstała po drugiej wojnie światowej. Mają siedzibę w Birmingham, jeżdżą po całym Południu i stawiają karuzele. Nic tak wielkiego jak Thunderball czy Delirium Shaker; dostarczają głównie burakowozy i ich obsługę.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. A jednak nie zapomniała gadki. Burakowozy to karuzele i inne urządzenia, które łatwo zmontować i rozmontować. Jeśli kiedyś jeździliście Zwariowanymi Filiżankami albo kolejką Dzika Mysz, byliście na burakowozie.

– Zadzwoiłam do człowieka, który w Southern Star zajmuje się karuzelami. Powiedziałam, że latem pracowałam w Joylandzie i piszę pracę semestralną o parkach rozrywki na zajęcia z socjologii. Co swoją drogą być może zrobię. Po tym wszystkim to byłaby bułka z masłem. Powiedział mi to, czego sama się domyśliłam – że w tej branży częste zmiany personelu są normą. Tak na poczekaniu nie mógł sobie przypomnieć, czy zatrudnili kogoś od Wellmana, ale stwierdził, że to całkiem możliwe: tu paru ludzi od wszystkiego, tam paru mechaników, może jednego–dwóch operatorów karuzeli. Z tego wynika, że zabójca DeeDee i Claudine mógł być na tym jarmarku, a Darlene Stannacher mogła go poznać. Jarmark jeszcze nie był oficjalnie otwarty, lecz wielu okolicznych mieszkańców przychodzi wcześniej popatrzeć, jak operatorzy karuzeli i lokalne wycirusy rozstawiają sprzęt. – Patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem. – I myślę, że tak się właśnie stało.

– Erin, czy w artykule z „Post-Courier” o zabójstwie Lindy Gray była mowa o możliwym związku z objazdowymi wesołymi miasteczkami? A może powinienem powiedzieć: z branżą rozrywkową.

– Nie. Dasz jeszcze łyka? Zimno mi.

– Możemy wejść do środka...

– Nie, to przez te morderstwa. Zawsze robi mi się zimno, kiedy o nich myślę.

Podąłem jej butelkę. Pociągnęła łyk, ja też.

– Może to ty jesteś Sherlockiem Holmesem – powiedziałem. – A gliny? Myślisz, że ten aspekt przeoczyły?

– Nie wiem na pewno, ale sądzę... że tak. Gdyby to był serial kryminalny, znalazłby się jeden mądry stary glina w typie porucznika Columbo, który zobaczyłby pełny obraz sytuacji i zebrał wszystko do kupy, ale w rzeczywistości pewnie wielu takich ludzi nie ma. Zresztą tu trudno ten pełny obraz dostrzec, bo jego części rozrzucone są na przestrzeni trzech stanów i ośmiu lat. Jednego możesz być pewien: jeśli ten człowiek kiedykolwiek pracował w Joylandzie, to od dawna go tu nie ma. W parku rozrywki obsada nie zmienia się tak często jak w objazdowych zespołach typu Southern Star Amusements, ale i tak ludzie przychodzą i odchodzą.

Sam to wiedziałem. Operatorzy karuzeli i naganiacze raczej nie są najbardziej statecznymi ludźmi na świecie, a wycirusy zmieniały się jak w kalejdoskopie.

– Teraz jeszcze jedno, co mnie niepokoi. – Podała mi stosik fotografii. Na białym pasku u dołu każdej z nich widniał napis „Zdjęcie zrobione przez Gwiazdeczkę z Joylandu”.

Przejrzałem je i poczułem, że muszę się znowu napić. Zdjęcia przedstawiały Lindę Gray i człowieka, który ją zabił.

– Jezu Chryste, Erin, to nie są fotki z gazety. Skąd je wytrzasnęłaś?

– Od Brendy Rafferty. Musiałam trochę jej pokadzić, powiedzieć, jaką dobrą mamą była dla nas, Gwiazdeczek, ale w końcu się opłaciło. To nowe odbitki z negatywów, które miała w swoich aktach personalnych i mi pożyczyła. Oto coś ciekawego, Dev. Widzisz opaskę na głowie Gray?

– Tak. – Opaska Alicji, tak nazwała ją pani Shoplaw. Niebieska opaska Alicji.

– Brenda mówiła, że zamazali ją na zdjęciach, które dali do gazet. Myśleli, że to pomoże złapać sprawcę, ale nic z tego.

– Co więc cię niepokoi?

Bóg mi świadkiem, wszystkie te zdjęcia mnie niepokoiły, nawet te, na których Gray i jej towarzysz tylko przechodzili w tłumie, rozpoznawalni wyłącznie dzięki jej bluzce bez rękawów i opasce Alicji oraz jego baseballówce i ciemnym okularom. Tylko na dwóch Lindę Gray i jej zabójcę widać było ostro i wyraźnie. Pierwsze pokazywało ich na Wirujących Filiżankach: jego

dłoń spoczywała niedbale na krągłości tyłka Lindy. Na drugim – najlepszym ze wszystkich – byli na Strzelnicy Annie Oakley. Mimo to na żadnym z nich twarz mężczyzny nie była dobrze widoczna. Mógłbym minąć go na ulicy, a i tak bym faceta nie rozpoznał.

Erin chwyciła zdjęcie z Wirujących Filizanek.

– Spójrz na jego dłoń.

– Uhm, widzę tatuaż. Słyszałem o nim od pani S. Jak myślisz, co to? Jastrząb czy orzeł?

– Raczej orzeł, ale to bez znaczenia.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Pamiętasz, jak mówiłam, że do Claudine Sharp wrócę później? Młoda kobieta, której poderżnięto gardło w lokalnym kinie... w czasie *Lawrence'a z Arabii*. To była głośna sprawa w tak małej miejscinie jak Rocky Mount. „Telegram” pisał o tym przez prawie miesiąc. Gliny znalazły dokładnie jeden trop, Dev. Koleżanka Claudine ze szkoły spotkała ją w kinowym barku. Przywitały się, chwilę pogadały. Podobno wtedy obok Claudine stał mężczyzna w ciemnych okularach i baseballówce, ale do głowy jej nie przyszło, że mogli być razem, bo był dużo starszy. Zwróciła na niego uwagę tylko dlatego, że nosił ciemne okulary w kinie... i miał tatuaż na dłoni.

– Ptaka.

– Nie, Dev. Krzyż koptyjski. O taki. – Wyjęła następne ksero. – Twierdziła, że początkowo wzięła to za jakiś symbol nazistowski.

Spojrzałem na krzyż. Wyglądał zgrabnie, ale w niczym nie przypominał ptaka.

– Dwa tatuaże, po jednym na każdej dłoni – powiedziałem. – Na jednej ptak, na drugiej krzyż.

Potrząsnęła głową i znów podała mi zdjęcie z Wirujących Filizanek.

– Na której ręce jest ptak?

Mężczyzna stał na lewo od Lindy Gray, obejmował ją w talii. Dłoń spoczywająca na jej tyłku...

– Na prawej.

– Właśnie. Dziewczyna, która widziała go w kinie, twierdziła, że na prawej dłoni miał krzyż.

Przemyślałem to.

– Pomyliła się i tyle. Świadkowie często się mylą.

– To na pewno. Mój ojciec mógłby cały dzień o tym gadać. Ale zobacz, Dev.

Erin podała mi zdjęcie ze strzelnicy, najlepsze ze wszystkich, bo na nim nie przechodzili tylko w tle. Kręcąca się nieopodal Gwiazdeczka zobaczyła ich, zauważyła, w jak uroczej pozie stoją, i trzasnęła im fotkę, licząc, że kupią odbitkę. Tyle że facet ją splawił. Ostro, według pani Shoplaw. Przypomniałem sobie, jak ona opisała to zdjęcie: „Stoją blisko siebie, biodro w biodro, on pokazuje jej, jak trzymać karabinek, tak jak to faceci zawsze robią”. Pani S. na pewno widziała w gazecie niewyraźną reprodukcję złożoną z małych kropek. To był oryginał, tak wyraźny, że prawie czułem, że mógłbym do niego wejść i ostrzec Lindę Gray. Rzeczywiście stali biodro w biodro, on nakrywał dłonią jej dłoń podpierającą lufę strzelającej kulkami dwudziestkidwójki, żeby pomóc jej wycelować.

To była jego lewa dłoń. I nie miał na niej tatuażu.

– Widzisz to, prawda? – spytała Erin.

– Nie ma czego widzieć.

– O to chodzi, Dev. O to właśnie chodzi.

– Twierdzisz, że to byli dwaj różni faceci? Że jeden, z krzyżem na dłoni, zabił Claudine Sharp, a drugi, z ptakiem na dłoni, Lindę Gray? To raczej mało prawdopodobne.

– W pełni się z tobą zgadzam.

– Czyli co twoim zdaniem z tego wynika?

– Wydawało mi się, że zauważyłam coś na jednym ze zdjęć, ale nie byłam pewna, więc poszłam z odbitką i negatywem do znajomego studenta, Phila Hendrona. To prawdziwy geniusz ciemni, praktycznie mieszka na wydziale fotografii Bard. Pamiętasz te nasze pokraczne speed graphiki?

– Jasne.

– Dali je nam głównie dla efektu... śliczne dziewczyny z przedpotopowymi aparatami... ale według Phila to naprawdę świetny sprzęt. Z negatywami można wiele zrobić. Na przykład...

Podawała mi powiększenie zdjęcia z Wirujących Filiżanek. Celem Gwiazdeczki była młoda para z małym dzieckiem, ale na tej odbitce praktycznie zniknęli. W centrum kadru znaleźli się Linda Gray i jej morderca.

– Spójrz na jego dłoń, Dev. Spójrz na tatuaż!

Zrobiłem to, marszcząc czoło.

– Źle widać. Dłoń jest bardziej rozmazana od całej reszty.



– Nie masz racji.

Tym razem przysunąłem fotografię do oczu.

– O rany! Chodzi o tusz? Że ścieka? Trochę?

Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Lipiec 1969. Upalny wieczór. Prawie wszyscy byli złani potem. Jeśli mi nie wierzysz, spójrz na inne zdjęcia i zwróć uwagę na plamy potu na ubraniach. Poza tym facet miał powód, żeby się pocić, nie? Myślał o morderstwie. I to zuchwałem.

– O cholera – powiedziałem. – Pirat Pete.

Wymierzyła we mnie palec wskazujący.

– Bingo.

Łajba Pirata Pete'a to był sklepik z pamiątkami przy zjeździe Szust i Chlust, z dumnie łopoczącym na dachu Wesołym Rogerem. Asortyment standardowy – T-shirty, kubki do kawy, ręczniki plażowe, nawet kąpielówki, na wypadek gdyby jakiś dzieciak zapomniał swoich, wszystko z nadrukowanym logo Joylandu. Było też stoisko z szerokim wyborem naklejanych tatuaży. Kupowało się je w postaci kalkomanii. Jeśli ktoś nie czuł się na tyle pewnie, żeby samemu nanieść sobie taki na skórę, Pirat Pete (albo jeden z jego majtków) robił to za małą opłatą.

Erin kiwała głową.

– Nie sądzę, żeby tam go sobie zrobił... to byłoby głupie, a ten facet nie jest głupi... ale jestem pewna, że to nie jest prawdziwy tatuaż, podobnie jak prawdziwym tatuażem nie był koptyjski krzyż, który widziała dziewczyna w kinie w Rocky Mount. – Ścisnęła moje ramię. – Wiesz, co myślę? To przykuwa uwagę. Ludzie zauważają tatuaż, a cała reszta... – Postukała w niewyraźne sylwetki osób, które były rzeczywistymi bohaterami tego zdjęcia, zanim powiększył je jej kolega z Bard.

– Cała reszta jego postaci zlewa się z tłem.

– Uhm. Potem po prostu go zmywa.

– Gliny wiedzą?

– Nie mam pojęcia. Możesz im to zgłosić... ja nie, wracam na uczelnię. Tylko czy po tak długim czasie będzie ich to obchodzić?

Znów przejrzałem zdjęcia. Nie miałem wątpliwości, że Erin odkryła coś ważnego, choć nie sądziłem, by samo to pozwoliło schwytać Mordercę z Lunaparku. Ale coś jeszcze na tych

zdjęciach było. Coś. Wiecie, jak to czasem jest, kiedy człowiek ma słowo na końcu języka, ale nijak nie może go sobie przypomnieć? To było takie uczucie.

– Czy po Lindzie Gray były jeszcze jakieś morderstwa podobne do tych pięciu... czterech, jeśli pominiemy Evę Longbottom? Sprawdziłaś to?

– Próbowałam. Najkrócej mówiąc, nie sędzę, ale nie mogę być tego pewna. Czytałam o kilkudziesięciu morderstwach młodych dziewczyn i kobiet, co najmniej pięćdziesięciu, i nie znalazłam żadnego, które spełnia wszystkie kryteria. – Wyliczyła je. – Zawsze w lecie. Zawsze na randce z nieznanym starszym mężczyzną. Zawsze podejrzięte gardło. I zawsze jest jakiś związek z wesołymi miastami...

– Cześć, dzieciaki!

Poderwaliśmy głowy zaskoczeni. To był Fred Dean. Tego dnia miał na sobie koszulkę golfową, obszerne jaskrawoczerwone spodnie i czapkę z długim daszkiem i wyszytym złotą nicią napisem HEAVEN'S BAY COUNTRY CLUB. Dużo bardziej przywykłem do widoku Freda w garniturze, którego jedynymi mniej formalnymi akcentami były poluzowany krawat i rozpięty górny guzik koszuli Van Heusen. Ubrany do gry w golfa, wyglądał absurdalnie młodo. Pomijając siwiejące pasma włosów na skroniach.

– Dzień dobry, panie Dean – powiedziała Erin i wstała. W jednej dłoni wciąż ścisnęła większość swoich papierów i część zdjęć, w drugiej plastikową teczkę. – Nie wiem, czy mnie pan pamięta...

– Oczywiście. – Podeszedł bliżej. – Nie zapominam żadnej Gwiazdeczki, choć przyznam, że imiona czasem mi się mylą. Jesteś Ashley czy Jerri?

Uśmiechnęła się, schowała papiery z powrotem do teczki i mi ją podała. Dołożyłem do nich zdjęcia, które wciąż miałem w ręku.

– Erin.

– Jasne, Erin Cook. – Mrugnął do mnie, co było jeszcze dziwniejsze niż widok Freda w staromodnych obszernych spodniach golfowych. – Masz doskonały gust, jeśli chodzi o młode damy, Jonesy.

– Nie da się ukryć. – Uznałem, że byłoby za dużo roboty z tłumaczeniem mu, że Erin to tak naprawdę dziewczyna Toma Kennedy'ego. Zresztą Fred pewnie i tak nie pamiętał Toma, skoro nigdy nie widział go w zalotnej zielonej sukience i szpilkach.

– Wpadłem tylko po księgi rachunkowe. Niedługo kwartalne rozliczenie z urzędem skarbowym. Straszna mordęga, mówię wam. I jak się czujesz na starych śmieciach, Erin?

– Świetnie, proszę pana, dziękuję.

– Wrócisz za rok?

Wyglądała na ciut zakłopotaną tym pytaniem, lecz dzielnie trzymała się prawdy.

– Raczej nie.

– Twoja sprawa, ale gdybyś zmieniła zdanie, Brenda Rafferty na pewno znajdzie miejsce dla ciebie. – Przeniósł wzrok na mnie. – Co do tego chłopaka, którego planujesz przyprowadzić, Jonesy... Ustaliłeś jakiś termin z jego matką?

– Wtorek. Środa lub czwartek, gdyby padało. Mały nie może być na deszczu.

Erin patrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– Radzę zostać przy wtorku – powiedział Fred Dean. – Nadciąga sztorm. Nie huragan, dzięki Bogu, tylko burza tropikalna. Dużo deszczu, wichura, tak mówią. Ma tu dotrzeć w środę rano.

– Dobra. Dzięki za ostrzeżenie.

– Miło cię było znowu zobaczyć, Erin. – Uchylił czapki przed nią i ruszył w stronę parkingu na tyłach.

Erin zaczekała, aż zniknie, i dopiero wtedy wybuchnęła śmiechem.

– Te spodnie! Widziałeś te spodnie?

– Uhm. Zupełny odlot. – Ale nie zamierzałem się z nich nabijać. Ani z niego. Według Lane'a tylko dzięki ciężkiej pracy i księgowym sztuczkom Freda Deana Joyland jeszcze jako tako się trzymał. A skoro tak, niech sobie nosi te swoje gacie golfowe, kiedy chce. Przynajmniej nie były w kratę.

– O co chodzi z tym dzieciakiem, którego masz przyprowadzić?

– Długa historia. Opowiem ci w drodze powrotnej.

Tak zrobiłem. Przedstawiłem jej wersję ze sobą w roli harcerzyka ze sprawnością skromnisią i pominąłem ostrą kłótnię w szpitalu. Erin słuchała bez słowa, zadała tylko jedno pytanie, w chwili kiedy stanęliśmy u podnóża schodów prowadzących na górę z plaży.

– Powiedz prawdę, Dev... mamuśka jest seksowna?

Że też wszyscy o to pytali.

## 75.♥

Tego wieczora Tom i Erin poszli do Surfer Joe's, baru serwującego piwo i boogie, w którym spędzili latem sporo wolnych wieczorów. Tom zaprosił mnie do towarzystwa, ale znałem stare powiedzenie, że dwoje to para, a troje to sami wiecie co. Poza tym nie sądziłem, by zastali tam gwarną, imprezową atmosferę, do jakiej przywykli. W takich miścinach jak Heaven's Bay lipiec zupełnie różni się od października. Wczuwając się w rolę starszego brata, nawet ich o tym uprzedziłem.

– Nie rozumiesz, Dev – powiedział Tom. – My z Erin nie szukamy zabawy; my niesiemy zabawę ludziom. Nauczyliśmy się tego w wakacje.

Jednak pora była wczesna, kiedy usłyszałem, że wchodzi z powrotem na górę, dość trzeźwi, sądząc po ich głosach. Mimo to zza drzwi dobiegały i szepty, i stłumiony śmiech, co sprawiło, że poczułem się samotny. Nie brakowało mi Wendy; brakowało mi drugiego człowieka. Kiedy teraz o tym myślę, pewnie nawet to było krokiem naprzód.

Pod ich nieobecność przeczytałem notatki Erin, ale nie znalazłem nic nowego. Odłożyłem je po piętnastu minutach i wróciłem do fotografii, ostrych czarno-białych obrazów podpisanych ZDJĘCIE ZROBIONE PRZEZ „GWIAZDECZKĘ” Z JOYLANDU. Początkowo tylko je przeglądałem; potem usiadłem na podłodze, ułożyłem je w kwadrat i przesuwalem z miejsca na miejsce, jakbym usiłował dopasować do siebie kawałki układanki. Co zresztą w pewnym sensie robiłem.

Erin niepokoił związek między morderstwami a wizytami objazdowych wesołych miasteczek i tatuaże, które prawdopodobnie nie były prawdziwe. Mnie też te sprawy niepokoiły, ale było coś jeszcze. Coś, czego nie mogłem uchwycić. Doprowadzało mnie to do pasji, bo czułem, że mam to coś przed samym nosem. W końcu schowałem z powrotem do teczki wszystkie zdjęcia oprócz dwóch. Dwóch najważniejszych. Podniosłem je i spojrzałem najpierw na jedno, potem na drugie.

Linda Gray i jej zabójca w kolejce do Wirujących Filizanek.

Linda Gray i jej zabójca na strzelnicy.

Mniejsza z tym cholernym tatuażem, powiedziałem sobie. Nie o to chodzi. O coś innego.

Ale o cóż innego mogło chodzić? Ciemne okulary zasłaniały jego oczy. Bródka okrywała dolną część twarzy, a lekko przekrzywiony daszek baseballówki rzucał cień na czoło i brwi. Logo na czapce przedstawiało suma wychylonego z dużego czerwonego C – herbu zespołu Mudcats grającego w niższych ligach baseballowych Karoliny Południowej. W szczycie sezonu w Joylandzie roilo się od czapek Mudcats; tyle ich było, że nazywaliśmy je rybomycami, nie dogmycami. Drań nie mógł wybrać mniej rzucającego się w oczy nakrycia głowy i niewątpliwie o to mu właśnie chodziło.

Patrzyłem to na jedno, to na drugie zdjęcie, przenosiłem wzrok z Wirujących Filiżanek na strzelnicę i z powrotem. W końcu wrzuciłem je do teczki, a teczkę cisnąłem na moje małe biurko. Czytałem aż do powrotu Toma i Erin, a potem poszedłem spać.

Może rano mnie olśni, pomyślałem. Obudzę się i stwierdzę: Kurde, przecież to oczywiste.

Szum fal ukołysał mnie do snu. Śniło mi się, że jestem na plaży z Annie i Mikiem. Annie i ja staliśmy po kostki w wodzie i objęci patrzyliśmy, jak Mike puszcza latawiec. Biegał za nim ze szpulką w rękach. Mógł to robić, bo miał sprawne nogi. Był zdrowy. Cała ta historia z dystrofią mięśniową Duchenne’a tylko mi się przyśniła.

Obudziłem się wcześniej, bo zapomniałem zasłonić okno. Podszedłem do teczki, wyjąłem te dwa zdjęcia i patrzyłem na nie w pierwszych promieniach słońca, przekonany, że zobaczę odpowiedź.

Ale nie zobaczyłem.

## 76.♥

Korzystny układ połączeń kolejowych pozwolił Tomowi i Erin przyjechać z New Jersey do Karoliny Północnej razem, lecz rozkłady jazdy pociągów mają to do siebie, że dobra koordynacja to w nich wyjątek raczej niż reguła. W niedzielę zabrali się razem tylko z Heaven's Bay do Wilmington, moim formem. Pociąg Erin do Annandale-on-Hudson odjeżdżał dwie godziny przed tym, jak Coastal Express miał zawieźć Toma z powrotem do New Jersey.

Włożyłem czek do kieszeni jej kurtki.

– Za wypożyczenia międzybiblioteczne i rozmowy międzymiastowe.

Wyjęła go, spojrzała na wypisaną kwotę i próbowała go oddać.

– Osiemdziesiąt dolarów to za dużo, Dev.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co ustaliłaś, za mało. Weź to, poruczniku Columbo.

Zaśmiała się, schowała czek z powrotem do kieszeni i pocałowała mnie na pożegnanie – kolejny szybki buziak od siostry dla brata, w niczym nieprzypominający naszego pocałunku tamtej nocy pod koniec wakacji. W ramionach Toma była znacznie dłużej. Padły obietnice dotyczące Świąta Dziękczynienia u jego rodziców w zachodniej Pensylwanii. Widziałem po nim, że nie chciał jej puścić, ale kiedy głośniki wezwały pasażerów wybierających się do Richmond, Baltimore, Wilkes-Barre i dalej na północ, by wsiedli do pociągu, w końcu to zrobił.

Kiedy pojechała, przeszliśmy z Tomem na drugą stronę ulicy i zjedliśmy obiad w knajpie serwującej całkiem niezłe żeberka. Właśnie kontemplowałem wybór deserów, gdy odchrząknął i powiedział:

– Słuchaj, Dev.

Coś w jego głosie sprawiło, że poderwałem głowę. Był jeszcze bardziej zarumieniony niż zwykle. Odłożyłem kartę dań.

– To, o co poprosiłaś Erin... myślę, że czas z tym skończyć. Przejęła się tą sprawą i zdaje się, że zaniedbuje studia. – Zaśmiał się, zerknął przez szybę na krzątanicę na dworcu kolejowym, po czym znów spojrzał na mnie. – Gadam jak jej ojciec, nie jej chłopak, co?

– Niepokoisz się o nią, to wszystko. Zależy ci na niej.

– Zależy mi? Stary, zakochałem się po uszy. Jest dla mnie najważniejsza na świecie. Ale nie przemawia przede mną zazdrość. Nie chcę, żebyś tak pomyślał. Chodzi o to, że jeśli ma zmienić uczelnię i zachować stypendium, nie może się opuścić w nauce. Rozumiesz to, prawda?

Tak, rozumiałem to. Rozumiałem też coś innego, coś, czego Tom chyba nie był świadom. Pragnął, by oderwała się od Joylandu nie tylko ciałem, ale i duszą, bo tam spotkało go coś, czego nie mógł pojąć. Ani nie chciał, co w moich oczach czyniło go poniekąd głupcem. Znow weszła we mnie ta ponura zazdrość i mój żołądek zacisnął się wokół jedzenia, które próbował trawić.

Wreszcie uśmiechnąłem się – z dużym wysiłkiem, nie będę tego krył.

– Przyjąłem, zrozumiałem. Z mojego punktu widzenia nasz mały projekt badawczy został zakończony. – Dlatego wyluzuj, Thomas, pomyślałem. Możesz zapomnieć o tym, co się wydarzyło w Straszonym Dworze. O tym, co tam zobaczyłeś.

– To dobrze. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, co?

Wyciągnąłem rękę nad stołem.

– Po grób – powiedziałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

## 77.♥

W tle Bajkowej Sceny Tuptusiowej Wioski ustawiano na zmianę trzy dekoracje: Zamek Królewicza z Bajki, Magiczną Fasolę Jacka i gwiaździste niebo ze świecącym na czerwono Carolina Spin na pierwszym planie. Wszystkie przez lato wyblakły od słońca. W poniedziałek rano byłem na małym zapleczu Tuptusiowa i próbowałem trochę te dekoracje podretuszować (z nadzieją, że za bardzo ich nie zeszpecę – żaden był ze mnie van Gogh), kiedy przyszedł jeden z wycirusów z wiadomością. Fred Dean wzywał mnie do swojego gabinetu.

Poszedłem z pewnym niepokojem, ciekaw, czy dostanę ochrzan za to, że w sobotę przyprowadziłem do Joylandu Erin. Ku mojemu zaskoczeniu zastałem Freda ubranego nie w jeden z jego garniturów czy ten zabawny strój golfowy, ale w wypłowiałe dżinsy i równie wypłowiały T-shirt Joylandu, którego krótkie rękawy podwinął, odsłaniając pozazdrosczenia godne muskuły. Czoło miał przewiązane opaską w tureckie wzory. Nie wyglądał jak księgowy czy szef kadr lunaparku; wyglądał jak operator karuzeli.

Uśmiechnął się, widząc moje zdziwienie.

– Podoba ci się ten strój? Mnie tak, muszę przyznać. Tak się ubierałem, kiedy w latach pięćdziesiątych załapałem się do wędrownego show braci Blitz na Środkowym Zachodzie. Moja matka nie miała nic przeciwko Blitzom, ale tata był przerażony. A był kuglarzem.

– Wiem – powiedziałem.

Uniósł brwi.

– Serio? Wieści szybko się rozchodzą, co? W każdym razie dziś po południu jest dużo do zrobienia.

– Daj mi listę. Już prawie skończyłem malować dekoracje...

– Nie, Jonesy, nie trzeba. Dziś masz fajrant w południe i nie chcę cię widzieć do dziewiątej jutro rano, kiedy przyprowadzisz swoich gości. O pensję się nie bój. Dopilnuję, żeby nie potrącili ci za godziny, które opuścisz.

– O co chodzi, Fred?

Obdarzył mnie uśmiechem, z którego nie mogłem nic wyczytać.

– To niespodzianka.





## 78.♥

Ten poniedziałek był ciepły, słoneczny i kiedy wracałem do Heaven's Bay, Annie i Mike jedli lunch na końcu chodnika z desek. Milo wybiegł mi na spotkanie.

– Dev! – zawołał Mike. – Chodź, zjedz z nami kanapkę! Mamy aż za dużo!

– Nie, naprawdę nie powinienem...

– Nalegamy – powiedziała Annie, po czym zmarszczyła brwi. – Chyba że jesteś chory. Nie chcę, żeby Mike coś złapał.

– Nic mi nie jest, ale wypuścili mnie dziś wcześniej z pracy. Pan Dean, mój szef, nie wyjaśnił dlaczego. Powiedział tylko, że to niespodzianka. Pewnie ma to jakiś związek z jutrem. – I zapytałem z pewnym niepokojem: – Sprawa nadal jest aktualna, prawda?

– Tak – odparła. – Jak kapituluję, to kapituluję. Tylko... nie zameczymy go, prawda, Dev?

– Mamo! – jęknął Mike z wyrzutem.

Nie zważała na niego.

– Prawda?

– Tak, psze pani. – Choć widok Freda Deana w stroju weterana wesołych miasteczek, ze wszystkimi tymi niespodziewanymi muskułami na wierzchu, nieco mnie stropił. Czy dałem mu jasno do zrozumienia, jak wątłego zdrowia jest Mike? Tak sądziłem, ale...

– W takim razie chodź tu i zjedz kanapkę – powiedziała. – Mam nadzieję, że lubisz sałatkę jajeczną.

## 79.♥

W poniedziałkową noc źle spałem, przekonany, że tropikalny sztorm, o którym mówił Fred, nadciągnie wcześniej, niż przewidywano, i zwieje w niebyt wizytę Mike'a w lunaparku, ale wtorkowy świt był bezchmurny. Zszedłem na paluszkach do salonu i włączyłem telewizor, żeby obejrzeć prognozę pogody nadawaną za piętnaście siódma na WECT. Sztorm zbliżał się nieubłaganie, ale tego dnia odczuć go mieli tylko mieszkańcy wybrzeży Florydy i Georgii. Miałem nadzieję, że pan Easterbrook zabrał kalosze.

– Wczesnie wstałeś – stwierdziła pani Shoplaw, wystawiając głowę z kuchni. – Robię jajecznicę z bekonem. Chodź, zjedz trochę.

– Nie jestem zbyt głodny, pani S.

– Nonsens. Jeszcze rośniesz, Devin, i musisz jeść dużo. Erin powiedziała mi, co zaplanowałaś na dzisiaj, i uważam, że to wspaniale. Wszystko będzie dobrze.

– Oby miała pani rację – powiedziałem, ale nie mogłem przestać myśleć o Fredzie Deanie w jego stroju roboczym. Fredzie, który wypuścił mnie wcześniej z pracy. Fredzie, który przygotował niespodziankę.

## 80.♥

Wszystko uzgodniliśmy poprzedniego dnia na lunchu i kiedy o wpół do dziewiątej we wtorek rano zajechałem przed wielki zielony dom w stylu wiktoriańskim, Annie i Mike byli gotowi do wyjścia. Milo też.

– Jesteś pewien, że nas z nim wpuszczą? – spytał Mike w poniedziałek. – Nie chcę się nikomu narazić.

– Psy pomocnicy mogą wchodzić do Joylandu – odparłem – a Milo będzie ci pomagał. Prawda, Milo?

Milo w odpowiedzi przekrzywił głowę, najwyraźniej nieobeznany z pojęciem psa pomocnika.

Tego dnia Mike miał na nogach wielkie, pobrzękujące aparaty ortopedyczne. Chciałem pomóc mu wsiąść do vana, ale zbył mnie machnięciem ręki i poradził sobie sam. Wymagało to wiele wysiłku i spodziewałem się, że lada moment dostanie ataku kaszlu, ale tak się nie stało. Z emocji ledwo mógł wysiedzieć na miejscu. Annie, której nogi w spodniach Lee Riders wydawały się niesamowicie długie, oddała mi kluczyki.

– Ty prowadź. – Po czym, zniżając głos, żeby Mike nie usłyszał: – Ja za bardzo się denerwuję.

Też się denerwowałem. Bądź co bądź, wymusiłem to na niej. Jasne, Mike mi pomógł, lecz z nas dwóch to ja byłem dorosły. Gdyby coś poszło nie tak, wina spadłaby na mnie. Niezbyt wierzyłem w moc modlitwy, ale kiedy ładowałem kule i wózek Mike'a na tył vana, posłałem w niebiosa prośbę, żeby nie stało się nic złego. Potem wyjechałem tyłem z podjazdu, skręciłem na Beach Drive i ruszyłem naprzód, mijając billboard ZABIERZ DZIECI DO JOYLANDU. WYBAWIĄ SIĘ ZA WSZYSTKIE CZASY!

Annie siedziała w fotelu pasażera i miałem wrażenie, że nigdy nie wyglądała piękniej niż tego październikowego poranka, w swoich spranych dżinsach i lekkim swetrze, z włosami związanymi z tyłu niebieskim włóczkowym sznurem.

– Dziękuję ci za to, Dev – powiedziała. – Mam tylko nadzieję, że postępujemy właściwie.

– Na pewno – odparłem z przekonaniem, jakiego tak naprawdę nie miałem. Bo teraz, kiedy klamka zapadła, byłem pełen wątpliwości.

## 81.♥

Neon Joylandu był zapalony – to pierwsza rzecz, którą zauważyłem. Drugą było to, że z głośników leciała rados-na letnia muzyka: dźwiękowa parada hitów przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zamierzałem zostawić wóz na jednym z miejsc dla niepełnosprawnych na parkingu A – kilkanaście metrów dzieliło je od bramy lunaparku – ale zanim mogłem to zrobić, w otwartej bramie stanął Fred Dean i przywołał nas gestem. Tego dnia nie miał na sobie pierwszego lepszego garnituru, tylko elegancki, trzyczęściowy, który zachowywał na rzadkie okazje, gdy oprowadzał po lunaparku takiego czy innego VIP-a. Ten garnitur już widziałem, za to kapelusz, który miał na głowie, zobaczyłem po raz pierwszy: był to czarny jedwabny cylinder, podobny do tych, jakie noszą dyplomaci w starych kronikach filmowych.

– Tak jest zawsze? – spytała Annie.

– Jasne – powiedziałem, lekko oszołomiony. Tak nie było nigdy.

Wjechałem przez bramę na Joyland Avenue i zatrzymałem wóz przy ławce przed Tuptusiową Wioską, tej samej, na której siedziałem z panem Easterbrookiem po moim pierwszym występie w roli Howiego.

Mike chciał wsiąść z vana tak, jak do niego wsiadł: samodzielnie. Stałem obok, gotów złapać go, gdyby stracił równowagę, a Annie wyjęła wózek z bagażnika. Milo siedział u moich stóp i zamiatał ogonem ziemię. Uszy miał postawione, ślepka mu błyszcząły.

Kiedy Annie podeszła z wózkiem, nadciągnął Fred w oparach wody po goleniu. Wyglądał... olśniewająco. Nie da się tego inaczej określić. Zdjął cylinder, uklonił się Annie i podał jej rękę.

– Pani jest matką Mike’a, jak sędzę.

Mimo całej mojej nerwowości byłem pełen uznania dla jego galanterii.

– To prawda – powiedziała. Nie wiem, czy była speszona jego dworną ogładą, czy różnicą między ich strojami – ona ubrana swobodnie, w sam raz do lunaparku, on elegancki, jakby przyjmował wizytę państwową – ale speszona była, to na pewno. – A ten młodzieniec...

– ...to Michael. – Podał rękę rozglądającemu się wybałuszonymi oczami chłopcu w stalowych aparatach ortopedycznych. – Dziękuję, że przyszliście.

– Proszę bardzo... to znaczy, to my panu dziękujemy. Dziękujemy, że nas pan przyjął. – Mike uścisnął dłoń Freda. – Jaki ten Joyland jest wielki!

Przesadzał; wielki to jest Disney World. Ale dziesięciolatkowi, który nigdy nie był w parku rozrywki, musiał się taki wydawać. Przez chwilę widziałem Joyland jego oczami, widziałem go na nowo i wątpliwości, czy dobrze zrobiłem, przyprowadzając tu Mike'a, zaczęły się ulatniać.

Fred schylił się, by obejrzeć trzeciego członka rodziny Rossów, i położył ręce na kolanach.

– A ty to Milo!

Milo szczechnął.

– Tak – powiedział Fred – ja też się cieszę, że mogę cię poznać. – Wyciągnął rękę i zaczekał, aż Milo podniesie łapę, po czym ją uścisnął.

– Skąd pan wie, jak nasz pies się wabi? – spytała Annie. – Dev panu powiedział?

Wyprostował się z uśmiechem.

– Nie. Wiem to, bo jesteśmy w magicznym miejscu, moja droga. Na przykład. – Pokazał jej, że ma puste dłonie, po czym schował je za plecami. – Z której ręki?

– Z lewej – powiedziała Annie, dając się wciągnąć w zabawę.

Fred pokazał pustą lewą dłoń.

Przewróciła oczami z uśmiechem.

– No dobrze, z prawej.

Tym razem wyciągnął zza pleców bukiet róż. Prawdziwych. Annie i Mike aż krzyknęli ze zdziwienia. Ja też. Nawet dziś, po tylu latach, nie mam pojęcia, jak on to zrobił.

– Joyland jest dla dzieci, moja droga, a ponieważ Mike jest tu dziś jedynym dzieckiem, cały lunapark należy do niego. Róże jednak są dla ciebie.

Przyjęła oszołomiona i schowała twarz w kwiatach.

– Zaniosę je do samochodu – powiedziałem.

Jeszcze chwilę pottrzymała bukiet, po czym oddała mi go.

– Mike, wiesz, co tu sprzedajemy? – zapytał Fred.

Chłopak miał niepewną minę.

– Bilety na karuzele?

– Sprzedajemy zabawę. Co więc powiesz na to, żebyśmy jej skosztowali?



## 82.♥

Pamiętam dzień Mike'a w Joylandzie – dzień Annie też – jakby to było tydzień temu, ale trzeba by korespondenta dużo bardziej utalentowanego ode mnie, żeby opisać to, co wówczas czułem, i wyjaśnić, dlaczego właśnie wtedy ostatecznie wyrugowałem Wendy Keegan z mojego serca. Mogę wam tylko powiedzieć to, co sami wiecie: niektóre dni to skarb. Nie ma ich wiele, ale sądzę, że w życiu każdego jest takich kilka. Dla mnie to był jeden z tych dni i kiedy jest mi smutno – kiedy życie mi ciąży i wszystko wokół wydaje się liche i tandetne jak Joyland Avenue w deszczowy dzień – wracam do niego pamięcią, choćby po to, by przypomnieć sobie, że życie nie zawsze jest ustawioną grą. Czasem nagrody są prawdziwe. Czasem są cenne.

Oczywiście, nie wszystkie atrakcje zostały otwarte, i dobrze, bo wiele z nich byłoby ponad siły Mike'a. Jednak więcej niż pół lunaparku było tego ranka na chodzie – światła, muzyka, nawet niektóre budki, w nich kilku wycirusów sprzedawało popcorn, frytki, napoje, watę cukrową i Hau-Dogi. Nie mam pojęcia, jak Fredowi i Lane'owi udało się to zorganizować w jedno popołudnie, ale tego dokonali.

Zaczęliśmy od Wioski, gdzie przy Ciuchci Tupci czekał Lane. Na głowie zamiast melonika miał czapkę maszynisty, jednak przekrzywioną pod zwykłym zawadiackim kątem. Pewnie, że tak.

– Wszyscy na pokład! Wesoły pociąg czeka, wsiadaj, nie zwlekaj! Wstęp wolny dla pieska i mamy, dziecko do lokomotywy zapraszamy!

Wskazał Mike'a, a potem miejsce dla pasażera w lokomotywie. Mike wstał z wózka, postawił kule i zachwiał się na nich. Annie ruszyła ku niemu.

– Nie, mam, nie trzeba. Poradzę sobie.

Złapał równowagę, podszedł do Lane'a z brzękiem aparatów ortopedycznych – prawdziwy chłopiec z nogami robota – i pozwolił, by Lane posadził go do lokomotywy.

– Tym sznurkiem włącza się gwizdek? Mogę go pociągnąć?

– Po to jest – powiedział Lane – ale uważaj na świnki na torach. W okolicy grasuje wilk i śmiertelnie się go boją.

Annie i ja usiedliśmy w jednym z wagoników. Oczy jej błyszczały, na policzkach płonęły rumieńce jak dwie róże. Jej wargi, choć mocno zaciśnięte, drżały.

– W porządku? – spytałem ją.

– Tak. – Wzięła mnie za rękę, splotła palce z moimi i ścisnęła tak mocno, że prawie zabolęło. – Tak. Tak. Tak.

– Wszystkie kontrolki palą się na zielono! – krzyknął Lane. – Czekam na potwierdzenie, Michael!

– Potwierdzam!

– Na co masz uważać?

– Na świnki!

– Mały, masz styl, który wielce cieszy moje serce. Teraz sygnał wyjciem daj i jedziemy w kraj!

Mike pociągnął za sznurek. Gwizdek zawył. Milo szczeknął. Hamulce pneumatyczne sapnęły i pociąg ruszył.

Ciuchcia Tupcia to był zamp, jasne? W Wiosce były same zampy, czyli karuzele i kolejki przeznaczone dla dzieci w wieku od trzech do siedmiu lat. Musicie jednak pamiętać, jak rzadko Mike Ross miał okazję gdzieś wyjść, zwłaszcza odkąd przed rokiem zachorował na zapalenie płuc, i jak wiele dni spędzał z matką na końcu chodnika z desek, słuchając łoskotu karuzeli i kolejek i odległych radosnych okrzyków – ze świadomością, że nic z tego nie będzie mu dane. Że dane mu będą tylko coraz większe trudności z nabieraniem powietrza do słabnących płuc, coraz gorszy kaszel, niezdolność do chodzenia o własnych siłach nawet z kulami i aparatami ortopedycznymi, i wreszcie łóżko, w którym umrze, w zapiętej pod piżamą pielusze i masce tlenowej na twarzy.

Tuptusiowa Wioska bez żółtodziobów przebranych za postacie z bajek wydawała się wyludniona, ale Fred i Lane uruchomili całą mechanikę: magiczną fasolę, która wyrastała z ziemi w kłębach pary; czarownicę rechoczącą przed Chatką z Piernika; herbatkę u Zwariowanego Kapelusznika; wilka w czepku babci, który czyhał pod jednym z wiaduktów i rzucał się na przejeżdżający pociąg. Kiedy weszliśmy w ostatni zakręt, minęliśmy trzy domki znane wszystkim dzieciom – pierwszy ze słomy, drugi z patyków, trzeci z cegieł.

– Uważaj na świnki! – krzyknął Lane i w tej właśnie chwili wyszły na tory, wydając nagłońnione kwiki. Mike pisnął radość-nie i pociągnął za sznurek od gwizdka. Jak zwykle, świnki uszły z życiem... ledwo, ledwo.

Kiedy wjechaliśmy z powrotem na stację, Annie puściła moją dłoń i pospieszyła do lokomotywy.

– Dobrze się czujesz, skarbie? Chcesz inhalator?

– Nie, nie trzeba. – Mike odwrócił się do Lane'a. – Dziękuję, panie maszynisto!

– Cała przyjemność po mojej stronie, Mike. – Lane Hardy wyciągnął do niego odwróconą spodem dłoń. – Przybij piątkę, mały, jeśliś cały.

Mike zrobił to z entuzjazmem. Chyba nigdy dotąd nie czuł się tak pełen życia.

– A teraz na mnie czas – powiedział Lane. – Dziś jestem człowiekiem o wielu kapeluszach. – Puścił do mnie oko.

## 83.♥

Annie zawetowała Wirujące Filizanki, ale pozwoliła Mi-ke'owi – nie bez obaw – przejechać się na karuzeli łańcuchowej Chair-O-Planes. Kiedy jego krzeselko wzniosło się dziesięć metrów nad ziemię i zaczęło się odchylać od pionu, ścisnęła moje ramię jeszcze mocniej niż wcześniej moją dłoń, zaraz jednak odprężyła się na dźwięk śmiechu syna.

– Spójrz na jego włosy! Jakie są rozwiane! – Uśmiechała się. Jednocześnie płakała, ale zdaje się, że nie czuła ani swoich łez, ani dotyku mojej ręki, którą obejmowałem ją w talii.

Fred siedział za sterami i dobrze wiedział, że nie może rozpędzić karuzeli do maksymalnej prędkości, przy której Mike śmigałby równolegle do ziemi, utrzymywany tylko siłą odśrodkową. Kiedy chłopak w końcu wrócił na twardy grunt, tak mu się kręciło w głowie, że nie mógł ustać na nogach. Annie i ja wzięliśmy go ona pod jedno, ja pod drugie ramię i zaprowadziliśmy do wózka. Fred przyniósł kule.

– O rany. – Tylko tyle Mike mógł z siebie wydobyć. – O rany, o rany.

Następne w kolejności były Oblędne Motorówki; mimo nazwy – karuzela naziemna. Mike wziął Milo do jednej łódki i razem sunęli nad namalowaną wodą, wyraźnie zachwyceni. Annie i ja wsiedliśmy do drugiej. Choć pracowałem w Joylandzie już ponad cztery miesiące, tej atrakcji jeszcze nie zaliczyłem i kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, że pędzimy prosto na łódkę Mike'a i Milo, by w ostatniej chwili odbić w bok, okrzyk przerażenia wyrwał mi się z ust.

– Mięczak! – krzyknęła Annie nad moim uchem.

Kiedy wysiedliśmy, Mike ciężko oddychał, ale wciąż jeszcze nie kaszłał. Zabraliśmy go na Hound Dog Way i zamówiliśmy coś do picia. Dyżurujący tam wycirus nie chciał przyjąć piątaka od Annie.

– Dzisiaj wszystko na koszt firmy, psze pani.

– Mogę prosić Hau-Doga, mamó? I watę cukrową?

Zmarszczyła brwi. Po chwili westchnęła i wzruszyła ramionami.

– No dobrze. Bylebyś pamiętał, że nadal są zakazane, kolego. Dzisiaj to wyjątek. I koniec z szybkimi karuzelami.

Podjechał na wózku do baru Łapy Lizać, Milo truchtał u jego boku. Annie odwróciła się do mnie.

– Nie chodzi o wartości odżywcze, jeśli tak sobie pomyślałeś. Gdyby coś mu zaszkodziło, mógłby wymiotować. A wymiotowanie jest niebezpieczne dla dzieci w stanie Mike’a. Mógłby...

Pocałowałem ją. To było tylko lekkie muśnięcie ustami jej ust. Poczułem się, jakbym połknął kropelkę czegoś niewiarygodnie słodkiego.

– Ciii... – powiedziałem. – Wygląda, jakby miało mu zaszkodzić?

Zrobiła wielkie oczy. Przez chwilę byłem pewien, że da mi w twarz i odejdzie. Że swoją głupotą zepsułem ten dzień. Ona jednak uśmiechnęła się i spojrzała na mnie z zaciekawieniem, od którego zrobiło mi się lekko na żołądku.

– Założę się, że spisałyś się lepiej, gdyby dać ci szansę.

Zanim znalazłem odpowiedź, pospieszyła za swoim synem. Gdyby została, tak naprawdę nic by to nie zmieniło, bo kompletnie zbaraniałem.

## 84.♥

Annie, Mike i Milo wcisnęli się do jednego wagonika kolejki gondolowej, która przecinała cały lunapark po skosie. Fred Dean i ja jechaliśmy pod nimi elektrycznym wózkiem z załadowanym na tył wózkiem inwalidzkim Mike'a.

– Na moje oko to wspaniały dzieciak – skwitował Fred.

– Jest wspaniały, ale nie przypuszczałem, że aż tak się postarasz.

– To nie tylko dla niego, ale i dla ciebie. Nie zdajesz sobie sprawy, ile dobrego zrobiłeś dla tego lunaparku, Dev. Kiedy powiedziałem panu Easterbrookowi, że chcę pójść na całość, dał mi zielone światło.

– Dzwoniłeś do niego?

– Oczywiście.

– Ten numer z różami... jak to zrobiłeś?

Fred poprawił mankiety i zrobił skromną minę.

– Magik nigdy nie zdradza swoich tajemnic.

– Robiłeś sztuczki z kartami i królikami u braci Blitz?

– Nie, szanowny panie, bynajmniej. U Blitzów tylko kręciłem karuzelami i cesałem teren. Choć nie miałem ważnego prawa jazdy, prowadziłem też furę przy tych nielicznych okazjach, kiedy musieliśmy zwijać się z jakiegoś zadupia w środku nocy.

– To gdzie się nauczyłeś swojej magii?

Fred sięgnął ręką za moje ucho, wyjął srebrną dolarówkę i rzucił mi na kolana.

– Tu i tam, wszędzie i nigdzie. Lepiej dodaj gazu, Jonesy. Zostajemy za daleko w tyle.

## 85.♥

Ze Skytop, końcowego przystanku kolejki gondolowej, poszliśmy na karuzelę dla dzieci. Czekał tam Lane Hardy. Miejsce czapki maszynisty na jego głowie zajął tradycyjny melonik. Z głośników lunaparku wciąż płynął rock and roll, ale tu, pod szerokim baldachimem tego, jak się mówiło w gadce, kołowrotu, dźwięki rocka głużyły organy parowe grające *A Bicycle Built For Two*. Muzyka leciała z taśmy, mimo to była urocza i staroświecka.

Zanim Mike mógł wejść na karuzelę, Fred przykląkł i przyjrzał mu się ze śmiertelną powagą.

– Bez czapki z Joylandu nie ma wstępu na kołowrót. Nazywamy je dogmycami. Masz taką?

– Nie. – Mike jeszcze nie kaszłał, ale ciemne plamy zaczynały mu się rozlewać pod oczami. W miejscach, gdzie jego policzki nie były czerwone z emocji, pojawiła się bladość. – Nie wiedziałem, że trzeba...

Fred zdjął melonik, zajrzał do środka, pokazał go nam. Był pusty, jak każdy kapelusz pokazywany publiczności przez magika. Zajrzał do niego raz jeszcze i rozpromienił się.

– Aha! – Wyjął z melonika nowiusieńką dogmycę i nasadził Mike'owi na głowę. – Doskonale! A teraz powiedz, na którym zwierzu chcesz się przejechać? Na koniu? Jednoróżcu? Syrence Marvie? Lwie Leo?

– Tak, na lwie! – krzyknął Mike. – A ty, mamó, obok mnie na tygrysie!

– O tak – powiedziała Annie. – Zawsze chciałam dosiąść tygrysa.

– Hej, szefuniu, pomogę ci wejść na górę – rzekł Lane Hardy.

Kiedy się tym zajął, Annie zniżyła głos i zwróciła się do Freda.

– Będziemy pomału kończyć, dobrze? To wszystko jest wspaniałe, nigdy tego dnia nie zapomni, ale...

– Słabnie – mruknął Fred. – Rozumiem.

Annie dosiadła szczerzącego kły zielonookiego tygrysa, który stał obok lwa Mike'a. Milo przycupnął między nimi z szerokim psim uśmiechem na pysku. Kiedy karuzela ruszyła, *A Bicycle Built For Two* przeszedł w *Twelfth Street Rag*. Fred położył dłoń na moim ramieniu.

– Spotkamy się przy Spinie... to będzie ostatnia przejażdżka... ale najpierw idź do składu kostiumów. I pospiesz się.

Już miałem zapytać dlaczego, po czym uświadomiłem sobie, że wiem, nie muszę pytać. Ruszyłem na tyły. I tak, pospieszyłem się.



## 86.♥

Tego wtorkowego poranka w październiku 1973 roku nosiłem futro po raz ostatni. Włożyłem je w składzie kostiumów i wróciłem Joylandem Dolnym na środek lunaparku, wyciskając z elektrycznego wózka ile Bozia dała, z głową Howiego podskakującą na ramieniu. Wyłoniłem się za budą madame Fortuny w samą porę. Lane, Annie i Mike nadchodzili główną promenadą Joylandu. Lane pchał wózek Mike'a. Żadne z nich nie zauważyło mnie, kiedy wyjrzałem zza węgła; z wyciągniętymi szyjami patrzyli na Carolina Spin. Za to zobaczył mnie Fred. Podniosłem łapę. On skinął głową, po czym odwrócił się i dał znak komuś, kto obserwował go z małej kabiny dźwiękowej nad Biurem Obsługi Klienta. Po kilku sekundach z głośników popłynęła muzyka Howiego. Zaczęło się od *Hound Dog* Elvisa.

Wyskoczyłem z kryjówki i odstawiłem mój taniec Howiego, przypominający nieudolne stepowanie. Mike wybałuszył oczy. Annie przycisnęła dłonie do skroni, jakby nagle dostała potwornej migreny, i wybuchnęła śmiechem. Zdaje się, że był to jeden z moich lepszych występów. Płasałem i skakałem wokół wózka Mike'a, ledwo zauważając, że to samo robił Milo, tylko w przeciwnym kierunku. *Hound Dog* przeszedł w *Walking the Dog* w wykonaniu The Rolling Stones. To dość krótka piosenka i całe szczęście – nie zdawałem sobie sprawy, w jak kiepskiej byłem formie.

Na koniec szeroko rozrzuciłem ramiona i krzyknąłem: „Mike! Mike! Mike!”. To była jedyna okazja, kiedy Howie przemówił ludzkim głosem, i na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że w zasadzie zabrzmiało to bardziej jak szczekanie.

Mike wstał z wózka, rozłożył ręce i poleciał do przodu. Wiedział, że go złapię, i się nie zawiódł. Dzieci o połowę młodsze od niego padały mi w ramiona przez całe lato, ale żaden uścisk nie był tak przyjemny jak ten. Żałowałem tylko, że nie mogę Mike'a ścisnąć tak, jak ścisnąłem Hallie Stansfield, by wyrzucić z niego chorobę jak tkwiący w gardle kawałek hot doga.

Z twarzą zagrzebaną w futrze powiedział:

– Dobry z ciebie Howie, Dev.

Pogłaskałem go łapą po głowie, strącając dogmycę. Jako Howie nie mogłem odpowiedzieć – wyszczekanie jego imienia to wszystko, na co mogłem sobie pozwolić – ale pomyślałem: Dobre dziecko zasługuje na dobrego psa. Spytaj Milo.

Mike spojrział w niebieskie, osłonięte siateczką oczy Howiego.

– Przejedziesz się z nami wciągarką?

Przytaknąłem przerysowanym skinieniem głowy i znów pogłaskałem go po czuprynie. Lane podniósł nową dogmycę Mike'a z ziemi i włożył mu z powrotem na głowę.

Annie podeszła do nas. Dłonie miała skromnie splecione na podołku, a w oczach wiele uciechy.

– Mogę pana rozpiąć, panie Howie?

Nie miałbym nic przeciwko, ale rzecz jasna nie mogłem na to pozwolić. Każdy show ma swoje zasady, a jedna z tych, które obowiązywały w Joylandzie – i których się nie łamało pod żadnym pozorem – głosiła, że Wesoły Pies Howie zawsze jest Wesołym Psem Howiem. Nie zdejmowałeś futra tam, gdzie mogły cię zobaczyć szaraczki.

## 87.♥

Dałem nura z powrotem do Joylandu Dolnego, zostawiłem futro w wózku i dołączyłem do Annie i Mike'a na pochylni prowadzącej na Carolina Spin. Annie podniosła wzrok z niepokojem i spytała:

– Jesteś pewien, że tego chcesz, Mike?

– Tak! Na tej najbardziej chciałem się przejechać!

– Wobec tego w porządku. Chyba. – Do mnie dodała: – Nie mam lęku wysokości, ale i nie jestem jej miłośniczką.

Lane trzymał otwarte drzwi wagonika.

– Wsiadajcie, drodzy państwo. Poślę was w przestworza, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują. – Schylił się i poskrobał Milo za uszami. – Tym razem się nie załapiesz, kolego.

Usiadłem po wewnętrznej stronie wagonika, najbliżej osi karuzeli. Annie zajęła miejsce w środku, a Mike od zewnątrz, skąd był najlepszy widok. Lane opuścił poprzeczkę zabezpieczającą, podszedł do sterów i przekrzywił melonik na drugi bok.

– Siódme niebo czeka! – zawołał i wzniesiliśmy się z majestatycznym spokojem procesji koronacyjnej.

Świat powoli rozpostarł się pod nami: najpierw lunapark, potem jasny kobalt oceanu po naszej prawej stronie i niziny Karoliny Północnej po lewej. Kiedy wagonik znalazł się w najwyższym punkcie wielkiego koła Spinu, Mike puścił poprzeczkę zabezpieczającą, podniósł ręce nad głowę i krzyknął:

– Lecimy!

Dłoń na mojej nodze. Annie. Spojrzałem na nią i bezgłośnie powiedziała jedno słowo: „Dziękuję”. Nie wiem, jak długo Lane pozwolił nam się kręcić – dłużej niż zwykłym klientom, jak sądzę, ale nie jestem pewien. Najlepiej pamiętam twarz Mike'a, bladą i pełną zachwytu, i dłoń Annie na moim udzie, jej palący dotyk. Nie cofnęła ręki, dopóki się nie zatrzymaliśmy.

Mike odwrócił się do mnie.

– Teraz wiem, jak czuje się mój latawiec – powiedział.

Wyjął mi to z ust.



## 88. ♥

Annie zdecydowała, że już mu wystarczy, a Mike nie zaprotestował. Był wyczerpany. Gdy Lane pomógł mu wsiąść na wózek, chłopak wyciągnął do niego odwróconą spodem dłoń.

– Przybij piątkę, mały, jeśliś cały.

Z szerokim uśmiechem Lane przybił mu piątkę.

– Przychodź, kiedy chcesz, Mike.

– Dzięki. Było wspaniale.

Lane i ja powieźliśmy go w głąb lunaparku. Budki po obu stronach już zostały pozamykane, tylko jedna wciąż była otwarta: Strzelnica Annie Oakley. Za ladą, za którą przez całe lato urzędował Papcio Allen, stał Fred Dean w swoim trzyczęściowym garniturze. Za jego plecami napędzane łańcuchem króliki i kaczki przesuwwały się w przeciwnych kierunkach. Nad nimi znajdowały się jasnożółte ceramiczne kurczaki. Były nieruchome, ale bardzo małe.

– Może chcesz się sprawdzić jako strzelec, zanim pójdziesz? – spytał Fred. – Dziś nikt nie przegrywa. Dziś każdy dostaje nagrodę.

Mike obejrzał się na Annie.

– Mogę, mamó?

– Oczywiście, kochanie. Tylko nie za długo, dobrze?

Próbował wstać z wózka, lecz nie dał rady. Był zbyt zmęczony. Podtrzymaliśmy go z Lane'em, on z jednej, ja z drugiej strony. Mike wziął karabinek i strzelił dwa razy. Choć broń była lekka, nie mógł już opanować drżenia rąk. Stalowe kulki uderzyły w płócienną płachtę w głębi strzelnicy i wpadły z brzękiem do rynienki u dołu.

– Jak widać, jestem do niczego – powiedział, odkładając karabinek.

– Cóż, do snajpera ci trochę brakuje – przyznał Fred – ale jak powiedziałem, dziś każdy dostaje nagrodę. – Z tymi słowy wręczył mu największego Howiego na półce, pluszaka, którego nawet najlepsi strzelcy nie mogli wygrać bez wydania ośmiu–dziewięciu dolców na kolejne ładowania.

Mike podziękował mu i usiadł z powrotem na wózku, ledwo widoczny pod swoją zdobyczą. Ten cholerny pluszowy pies był prawie tak duży jak on.

– Teraz ty, mamo.

– Nie, dzięki – powiedziała, ale miałem wrażenie, że chciała spróbować. Poznałem po tym, jak jej oczy mierzyły dystans między ladą a celami.

Spojrzał najpierw na mnie, potem na Lane’a.

– Jest naprawdę dobra. Wygrała zawody w strzelaniu z pozycji leżącej w Camp Perry, jak mnie jeszcze na świecie nie było, i dwa razy była druga. Camp Perry jest w Ohio.

– Ja nie...

Lane już podawał jej jedną z przerobionych dwudziestekdwójek.

– Proszę bardzo. Pokaż, jaka z ciebie Annie Oakley, Annie.

Wzięła karabinek i obejrzała go tak, jak robiło to niewielu szaraczków.

– Ile strzałów?

– Dziesięć za jednym podejściem – odparł Fred.

– Jeśli mam to zrobić, mogę mieć dwa podejścia?

– Ile tylko szanowna pani chce. Dziś jest wasz dzień.

– Mama strzelała też z dziadkiem do rzutków – powiedział im Mike.

Annie uniosła dwudziestkędwójkę i oddała dziesięć strzałów, robiąc co najwyżej dwusekundowe przerwy. Strąciła dwie ruchome kaczki i trzy ruchome króliki. Małutkie ceramiczne kurczaki zignorowała.

– Strzelec wyborowy! – zapiał Fred. – Cokolwiek chcesz ze środkowej półki, jest twoje!

Uśmiechnęła się.

– Pięćdziesiąt procent to nie powód do chwały. Tata spaliłby się ze wstydu. Spróbuję jeszcze raz, jeśli panowie pozwolą.

Fred wyjął spod lady papierowy stożek – w gadce zwany „kulkownicą” – i wsunął jego węższy koniec do otworu na górze karabinka. Dziesięć kulek wturlało się z brzękiem do środka.

– Celowniki są jakoś przerobione? – spytała Annie, zwracając się do Freda.

– Nie, droga pani. Wszystkie gry w Joylandzie są uczciwe. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że Papcio Allen spędza długie godziny na ich regulowaniu.

Jako że pracowałem w zespole Papcia, wiedziałem, że Fred, delikatnie mówiąc, mijał się z prawdą. Papcio nigdy w życiu nie wyregulowałby celownika. Im lepiej ćwoki strzelały, tym więcej nagród musiał rozdać... a przecież płacił za nie z własnej kieszeni. Jak wszyscy prowadzący tego rodzaju gry. To były tanie rzeczy, ale nie darmowe.

– Znosi w lewo i w górę – powiedziała, bardziej do siebie niż do nas. Potem uniosła karabinek, wcisnęła kolbę w prawe ramię i wypaliła dziesięć razy. Tym razem nie było dostrzegalnych przerw między strzałami, a Annie nie zawracała sobie głowy kaczkami i królikami. Celowała w ceramiczne kurczaki i rozwalila ich osiem.

Kiedy odłożyła broń na ladę, Lane otarł chustą plamę potu i brudu na karku.

– Jezu Chryste święty – rzekł bardzo cicho. – Jeszcze nikt nie ustrzelił ośmiu pisklaków.

– Ostatniego tylko drasnęłam, a z tej odległości powinnam trafić wszystkie. – Nie chępiła się, tylko stwierdzała fakt.

– Mówiłem, że jest dobra – powiedział Mike niemal przepraszająco. Zasłonił usta pięścią i zakaształ. – Myślała o olimpiadzie, tylko że potem wyleciała ze studiów.

– Prawdziwa z ciebie Annie Oakley. – Lane wcisnął chustę do tylnej kieszeni. – Którą nagrodę chcesz, jest twoja, piękna pani.

– Nagrodę już dostałam. To był cudowny, naprawdę cudowny dzień. Nigdy nie zdołam wam się za to odwdziaczyć. – Odwróciła się do mnie. – Ani temu panu. Musiał mnie do tego namówić, bo jestem głupia. – Pocałowała Mike'a w ciemię. – Ale teraz już zabiorę synka do domu. Gdzie Milo?

Rozejrzeliśmy się i zobaczyliśmy go w połowie długości Joyland Avenue. Siedział przed Straszonym Dworem.

– Milo, do nogi! – zawołała Annie.

Nadstawił uszy, ale nie przyszedł. Nawet nie odwrócił się do niej, tylko wpatrywał się w fasadę jedyne go w Joylandzie domu strachów. Prawie mogłem uwierzyć, że czytał osnute pajęczynami, wymalowane ociekającą farbą zaproszenie: WEJDŹ, JEŚLI SIĘ ODWAŻYSZ.

W czasie gdy Annie wołała Milo, zerknąłem ukradkiem na Mike'a. Choć był wyczerpany emocjami tego dnia, jego twarz wyrażała tylko jedno uczucie, takie, którego nie dało się pomylić z żadnym innym. Satysfakcję. Wiem, niedorzecznie jest podejrzewać, że on i jego terier wszystko od początku ukartowali, ale tak wtedy pomyślałem.

I myślę nadal.

– Zawieź mnie tam, mamó – poprosił Mike. – Ze mną pójdzie.

– Nie ma takiej potrzeby – włączył się Lane. – Jeśli macie smycz, chętnie go przyprowadzę.

– Jest w kieszeni z tyłu wózka Mike'a – powiedziała Annie.

– Hm, chyba nie – stwierdził Mike. – Możesz sprawdzić, ale jestem prawie pewien, że jej zapomniałem.

E tam, zapomniałeś! – pomyślałem, lecz Annie sprawdziła w kieszeni wózka.

– Och, Mike, twój pies, twoja odpowiedzialność. Ile razy ci to powtarzam?

– Przepraszam, mamó. – Zwrócił się do Freda i Lane'a. – Rzadko jej używamy, bo Milo zawsze przychodzi sam.

– Tylko nie wtedy, kiedy trzeba. – Annie otoczyła usta dłońmi. – Milo, do nogi! Pora wracać do domu! – Potem dużo słodszy głosem: – Ciasteczko, Milo! Chodź, dostaniesz ciasteczko!

Gdyby mnie wołała tak kuszącym tonem, przyleciałbym w te pędy – pewnie z wywieszonym językiem – ale Milo ani drgnął.

– No chodźże już, Dev – powiedział Mike, jakbym był współpiskowcem, który zapomniał, co ma robić.

Pchnąłem wózek w stronę Straszego Dworu. Annie ruszyła za nami. Fred i Lane zostali; Lane, oparty o ladę między karabinkami na łańcuchach, zdjął melonik i kręcił nim na palcu.

Kiedy podeszliśmy do psa, Annie zaczęła go karcić:

– Co cię ugryzło?!

Milo zamerdzał ogonem, ale nie spojrzał na nią. Ani się nie ruszył. Pełnił straż i nie zamierzał przestać, dopóki ktoś go nie odciągnie.

– Michael, proszę, zawołaj swojego psa, żebyśmy mogli wrócić do domu. Musisz trochę od...

Zanim mogła dokończyć, stało się to. Nie pamiętam dokładnie, w jakiej kolejności. Wiele razy o tym myślałem w następnych latach – głównie w te noce, kiedy nie mogę zasnąć – i nadal tego nie wiem. Myślę, że pierwszy był rumor: dźwięk wydawany przez wagonik ruszający po torze. A może najpierw spadła kłódka. Może nawet wydarzyło się to jednocześnie.

Wielka kłódka American Master spadła z podwójnych drzwi pod szyldem Straszego Dworu i leżała na deskach, połyskując w słońcu. Fred Dean stwierdził później, że pałąk musiał być niedociśnięty i drgania wywołane przez jadący wagonik spowodowały, że wysunął się ze skobla. To wydawało się doskonale logiczne, bo kłódka rzeczywiście była otwarta, kiedy ją obejrzałem.

A jednak to gównó prawda.



Sam zamykałem tę kłódkę i pamiętam szczęk zaskakującego pałaka. Pamiętam nawet, że pociągnąłem za nią, żeby sprawdzić, czy się zatrzasnęła, tak jak to się zwykle robi. No i pozostaje pytanie, na które Fred nawet nie próbował odpowiedzieć: skoro prąd w Straszonym Dworze był wyłączony, jak wagonik w ogóle mógł ruszyć? A co do tego, co stało się potem...

Oto jak kończyła się przejażdżka przez Straszny Dwór: Przy wyjeździe z Izby Tortur, kiedy myślałeś, że na tym koniec, i przez to traciłeś czujność, z naprzeciwka nadlatywał krzyczący szkielet (przez żółtodziobów zwany Hagarem Okrutnym). Gdy już się wydawało, że wpadnie prosto na ciebie, uskakiwał na bok i z przodu ukazywała się kamienna ściana. Widniał na niej namalowany fluorescencyjną zielenią gnijący zombi i nagrobek z inskrypcją KONIEC TRASY. Rzecz jasna, ściana w porę się rozstępowała, ale ten końcowy podwójny cios był nadzwyczaj skuteczny. Kiedy wagonik wynurzał się na światło dzienne, gdzie zawracał po łuku, by następnie wjechać z powrotem do środka innymi podwójnymi drzwiami i się zatrzymać, nawet dorośli mężczyźni często wrzeszczeli wniebogłosy. Te końcowe wrzaski (zawsze z towarzyszeniem salw śmiechu z gatunku „o kurde, aleście mnie nastraszyli”) były najlepszą reklamą Straszego Dworu.

Tego dnia nie było żadnych krzyków. Oczywiście, że nie, bo kiedy podwójne drzwi stanęły otworem, wagonik, który z nich wyjechał, był pusty. Zawrócił po łuku, uderzył lekko w drugie podwójne drzwi i stanął.

– No do-obra – szepnął Mike tak cicho, że ledwo go usłyszałem, a Annie nie usłyszała na pewno; całą uwagę skupiła na wagoniku. Na twarzy jej syna malował się uśmiech.

– Jak to się stało? – spytała Annie.

– Nie wiem – powiedziałem. – Może zwarcie. Albo jakiś skok napięcia. – Oba te wyjaśnienia brzmiały wiarygodnie, jeśli ktoś nie wiedział, że prąd był wyłączony.

Stałem na palcach i zajrzałem do znieruchomiałego wagonika. Poprzeczka zabezpieczająca była podniesiona. Gdyby Eddie Parks albo któryś z jego przybocznych zapomnieli ją opuścić, poprzeczka powinna opaść automatycznie w momencie uruchomienia kolejki. Takiego zabezpieczenia wymagały przepisy stanowe. Jednak to, że poprzeczka w tym wagoniku była podniesiona, miało pewien przewrotny sens, bo tego ranka jedynymi zasilanymi prądem urządzeniami w Joylandzie były te, które Lane i Fred uruchomili dla Mike’a.

Zobaczyłem coś pod półkolistym siedzeniem, coś tak rzeczywistego jak róże, które Fred wręczył Annie.

Była to niebieska opaska Alicji.

## 89.♥

Wróciliśmy do vana. Milo, znów nienagannie grzeczny, dreptał obok wózka Mike'a.

– Przyjadę, jak tylko ich odwiozę – powiedziałem do Freda. – Popracuję dziś dłużej.

Potrząsnął głową.

– Na dziś masz fajrant. Połóż się wcześniej spać i bądź tu jutro o szóstej. Weź parę kanapek więcej niż zwykle, bo wszyscy będziemy pracować do późna. Okazuje się, że sztorm zbliża się trochę szybciej, niż przewidywały prognozy.

Annie wyraźnie się zaniepokoiła.

– Myślicie, że powinnam spakować trochę rzeczy i zabrać Mike'a do miasta? Jest taki zmęczony, że wołałabym tego nie robić, ale...

– Proszę wieczorem słuchać radia – poradził Fred. – Jeśli służby meteorologiczne zarządzą ewakuację wybrzeża, uprzedzą o tym odpowiednio wcześniej, ale nie sądzę, żeby do tego doszło. Trochę podmucha i tyle. Nieco się obawiam o wysokie karuzele i kolejki.

– Nic im nie będzie – uspokajał go Lane. – Przetrzywały Agnes, a to był prawdziwy huragan.

– Ten sztorm ma jakieś imię? – spytał Mike.

– Nazwali go Gilda – powiedział Lane. – Ale to nie huragan, tylko mała depresja subtropikalna.

– Wiatr ma przybrać na sile koło północy – dodał Fred – a godzinę–dwie później lunie deszcz. Lane pewnie ma rację, że nic się nie stanie, ale tak czy tak czeka nas pracowity dzień. Masz sztormiak, Dev?

– Jasne.

– To lepiej go włóż.

## 90.♥

Prognoza pogody, którą usłyszeliśmy na stacji WKLM, wyjeżdżając z lunaparku, uspokoiła Annie. Wiatry wywołane przez Gildę miały nie przekraczać trzynastu metrów na sekundę, z wyjątkiem sporadycznych porywów. Mogło dojść do lekkiej erozji plaży i drobnych podtopień, ale to w zasadzie wszystko. Spiker skwitował, że to „idealna pogoda na puszczenie latawców”, i wszyscy się z tego zaśmialiśmy. Mieliśmy coś, co nas łączyło, i to było miłe.

Gdy wróciliśmy do wielkiego wiktoriańskiego domu na Beach Row, Mike już zasypiał. Przeniosłem go na wózek. Nie wymagało to wielkiego wysiłku; przez poprzednie cztery miesiące nabrałem mięśni, a on bez tych okropnych aparatów ortopedycznych ważył góra czterdzieści kilo. Milo znów biegał dookoła wózka, kiedy wtaczałem go po pochylni do domu.

Mike musiał skorzystać z ubikacji, ale kiedy jego matka chciała przejąć ode mnie rączki wózka, spytał, czy nie mógłbym z nim pójść zamiast niej. Zawiozłem go do łazienki, pomogłem mu wstać i zsunąłem z niego spodnie z elastycznym pasem, podczas gdy on trzymał się poręczy.

– Nie znoszę, kiedy ona musi mi pomagać. Czuję się jak małe dziecko.

Sikał z wigorem zdrowego dzieciaka. Potem wychylił się do przodu, żeby spuścić wodę, i zachwiał się, omal nie skoczył na główkę do sedesu. Musiałem go złapać.

– Dzięki, Dev. Już raz dziś myłem włosy. – To mnie rozśmieszyło i Mike wyszczerzył się radośnie. – Trochę szkoda, że nie będzie huraganu. Byłoby super.

– Zmieniłbyś zdanie, gdyby się pojawił. – Pomiąłem huragan Doria sprzed dwóch lat. Runął na New Hampshire i Maine, niosąc ze sobą wiatry o sile czterdziestu metrów na sekundę, które obaliły drzewa w całym Portsmouth, Kittery, Sanford, Berwick i South Berwick. Jedna wielka sosna przewróciła się tuż obok naszego domu, zalało nam piwnicę i przez cztery dni nie mieliśmy prądu.

– Nie chciałbym, żeby coś się wywalilo w lunaparku. To najlepsze miejsce na świecie. A przynajmniej najlepsze, w jakim byłem.

– Cieszę się. No, trzymaj się, mały, muszę ci podciągnąć spodnie. Nie możesz wypinać na mamę gołego tyłka.

Znów się zaśmiał, tyle że tym razem śmiech przeszedł w kaszel. Kiedy wyszliśmy, Annie przejęła wózek i zawiozła Mike'a do sypialni w głębi korytarza.

– Tylko mi się nie wymknij cichaczem, Devin! – zawołała przez ramię.

Ponieważ miałem wolne popołudnie, nie zamierzałem wymknąć się cichaczem, jeśli chciała, żebym na trochę został. Przechadzałem się po salonie, urządzonej zapewne drogo, ale niezbyt ciekawie – przynajmniej dla dwudziestojednoletniego młodzieńca. Gdyby nie zajmujące prawie całą ścianę wielkie okno panoramiczne, które zalewało pokój światłem, byłoby tu dość ponuro. Wychodziło na taras, chodnik z desek i ocean. Widziałem pierwsze pierzaste chmury nadciągające od południowego wschodu, ale niebo wciąż było błękitne. Pamiętam, pomyślałem, że jednak w końcu zostałem wpuszczony do tego wielkiego domu, choć pewnie nigdy nie będzie mi dane policzyć wszystkich łazienek. Pamiętam, myślałem o opasce Alicji i byłem ciekaw, czy Lane ją zobaczy, kiedy będzie wprowadzał krnąbrny wagonik z powrotem pod dach. O czym jeszcze myślałem? O tym, że jednak zobaczyłem ducha. Tylko że nie był to duch człowieka.

Wróciła Annie.

– Chce z tobą porozmawiać, ale nie siedź długo.

– Dobrze.

– Trzecie drzwi na prawo.

Poszedłem w głąb korytarza, zapukałem lekko i wszedłem. Jak już wzrok oswoił się z widokiem poręczy dla niepełnosprawnych, zbiorników z tlenem w kącie i aparatów ortopedycznych stojących sztywno na baczność przy łóżku, można było pomyśleć, że jest się w pokoju typowego chłopaka. Nie było rękawicy baseballowej ani deskorolki opartej o ścianę, były za to plakaty Marka Spitzza i Larry'ego Csonki z Miami Dolphins. Na honorowym miejscu nad łóżkiem Beatlesi przechodzili przez Abbey Road.

W powietrzu wisiał słaby zapach jakiejś maści. Mike w łóżku wydawał się bardzo mały, praktycznie niewidoczny pod zieloną narzutą. Milo leżał obok niego, zwinięty w kłębek, i Mike bezwiednie go głaskał. Trudno było uwierzyć, że to ten sam dzieciak, który w apogeum Carolina Spin triumfalnie wyrzucił ręce nad głowę. Nie wyglądał jednak na smutnego. Przeciwnie, był promienny.

– Widziałeś ją, Dev? Widziałeś, jak odeszła?

Potrząsnąłem głową z uśmiechem. Tomowi zazdrościłem, Mike'owi nie. Nigdy.

– Szkoda, że nie było przy tym dziadka. On by ją zobaczył i usłyszałby to, co powiedziała na pożegnanie.

– A co powiedziała?

– „Dzięki”. To było do nas obu. I kazała ci być ostrożnym. Jesteś pewien, że jej nie słyszałeś? Nawet trochę?

Znów potrząsnąłem głową. Nie, nawet trochę.

– Ale wiesz. – Jego zbyt blada, zmęczona twarz była twarzą ciężko chorego chłopca, ale oczy miał zdrowe, pełne życia. – Ty wiesz, prawda?

– Tak. – Myślałem o opasce Alicji. – Mike, wiesz, co jej się stało?

– Ktoś ją zabił. – Powiedział to bardzo cichym głosem.

– Pewnie ci nie mówiła...

Nie musiałem kończyć. Kręcił głową.

– Powinieneś się przespać, Mike.

– Tak, po drzemce poczuję się lepiej. Jak zawsze. – Zamknął oczy i zaraz otworzył je znowu. – Najlepszy był Spin. Wciągarka. Jakbym latał.

– Tak – powiedziałem. – To takie uczucie.

– Jakbym był latawcem. – Tym razem zamknął oczy i już ich nie otworzył. Podeszedłem na paluszkach do drzwi. Kiedy położyłem dłoń na gałce, usłyszałem: – Bądź ostrożny, Dev. Nie są białe.

Obejrzałem się. Spał. Jestem tego pewien. Tylko Milo na mnie patrzył. Wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi.

## 91.♥

Annie była w kuchni.

– Robię kawę, ale może wolisz piwo?

– Może być kawa.

– Jak ci się podoba dom?

Postanowiłem powiedzieć prawdę.

– Meble są trochę za staroświeckie jak na mój gust, ale nie uczyłem się na dekoratora wnętrza.

– Ja też nie. Nawet nie skończyłam studiów.

– Witaj w klubie.

– No tak, ale ty je skończysz. Zapomnisz o dziewczynie, która cię rzuciła, wrócisz na studia, dostaniesz dyplom i otworzy się przed tobą wspaniała przyszłość.

– Skąd wiesz o...

– Dziewczynie? Po pierwsze, tak to po tobie widać, jakbyś miał wszystko wypisane na czole. Po drugie, Mike wie. Powiedział mi. To on jest moją wspaniałą przyszłością. Dawno, dawno temu miałam skończyć antropologię. Miałam zdobyć złoty medal na olimpiadzie. Miałam oglądać nieznanne, cudowne krainy i być Margaret Mead mojego pokolenia. Miałam pisać książki i robić wszystko, żeby odzyskać miłość ojca. Wiesz, kim on jest?

– Moja gospodyni mówiła, że kaznodzieją.

– Istotnie. Buddy Ross, człowiek w białym garniturze. Ma też bujne białe włosy. Wypisz wymaluj pułkownik Sanders. Megakościół; częste występy w radiu; teraz telewizja. Za kulisami jest dupkiem, który ma kilka zalet. – Nalała dwie filiżanki kawy. – Ale w sumie to samo można powiedzieć o każdym z nas, prawda? Ja tak uważam.

– Mówisz jak ktoś pełen żalu. – Nie zabrzmiało to najprzejmiej, ale nie musieliśmy się już przejmować konwenansami. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

Przyniosła kawę i usiadła naprzeciwko mnie.

– Żałuję kilku rzeczy, jak śpiewa Sinatra. Ale Mike to wspaniały dzieciak, a ojcu jedno trzeba oddać: wspiera nas finansowo, żebyśmy mogła stale być z synem. Widzę to tak, że miłość

wyrażana za pomocą książeczki czekowej jest lepsza niż brak miłości. Dziś podjęłam decyzję. Myślę, że to się stało wtedy, kiedy odstawiałeś ten komiczny taniec w tym komicznym kostiumie. Kiedy patrzyłam, jak Mike się śmieje.

– Zamieniam się w słuch.

– Postanowiłam dać ojcu to, czego chce, to znaczy pozwolić, by znów stał się ważny w życiu mojego syna, zanim będzie za późno. Mówił, że Bóg spowodował chorobę Mike'a, by pokarać mnie za moje rzekome grzechy, ale muszę zostawić to za sobą. Jeśli będę czekać na przeprosiny, nieprędko się doczekam... bo w głębi serca tata wciąż uważa, że ma rację.

– Przykro mi.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Myliłam się, nie pozwalając Mike'owi pójść do Joylandu, i myliłam się, chowając stare urazy i nalegając na jakieś popieprzone „coś za coś”. Mój syn to nie towar w faktorii. Myślisz, że w wieku trzydziestu jeden lat za późno, żeby wydorosnąć?

– Spytaj mnie, kiedy będę tyle miał.

Zaśmiała się.

– Słusznie. Przepraszam na minutkę.

Nie było jej prawie pięć. Siedziałem przy stole kuchennym i sączyłem kawę. Kiedy wróciła, trzymała sweter w prawej dłoni. Miała mocno opalony brzuch. A stanik jasnoniebieski, prawie identycznego koloru jak jej sprane dzinsy.

– Mike twardo śpi – powiedziała. – Pójdiesz ze mną na górę, Devin?



## 92.♥

Jej sypialnia była duża, ale prosta, jakby po tylu spędzonych tam miesiącach Annie jeszcze się do końca nie rozpakowała. Odwróciła się do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły z wielkim spokojem. W kącikach ust igrał cień uśmiechu, tworząc małe zagłębienia.

– „Założę się, że spisałbyś się lepiej, gdyby dać ci szansę”. Pamiętasz, jak to powiedziałam?

– Tak.

– Wygrałabym ten zakład?

Miała słodkie, wilgotne usta. Czułem smak jej oddechu.

Odsunęła się.

– To będzie tylko ten jeden jedyny raz. Musisz to zrozumieć.

Nie chciałem, ale rozumiałem.

– Pod warunkiem że to nie jest... no wiesz...

Teraz już naprawdę się uśmiechała, ba, prawie się śmiała. Widziałem jej zęby.

– Pod warunkiem że to nie seks z wdzięczności? Albo litości? Nie jest tak, wierz mi. Kiedy ostatnio miałam takiego małolata jak ty, sama byłam małolatą. – Wzięła moją prawą dłoń i położyła na jedwabistej miseczce stanika osłaniającej lewą pierś. Czułem lekkie, miarowe bicie jej serca. – Najwyraźniej jeszcze się nie wyleczyłam z kompleksu tatusia, bo czuję się rozkosznie grzeszna.

Pocałowaliśmy się znowu. Jej ręce opadły do mojego paska i rozpięły sprzączkę. Rozporek rozsunał się z cichym zgrzytem, po czym kant jej dłoni musnął twarde zgrubienie pod moimi majtkami. Wydałem stłumiony okrzyk.

– Dev, robiłeś to już kiedyś? Ani mi się waży kłamać.

– Nie.

– Co ona, idiotką była?

– Oboje byliśmy idiotami.

Uśmiechnęła się, wsunęła chłodną dłoń w moje majtki i ścisnęła. Ten pewny chwyt, w połączeniu z jej łagodnie poruszającym się kciukiem, sprawił, że wszelkie techniki zaspokojenia chłopaka stosowane przez Wendy wydały się amatorszczyzną.

– A zatem jesteś prawiczkiem.

– Przyznaję się do winy.

– To dobrze.

## 93.♥

Na jednym razie się nie skończyło, i całe szczęście, bo ten pierwszy raz trwał na oko jakieś osiem sekund. Może dziewięć. Wszedłem w nią, tyle mi się udało dokonać, ale zaraz potem trysnęło ze mnie jak z fontanny. Może raz kiedyś najadłem się większego wstydu – gdy pierdnąłem podczas przyjmowania komunii na obozie młodych metodystów – ale chyba nawet nie wtedy.

– O Boże! – Zasłoniłem oczy dłonią.

Zaśmiała się, lecz bez złośliwości.

– To mi w dziwny sposób pochlebia. Odpręż się. Pójdę na dół zerknąć na Mike’a. Wolałabym, żeby nie nakrył mnie w łóżku z Wesołym Psem Howiem.

– Bardzo śmieszne. – Gdybym zaczerwienił się jeszcze bardziej, moja skóra stanęłaby w ogniu.

– Myślę, że jak wrócę, będziesz znów gotowy. To właśnie jest fajne, kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, Dev. Gdybyś miał siedemnaście, pewnie byłbyś gotowy już teraz.

Wróciła z dwiema colami w wiaderku z lodem, ale kiedy zrzuciła z siebie szlafrok i stanęła przede mną naga, nie picie było mi w głowie. Za drugim razem poszło dużo lepiej; zdaje się, że wytrzymałem cztery minuty. Potem zaczęła cicho jęczeć i byłem zgubiony. Jakaż to piękna zguba!

## 94.♥

Przysypialiśmy, Annie z głową spoczywającą na moim ramieniu jak na poduszce.

– W porządku? – spytała.

– Tak bardzo, że wierzyć się nie chce.

Nie widziałem jej uśmiechu, ale go poczułem.

– Po wielu latach sypialnia wreszcie przydała się do czegoś poza spaniem.

– Twój ojciec w ogóle nie zagląda do tego domu?

– Nie było go od dawna, a ja zaczęłam tutaj przyjeżdżać tylko dlatego, że Mike’owi bardzo się tu podoba. Czasem mogę przyjąć do wiadomości, że prawie na pewno umrze, ale częściej nie. Po prostu tego do siebie nie dopuszczam. Zawieram ze sobą układy. „Jeśli nie zabiorę go do Joylandu, nie umrze. Jeśli nie pogodzę się z ojcem i nie pozwolę mu go odwiedzić, nie umrze. Jeśli zostaniemy tutaj, nie umrze”. Parę tygodni temu, kiedy pierwszy raz musiałam kazać mu włożyć kurtkę przed wyjściem na plażę, popłakałam się. Spytał, co się stało, a ja powiedziałam, że to ta pora miesiąca. Wie, o co chodzi.

Przypomniało mi się coś, co Mike powiedział do niej na szpitalnym parkingu: „To nie musi być ostatnia okazja do dobrej zabawy”. Ale prędzej czy później ta ostatnia okazja nadejdzie. Dla nas wszystkich.

Annie usiadła, owijając się prześcieradłem.

– Pamiętasz, jak powiedziałam, że Mike okazał się moją przyszłością? Moją błyskotliwą karierą?

– Tak.

– Na żadną inną nie mam pomysłu. Po Michaelu widzę tylko... pustkę. Kto to powiedział, że w Ameryce nie ma drugich aktów?

Wzięłam ją za rękę.

– Nie martw się o drugi akt, dopóki nie skończy się pierwszy.

Wysunęła dłoń z mojego uścisku i pogłaskała mnie po twarzy.

– Jesteś młody, ale niezupełnie głupi.

Miło, że tak powiedziała, ale w rzeczywistości czułem się głupio. Także z powodu Wendy, lecz nie tylko dlatego. Moje myśli uparcie wracały do tych cholernych zdjęć z teczki Erin. Coś na nich...

Położyła się z powrotem. Prześcieradło zsunęło się z jej sutków i poczułem, że jeszcze trochę, a znów będę gotów do czynu. Rzeczywiście, czasem miło mieć dwadzieścia jeden lat.

– Fajnie było na strzelnicy. Zapomniałam, jaka przyjemna jest koordynacja ręka–oko. Ojciec pierwszy raz dał mi broń do ręki, kiedy miałam sześć lat. Jednostrzałową dwudziestkędwójkę. Byłam zachwycona.

– Tak?

Uśmiechała się.

– Tak. To nas łączyło. Jedyne, co nas łączyło, jak się okazało. – Podniosła się na łokciu. – On wciska ludziom te brednie o potępieniu i ogniu piekielnym, odkąd był nastolatkiem, i robi to nie tylko dla pieniędzy; rodzice karmili go do przesytu Biblią w wersji dla prostaków i nie wątpię, że wierzy w każde swoje słowo. Ale wiesz co? Przede wszystkim jest człowiekiem z Południa, a dopiero potem kaznodzieją. Ma podrasowanego pikapa, który kosztował pięćdziesiąt tysięcy dolarów, lecz pikap to pikap. Ojciec wciąż jada bułeczki z tłustym sosem w Shoney's. Wyrafinowany humor to dla niego programy z Minnie Pearl i Juniorem Samplesem. Uwielbia piosenki o niewiernych kobietach i podłych knajpach. I broń. Jezus w jego wydaniu mnie nie interesuje, nie chcę mieć pikapa, ale broń... to przekazał swojemu jedynemu dziecku. Robię pif-paf i czuję się lepiej. Gówniana spuścizna, co?

Nic nie powiedziałem, tylko wstałem z łóżka i otworzyłem cole. Jedną podałem jej.

– W swoim domu w Savannah ma chyba z pięćdziesiąt sztuk broni, większość to cenne zabytki, a jeszcze kilka trzyma tu, w sejfie. Ja mam dwa karabiny u siebie w Chicago, ale dziś strzelałam po raz pierwszy od dwóch lat. Jeśli Mike umrze... – Przyłożyła butelkę coli do czoła, jakby próbowała uśmierzyć ból głowy. – Kiedy Mike umrze, od razu się ich wszystkich pozbędę. Pokusa byłaby zbyt silna.

– Mike nie chciałby...

– Oczywiście, że nie, wiem o tym, ale tu nie chodzi tylko o niego. Gdybym mogła jak mój nawiedzony ojciec uwierzyć, że kiedy umrę, Mike będzie czekał u nieba bram, żeby mnie wpuścić, to byłoby co innego. Ale nie mogę. Kiedy byłam mała, starałam się jak cholera w to wierzyć i nie dałam rady. Bóg i niebo przetrwali może cztery lata dłużej niż Wróżka Zębuszka.

Myślę, że jest tylko ciemność. Bez myśli, bez pamięci, bez miłości. Tylko ciemność. Nicość. Dlatego tak trudno mi się pogodzić z tym, co się z nim dzieje.

– Mike wie, że to coś więcej niż tylko nicość – powiedziałem.

– Co? Dlaczego? Czemu tak sądzisz?

Bo ona tam była, pomyślałem. Widział ją i widział, jak odeszła. Bo podziękowała. Wiem, bo widziałem opaskę Alicji, a Tom widział Lindę.

– Spytaj go – zaproponowałem. – Ale nie dzisiaj.

Odstawiła colę. Miała na twarzy ten nieznaczny uśmiech, od którego robiły jej się dołki w kącikach ust.

– Dostałeś dokładkę. Masz ochotę na deser?

Postawiłem colę obok łóżka.

– Szczerze mówiąc...

Wyciągnęła do mnie rękę.

95.♥

Pierwszy raz był żenujący. Drugi – niezły. Trzeci raz... kurczę, nie bez powodu mówi się, że do trzech razy sztuka.

## 96.♥

Czekałem w salonie, aż Annie się ubierze. Kiedy zeszła na dół, miała na sobie te same dzinsy i sweter co wcześniej. Pomyślałem o niebieskim staniku tuż pod tym swetrem i słowo daję, że znowu poczułem to znajome mrowienie.

– Wszystko między nami w porządku? – spytała.

– Tak, lecz chciałbym, żeby było jeszcze lepiej.

– Ja też, ale lepiej już nie będzie. Jeśli lubisz mnie tak bardzo jak ja ciebie, zaakceptujesz to. Dasz radę?

– Tak.

– To dobrze.

– Jak długo jeszcze będziecie tu z Mikiem?

– Jeśli wiatr nas dziś nie porwie?

– Nie porwie was.

– Tydzień. Od siedemnastego Mike’a czekają badania u specjalistów w Chicago i chcę wrócić wcześniej, żeby mieć czas się zaaklimatyzować. – Wzięła głęboki wdech. – I porozmawiać z jego dziadkiem o odwiedzinach. Trzeba będzie ustalić pewne podstawowe zasady. Na przykład zakaz gadania o Jezusie.

– Zobaczymy się jeszcze, zanim wyjedziesz?

– Na pewno. – Objęła mnie i pocałowała. Potem cofnęła się. – Ale nie tak. To by za bardzo wszystko zagmatwało. Wiem, że to rozumiesz.

Skinąłem głową. Rozumiałem.

– Lepiej już idź, Dev. I dziękuję. Było uroczo. Zachowaliśmy najlepszą przejażdżkę na koniec, co?

To była prawda. Zamiast przejażdżki w ciemności przejażdżka w świetle.

– Chciałbym móc zrobić coś więcej. Dla ciebie. Dla Mike’a.

– Ja też – powiedziała – ale nie taki jest świat, na którym żyjemy. Przyjdź jutro na kolację, jeśli sztorm nie będzie za silny. Mike na pewno się ucieszy.



Wyglądała pięknie, kiedy stała przede mną boso, w spranych dżinsach. Chciałem porwać ją w ramiona, wziąć na ręce i zanieść w świetlaną, beztroską przyszłość.

Zostawiłem ją tam, gdzie stała. „Nie taki jest świat, na którym żyjemy”, powiedziała i miała rację.

Całkowitą.

## 97.♥

Jakieś sto metrów dalej przy Beach Row od strony lądu stało małe skupisko sklepów i zakładów usługowych zbyt ekskluzywnych, by nazwać całość pasażem handlowym: spożywczy dla smakoszy, salon fryzjerski, apteka, agencja ubezpieczeniowa Southern Trust i restauracja Mi Casa, w której z pewnością jadała elita Beach Row. W drodze powrotnej do Heaven's Bay i pensjonatu pani Shoplaw nawet nie zerknąłem w tamtym kierunku. Niech to wystarczy za dowód, że nie mam daru Mike'a Rossa i Rozzie Gold.

## 98.♥

„Połóż się wcześniej spać”, powiedział mi Fred Dean i postąpiłem zgodnie z jego zaleceniem. Leżałem na plecach z rękami pod głową, wsłuchany w szum fal, tak jak to robiłem przez całe lato, i wspominałem dotyk jej dłoni, jędrność jej piersi, smak jej ust. Głównie myślałem o jej oczach i włosach rozsypanych w wachlarz na poduszce. Nie kochałem jej tak jak Wendy – taka miłość, tak silna i głupia, zdarza się tylko raz – ale ją kochałem. I Kocham nadal. Za jej dobroć przede wszystkim. I za jej cierpliwość. Pewnie gdzieś tam są młodzi mężczyźni, którzy mieli lepszą inicjację w misteria seksu, ale żaden nie miał słodszej.

W końcu zasnąłem.

## 99.♥

Obudził mnie stukot okiennicy gdzieś na dole. Wziąłem zegarek ze stolika nocnego i zobaczyłem, że jest za piętnaście pierwsza. Stwierdziłem, że nie zasnę, dopóki ten stukot nie ucichnie, więc ubrałem się, poszedłem do drzwi, po czym zawróciłem i wyjąłem sztormiak z szafy. Na parterze się zatrzymałem. Z wielkiej sypialni w głębi korytarza za salonem dobiegało donośne, przeciągłe chrapanie pani S. Żadna stukocząca okiennica nie zakłóci jej spoczynku.

Okazało się, że sztormiak nie był potrzebny, przynajmniej na razie, bo jeszcze nie zaczęło padać. Wiatr jednak był silny; musiał osiągnąć już jakieś dziesięć metrów na sekundę. Cichy, miarowy szum fal przeszedł w stłumiony ryk. Zacząłem się zastanawiać, czy spece od pogody aby nie zlekceważyli Gildy, po czym pomyślałem o Annie i Mike’u w domu przy plaży i poczułem lekki niepokój.

Znalazłem obluzowaną okiennicę i zamocowałem ją haczykiem. Wróciłem do środka, poszedłem na górę, rozebrałem się i położyłem. Tym razem sen nie nadchodził. Okiennica zamilkła, ale nie mogłem nic poradzić na skowyt wiatru w okapie (przy każdym porywie przechodzący w niski krzyk). Nie mogłem też wyłączyć mojego mózgu, teraz, kiedy znów pracował na pełnych obrotach.

Nie są białe, pomyślałem. To nic dla mnie nie znaczyło, ale chciało coś znaczyć. Chciało powiązać się z czymś, co widziałem w lunaparku podczas naszej dzisiejszej wizyty.

„Pada na ciebie cień, młody człowieku”. Tak powiedziała Rozzie Gold w dniu, kiedy ją poznałem. Byłem ciekaw, jak długo pracowała w Joylandzie i gdzie pracowała wcześniej. Czy była kuglarzem z kuglarzy? I jakie to miało znaczenie?

„Jedno z tych dzieci ma dar widzenia. Nie wiem które”.

Ja wiedziałem. Mike widział Lindę Gray. I uwolnił ją. Jak to mówią, pokazał jej drzwi. Sama nie potrafiła ich znaleźć. Z jakiego innego powodu by mu dziękowała?

Zamknąłem oczy i zobaczyłem Freda na strzelnicy, wyglądającego olśniewająco w swoim garniturze i magicznym cylindrze. Zobaczyłem Lane’a trzymającego w wyciągniętej ręce jedną z dwudziestekdwójek przymocowanych łańcuchem do lady.

Annie: „Ile strzałów?”.

Fred: „Dziesięć za jednym podejściem. Ile tylko szanowna pani chce. Dziś jest wasz dzień”.

Otworzyłem szeroko oczy, gdy kilka rzeczy ułożyło mi się w głowie w całość. Usiadłem prosto, wsłuchany w wiatr i wzburzone morze. Potem włączyłem górną lampę i wyjąłem teczkę Erin z szuflady biurka. Z walącym sercem znów rozłożyłem zdjęcia na podłodze. Fotki były dobre, ale światło nie. Ubrałem się znowu, schowałem wszystko z powrotem do teczki i odbyłem drugi kurs na dół.

Nad stojącym pośrodku salonu stolikiem do gry w scrabble wisiała lampa i z licznych doznanych tam klęsk zapamiętałem, że bardzo jasno świeciła. Między salonem a korytarzem prowadzącym do sypialni pani Shoplaw były rozsuwane drzwi. Zamknąłem je, żeby światło jej nie przeszkadzało. Potem zapaliłem lampę, przenieśli pudełko scrabble na telewizor i rozłożyłem zdjęcia przed sobą. Byłem zbyt ożywiony, żeby usiąść. Pochyliłem się nad stolikiem i zacząłem przesuwać zdjęcia z miejsca na miejsce. Kiedy miałem to zrobić po raz trzeci, ręka mi zamarła. Zobaczyłem to. Zobaczyłem jego. Nie był to dowód, który przekonałby sąd, co to, to nie, ale mnie wystarczał. Kolana ugięły się pode mną i jednak usiadłem.

Telefon, przez który odbyłem tyle rozmów z ojcem – sumiennie zapisując czas i długość każdej na przeznaczony do tego liście – nagle zadzwonił. Tyle że w tej wietrznej nocnej ciszy jego dźwięk zabrzmiał jak krzyk. Dосkoczyłem i czym prędzej podniosłem słuchawkę, żeby nie zadzwonił znowu.

– H... h... hal... – Tylko tyle mogłem powiedzieć. Serce za mocno mi biło, żeby być w stanie wydobyć z siebie coś więcej.

– To ty – odezwał się głos na drugim końcu linii. Wydawał się jednocześnie rozbawiony i mile zaskoczony. – Spodziewałem się twojej gospodyni. Miałem gotową historyjkę o ważnej sprawie rodzinnej.

Próbowałem się odezwać. Nie mogłem.

– Devin? – Przekornie. Wesoło. – Jesteś tam?

– Ja... chwileczkę.

Przycisnąłem słuchawkę do piersi, ciekaw (to niesamowite, jak pracuje ludzki umysł w nagłym stresie), czy na swoim końcu linii słyszał bicie mojego serca. Na moim końcu nasłuchiwałem pani Shoplaw. Usłyszałem ją, a jakże: jej nieprzerwane stłumione chrapanie.

Dobrze, że zamknąłem drzwi salonu, a jeszcze lepiej, że nie miała drugiego telefonu w swojej sypialni. Przyłożyłem słuchawkę z powrotem do ucha.

– Czego chcesz? Dlaczego dzwonisz?

– Myślę, że wiesz, Devin... a nawet gdybyś nie wiedział, teraz jest już za późno, prawda?

– Ty też jesteś jasnowidzem? – Głupie pytanie, ale w tamtej chwili mój mózg i moje usta zdawały się poruszać po oddzielnych torach.

– Od tego jest Rozzie. Nasza madame Fortuna. – O dziwo, zaśmiał się. Wydawał się wyluzowany, ale pewnie tylko udawał. Mordercy nie dzwonią do ludzi w środku nocy, jeśli są wyluzowani. Zwłaszcza gdy nie mogą być pewni, kto odbierze.

Ale on miał gotową historyjkę, pomyślałem. Facet jest jak harcerz, szalony, ale zawsze przygotowany. Choćby ten tatuaż. To on przyciąga spojrzenie, kiedy oglądasz te zdjęcia. Nie twarz. Nie baseballówka.

– Wiedziałem, co kombinujesz – powiedział. – Wiedziałem, jeszcze zanim dziewczyna przywiozła ci tę teczkę. Tę ze zdjęciami. A dzisiaj... z tą śliczną mamuszką i kalekim dzieciakiem... powiedziałaś im, Devin? Pomogli ci to rozgryźć?

– O niczym nie wiedzą.

Wiatr przybrał na sile. Słyszałem jego szum też na drugim końcu linii... jakby mój rozmówca był gdzieś na dworze.

– Ciekaw jestem, czy mogę ci wierzyć.

– Możesz. Zdecydowanie. – Patrzyłem na zdjęcia. Człowiek z tatuażem trzymający rękę na tyłku Lindy Gray. Człowiek z tatuażem pomagający jej wycelować z karabinka na strzelnicy.

Lane: „Pokaż, jaka z ciebie Annie Oakley, Annie”.

Fred: „Strzelec wyborowy!”.

Człowiek z tatuażem w rybomycy, ciemnych okularach i z rudawoblond bródką. Tatuaż ptaka na jego dłoni był widoczny, bo rękawice z niewyprawionej skóry zostały w tylnej kieszeni spodni, dopóki nie wszedł z Lindą Gray do Straszego Dworu. Dopóki nie zaprowadził jej w ciemność.

– Jedno mnie ciekawi – rzekł. – Dziś po południu długo siedziałeś w tym wielkim starym domu, Devin. Rozmawialiście o zdjęciach, które przywiozła ta Cook, czy po prostu ją rznąłeś? Może jedno i drugie. Mamuska to smakowity kąsek, trzeba przyznać.

– O niczym nie wiedzą – powtórzyłem. Mówiłem zniżonym głosem, wpatrując się w zamknięte drzwi salonu. Spodziewałem się, że lada moment się otworzą i zobaczą panią S. w koszuli nocnej, z twarzą widmowo bladą od kremu. – Ja też nie. A przynajmniej niczego nie mogę udowodnić.

– Pewnie nie, ale to byłaby tylko kwestia czasu. Nie uciszysz rozkołysanego dzwonu. Znasz to stare powiedzenie?

– Jasne, jasne. – Nie znałem, ale w tej chwili przytaknąłbym, nawet gdyby oznajmił, że Bobby Rydell (co roku występujący w Joylandzie) jest prezydentem.

– Oto co zrobisz. Przyjedziesz do Joylandu i obgadamy sprawę twarzą w twarz. Jak mężczyzna z mężczyzną.

– Dlaczego miałbym się zgodzić? To byłoby szaleństwo, jeśli jesteś tym, za kogo cię...

– Och, wiesz, że to ja. – Wydawał się zniecierpliwiony. – A ja wiem, że gdybyś poszedł na policję, ustaliliby, że zacząłem pracować w Joylandzie raptem miesiąc po śmierci Lindy Gray. Powiązalıby mnie z objazdowym show Wellmana oraz Southern Star Amusements i po ptakach.

– To może od razu do nich zadzwonię?

– Wiesz, gdzie jestem? – Gniew wkradał się do jego głosu. Nie gniew; jad. – Wiesz, gdzie w tej chwili jestem, ty wścibski gnoju?

– Pewnie w Joylandzie. W administracji.

– Wcale nie. Jestem pod centrum handlowym na Beach Row. Tym, w którym nadziane suki kupują makrobiotyki. Takie nadziane suki jak twoja dziewczyna.

Zimny palec powoli – bardzo powoli – zsunął się po moim kręgosłupie, od karku po przedziałek w tyłku. Milczałem.

– Przed apteką jest automat telefoniczny. Nie w budce, ale to nic, bo jeszcze nie pada. Tylko wieje. Tu jestem. Z miejsca, w którym stoję, widzę dom twojej dziewczyny. W kuchni pali się światło, pewnie zostawia je włączone na noc... ale reszta okien jest ciemna. Mógłbym odłożyć słuchawkę i za minutę tam być.

– Mają alarm przeciwwłamaniowy! – Nie wiedziałem, czy go mieli.

Zaśmiał się.

– Myślisz, że to mnie w tej chwili obchodzi? To nie przeszkodzi mi poderżnąć jej gardła. Ale najpierw na jej oczach zrobię to temu małemu kalece.

Nie zgwałcisz jej jednak, pomyślałem. Nie zrobiłbyś tego, nawet gdybyś miał dość czasu. Bo nie jesteś w stanie.

Prawie powiedziałem to na głos, ale się powstrzymałem. Choć byłem przerażony, wiedziałem, że prowokowanie go w tej sytuacji to fatalny pomysł.

– Byłeś dziś dla nich taki miły – odezwałem się głupio. – Kwiaty... nagrody... karuzele...

– Taaa, pierdoły dla ćwoków. Opowiedz mi o tym wagoniku, który wyskoczył z tunelu strachu. Co to miało być?

– Nie wiem.

– Myślę, że wiesz. Może sobie o tym pogadamy. W Joylandzie. Znam twojego forda, Jonesy. Mrugające lewe światło przednie, uroczy wiatraczek na antenie. Jeśli nie chcesz, żebym wpadł do tego domu i wziął się do podrzynania gardel, zaraz przyjedziesz do Joylandu.

– Ja...

– Siedź cicho, kiedy do ciebie mówię. Jak będziesz przejeżdżał koło centrum handlowego, zobaczysz mnie przy jednym z pikapów Joylandu. Odłożę słuchawkę i masz cztery minuty, żeby tu dotrzeć. Jeśli cię nie zobaczę, zarżnę kobiety i dzieciaka. Rozumiesz?

– Ja...

– Rozumiesz?!

– Tak!

– Pojadę za tobą do Joylandu. Bramą się nie przejmuj; już jest otwarta.

– Czyli zabijesz albo mnie, albo ich. Wybór należy do mnie. O to chodzi?

– Zabiję cię? – Wydawał się szczerze zaskoczony. – Nie zabiję cię, Devin. To tylko pogorszyłoby moją sytuację. Nie, zamierzam zniknąć. Nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Chcę tylko pogadać. Dowiedzieć się, jak mnie zdemaskowałeś.

– Mogę ci to powiedzieć przez telefon.

Zaśmiał się.

– I stracić szansę na to, żeby mnie pokonać i znów zostać Howiem Bohaterem? Najpierw ta mała, potem Eddie Parks i ładna mamuśka z kalekim bachorem jako emocjonujący punkt kulminacyjny. Jak mógłbyś przepuścić taką okazję? – Przystał się śmiać. – Cztery minuty.

– Ja...



Rozłączył się. Patrzyłem na błyszczące zdjęcia. Otworzyłem szufladę stolika do gry w scrabble, wyjąłem notes i drżącymi rękami wygrzebałem mechaniczny ołówek, którym Tina Ackerley zawsze zapisywała wynik. Napisałem: „Pani S. Jeśli Pani to czyta, to znaczy, że coś mi się stało. Wiem, kto zabił Lindę Gray. I pozostałe ofiary”.

Napisałem jego nazwisko drukowanymi literami.

Pobiegłem do drzwi.

## 100.♥

Rozrusznik mojego forda zacharczał i nie zaskoczył. Potem zaczął zwalniać. Przez całe lato mówiłem sobie, że muszę wymienić akumulator, i przez całe lato wołałem wydawać pieniądze na coś innego.

Głos mojego ojca: „Zalewasz go, Devin”.

Zdjąłem nogę z pedału gazu i siedziałem w ciemności. Czas zdawał się pędzić na złamanie karku. W głębi ducha chciałem pobiec z powrotem do domu i wezwać policję. Nie mogłem zadzwonić do Annie, bo nie miałem jej pieprzonego numeru, a z uwagi na jej sławnego ojca na pewno był zastrzeżony. Czy on o tym wiedział? Pewnie nie, ale miał diabelne szczęście. Sukinsyn powinien był już ze trzy–cztery razy wpaść przez swoją zuchwałość, a mu się upiekło. Bo miał diabelne szczęście.

Ona usłyszy, że się włamuje, i go zastrzeli, pomyślałem.

Tyle że broń była w sejfie, tak powiedziała. Nawet gdyby zdążyła ją wyjąć, pewnie zastałaby bydlaka z brzytwą na gardle Mike’a.

Znów przekręciłem kluczyk. Teraz, gdy nie trzymałem nogi na pedale gazu i gaźnik był pełen paliwa, ford zapalił od razu. Wyjechałem tyłem z podjazdu i skręciłem w stronę Joylandu. Okrążyły czerwony neon Spina i niebieskie neonowe fale Thunderballa rzucały poświatę na nisko pędzące chmury. Te dwie atrakcje zawsze były oświetlone w burzowe noce, po części jako punkty orientacyjne dla statków, a po części jako ostrzeżenie dla nisko lecących samolotów kierujących się na lotnisko w hrabstwie Parish.

Ulica była pusta. Kłęby piachu przelatowały nad nią przy każdym porywie wiatru; silniejsze podmuchy wstrząsały moim samochodem. Na asfalcie tworzyły się już małe wydmy. W świetle reflektorów wyglądały jak palce szkieletu.

Przejeżdżając obok centrum handlowego, zobaczyłem człowieka na środku parkingu, obok jednego z pikapów Joylandu. Na mój widok podniósł rękę i powoli, uroczyście skinął dłonią.

Następny był duży dom wiktoriański od strony plaży. Rzeczywiście, w kuchni paliło się światło. Pewnie jarzeniówka nad zlewem, pomyślałem. Przypomniałem sobie chwilę, kiedy

Annie weszła do kuchni ze swetrem w ręku. Jej opalony brzuch. Stanik prawie tego samego koloru co jej dzinsy. „Pójdiesz ze mną na górę, Devin?”

Światła rozbłysły w moim lusterku wstecznym i zbliżyły się do mnie. Zapalił długie, przez co nie widziałem samochodu za nimi, ale nie musiałem. Wiedziałem, że to pikap, tak jak wiedziałem, że on kłamał, mówiąc, że mnie nie zabije. Mój liścik rano nadal będzie na stoliku. Pani Shoplaw przeczyta go i nazwisko, które napisałem na końcu. Pytanie, ile czasu jej zajmie, żeby w to uwierzyć. On był taki czarujący, z tymi jego rymowanymi gadkami, ujmującym uśmiechem i przekrzywionym melonikiem. Wszystkie kobiety uwielbiały Lane’a Hardy’ego.

# 101.♥

Brama, zgodnie z obietnicą, była otwarta. Wjechałem na teren lunaparku i próbowałem zaparkować przed strzelnicą, teraz zamkniętą na cztery spusty. Dał krótki sygnał klaksonem i mignął światłami na znak: Jedź dalej. Przy Spinie jego reflektory mrugnęły znowu. Zgasilem silnik forda, w pełni świadom, że być może nigdy więcej go nie uruchomię. Czerwony neon wciągarki rzucał krwiste światło na deskę rozdzielczą, na moje dłonie.

Reflektory pikapa zgasły. Trzasnęły otwierane i zamykane drzwi. Usłyszałem wiatr wiejący przez konstrukcję Spina – tego wieczora był to dźwięk jak skrzek harpii. Towarzyszył mu miarowy, prawie synkopowany grzechot. Karuzela trzęsła się na swojej grubej jak pień osi.

Morderca Lindy Gray – a także DeeDee Mowbray, Clau-dine Sharp i Darlene Stammacher – podszedł do mojego samochodu i postukał w szybę lufą pistoletu. Drugą ręką przywołał mnie do siebie. Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

– Mówiłeś, że mnie nie zabijesz. – Głos miałem równie słaby jak nogi.

Lane uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem.

– Cóż... zobaczymy, jak się sprawy potoczą. No nie?

Tego wieczora melonik miał przekrzywiony na lewo i mocno nasadzony na głowę, żeby wiatr go nie zdmuchnął. Włosy, uwolnione z kucyka, w który spinał je podczas pracy, rozwiewały się wokół szyi. Wiatr przybrał na sile i Spin zaskrzypiał z niezadowoleniem. Czerwony blask rozdygotanego neonu zamigotał na twarzy Lane'a, który mówił:

– Wciągarką się nie przejmuj. Gdyby była zwartej konstrukcji, mogłaby fiknąć, a tak wiatr przelatuje między szprychami. Masz inne zmartwienia. Opowiedz mi o tym wagoniku w domu strachów. To najbardziej chcę wiedzieć. Jak to zrobiłeś? Jakimś zdalnym gadżetem? Takie rzeczy bardzo mnie interesują.

– Nie było żadnego gadżetu.

Zdawał się mnie nie słyszeć.

– I po co to właściwie było? Żeby mnie wypłoszyć? Jeśli tak, szkoda było twojego zachodu. Już byłem wypłoszony.

– Ona to zrobiła. – Nie wiedziałem, czy to prawda, ale nie miałem zamiaru wspominać o Mike’u w tej rozmowie. – Linda Gray. Nie widziałeś jej?

Uśmiech zgasł.

– To najlepsze, na co cię stać? Stara bajeczka o duchu z domu strachów? Będziesz musiał się trochę bardziej postarać.

Czyli jej nie widział, podobnie jak ja. Ale zdawał sobie sprawę, że coś tam dziwnego się dzieje. Pewnie dlatego się zaofiarował, że pójdzie po Milo. Nie chciał, żebyśmy się zbliżali do Straszego Dworu.

– Och, ona tam była. Widziałem jej opaskę na włosy. Pamiętasz, jak zajrzałem do wagonika? Leżała pod siedzeniem.

Zaatakował tak nagle, że nie zdążyłem nawet podnieść ręki. Lufa pistoletu uderzyła mnie w czoło, rozcinając skórę. Zobaczyłem gwiazdy. Potem krew zalała mi oczy i widziałem już tylko czerwień. Zatoczyłem się na poręcz pochylni prowadzącej na Spina i przytrzymałem się jej, żeby nie upaść. Otarłem twarz rękawem sztormiaka.

– Nie wiem, czemu teraz, kiedy sprawy zaszły tak daleko, próbujesz mnie straszyc historyjką w sam raz na ognisko – powiedział – i to mi się nie podoba. Wiesz o tej opasce, bo jej zdjęcie było w teczce, którą dostałeś od tej wścibskiej cipy, twojej przyjaciółeczki. – Uśmiechnął się. Nie było w tym uśmiechu nic czarującego; tylko obnażone zęby. – Nie kantuj kanciarza, młody.

– Przecież... nie widziałeś tej teczki. – Choć dzwoniło mi w głowie, bez trudu rozwiązałem tę zagadkę. – Widział ją Fred. On ci powiedział. Prawda?

– Tak. W poniedziałek. Jedliśmy razem lunch w jego gabinecie. Powiedział, że ty i ta pizda bawicie się w detektywów, chociaż nie całkiem tak to ujął. Jemu wydało się to poniekąd urocze. Mnie nie, bo widziałem, jak zdjęłeś Eddiemu Parksowi rękawice, kiedy doznał zawału. Już wtedy zorientowałem się, że bawisz się w detektywa. Ta teczka... Fred mówił, że pizda miała całe strony notatek. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim powiąże mnie z Wellmanem i Southern Star.

Przed oczami stanął mi niepokojący obraz Lane’a Har-dy’ego jadącego pociągiem do Annandale z brzytwą w kieszeni.

– Erin nic nie wie.

– Och, wyluzuj. Myślisz, że ją dopadnę? Nie bądź lebiegą, rusz głową, kolego. A przy okazji idź na krótki spacer. Tam, na górę, mistrzuniu. Ty i ja przejedziemy się na karuzeli. W przestworza, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują.

Już miałem go spytać, czy zwariował, ale teraz, gdy sprawy zaszły tak daleko, to byłoby dość głupie pytanie, nie sądzicie?

– Czego się tak szczerzysz, Jonesy?

– Bez powodu – odparłem. – Chyba nie chcesz naprawdę wjechać tam, na górę, przy takim wietrze? – Ale silnik Spina pracował. Do tej pory zagłuszał go wiatr, fale i upiorny skowyt samej karuzeli, jednak teraz, kiedy wyteżyłem słuch, usłyszałem to: miarowy warkot. Prawie mruczenie. Przyszło mi do głowy coś dość oczywistego: Lane Hardy planował strzelić sobie w łeb, jak tylko ze mną skończy. Może myślicie sobie, że powinienem był wpaść na to wcześniej, bo przecież szaleńcy często tak robią – gazety piszą o tym na okrągło. I może macie rację. Ale byłem w wielkim stresie.

– Na starej Carolinie jesteś jak u Pana Boga za piecem – rzekł. – Przejechałbym się nią, nawet gdyby wiało z siłą trzydziestu, nie piętnastu metrów na sekundę. Co najmniej tak mocno dmuchało dwa lata temu, kiedy Carla przeszła nad wybrzeżem, i Spin wytrzymał.

– Jak go uruchomisz, kiedy obaj będziemy w wagoniku?

– Wsiadaj, zobaczysz. Albo... – Uniósł pistolet. – Mogę cię rąbnąć tu i teraz. Mnie bez różnicy.

Wszedłem na pochylnię, otworzyłem drzwiczki wagonika i zacząłem wsiadać.

– Nie, nie, nie – powiedział. – Usiądziesz od zewnątrz. Lepszy widok. Na bok, hrabio. I włóż ręce do kieszeni.

Prześliznął się obok mnie z uniesionym pistoletem. Krew nadal ściekała mi do oczu i po policzkach, ale nie ośmieliłem się wyjąć ręki z kieszeni sztormiaka, żeby otrzeć twarz. Widziałem, jak biały był jego palec na cynglu. Lane usiadł po wewnętrznej stronie wagonika.

– Teraz ty.

Wsiadłem. Nie miałem innego wyboru.

– Zamknij drzwi, matole, nie jesteś w stodole.

– Prawdziwy Dr Seuss z ciebie – powiedziałem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Pochlebstwami nic nie wskórasz. Zamknij drzwi, bo ci przestrzelę kolano. Myślisz, że ktoś to usłyszy przy takim wietrze? Bo ja wątpię.

Zamknąłem drzwiczki. Kiedy znów spojrzałem na niego, w jednej dłoni trzymał pistolet, a w drugiej jakiś kwadratowy metalowy przedmiot. Sterczała z niego krótka antenka.

– Jak mówiłem, uwielbiam takie gadżety. To zwyczajny pilot do otwierania garażu, z kilkoma drobnymi przeróbkami. Wysła sygnał radiowy. Wiosną pokazałem go panu Easterbrookowi, tłumaczyłem mu, że to coś w sam raz do pracy przy konserwacji karuzeli, kiedy pod ręką nie ma żółtodzioba czy wycirusa, którzy by sterowali nią z ziemi. Zabronił mi z niego korzystać, bo komisja stanowa mogłaby się przyczepić. Strachliwy stary sukinsyn. Miałem to opatentować. Teraz już pewnie za późno. Weź to.

Wykonałem polecenie. Rzeczywiście, to był pilot do drzwi garażu. Marki Genie. Mój tata miał prawie identyczny.

– Widzisz ten guzik ze strzałką do góry?

– Tak.

– Wciśnij go.

Położyłem kciuk na guziku, ale nie nacisnąłem. Wiatr tu, na dole, był silny; o ile silniejszy był w przestworzach, gdzie ptaki szybują, a widoki czarują? „Lecimy!” – krzyknął Mike.

– Wciśnij go albo dostaniesz kulkę w kolano, Jonesy.

Wcisnąłem guzik. Silnik Spina natychmiast wszedł na niższy bieg i nasz wagonik zaczął się wznosić.

– Teraz go wyrzuć.

– Co takiego?

– Wyrzuć go albo przestrzelę ci kolano i nigdy więcej nie zatańczysz. Liczę do trzech. Raz... dw...

Wyrzuciłem jego wynalazek z wagonika. Wznosiliśmy się coraz wyżej, w wietrzną noc. Po prawej widziałem fale rozbijające się o brzeg, o wierzchołkach zwieńczonych pianą tak białą, że zdawała się fosforyzować. Na lewo był ląd – ciemny, uśpiony. Ani jedna para świateł nie sunęła po Beach Row. Wiatr przybrał na sile i zdmuchnął pozlepiane krwią włosy z mojego czoła. Wagonik się zakołysał. Lane rzucił się do przodu i do tyłu, żeby rozbujać go jeszcze

bardziej... ale pistolet, teraz wymierzony w mój bok, nawet nie drgnął. Linie czerwonego neonu przebiegały po lufie.

– Dzisiaj to nie jest karuzela dla babć, co, Jonesy?! – krzyknął.

Co do tego miał rację. Stary, stateczny Carolina Spin dzisiaj był przerażający. Kiedy dotarliśmy na szczyt, gwałtowny podmuch wstrząsnął diabelskim młynem tak mocno, że słyszałem, jak nasz wagonik grzechocze o stalowe wsporniki, na których się trzymał. Melonik Lane'a pofrunął w noc.

– Ożeż cholera! Cóż, zawsze można sobie sprawić nowy.

Jak wysiądziemy? To pytanie cisnęło mi się na usta, ale go nie zadałem. Za bardzo bałem się usłyszeć od niego, że nie wysiądziemy wcale, że jeśli sztorm nie obali Spina albo nie zerwie przewodów elektrycznych, wciąż jeszcze będziemy się kręcić, kiedy Fred przyjdzie tu rano. Dwa trupy na wciągarnie łośi. A skoro tak, moje następne posunięcie było dość oczywiste.

Lane się uśmiechał.

– Chcesz spróbować zabrać mi broń, co? Widzę to w twoich oczach. Cóż, jak to powiedział Brudny Harry... musisz sobie zadać pytanie, czy masz dzisiaj szczęście.

Zjeżdżaliśmy na dół, wagonikiem wciąż kołysało, ale już nie tak mocno. Uznałem, że nie mam dzisiaj szczęścia.

– Ile ich zabiłeś, Lane?

– Nie twój zasrany interes. I skoro mam pistolet, myślę, że to ja powinienem zadawać pytania. Od kiedy wiesz? Od dawna, mam rację? A przynajmniej od czasu, kiedy ta cipa pokazała ci zdjęcia. Wstrzymywałeś się tylko dlatego, żeby kaleka mógł mieć swój dzień w Joylandzie. Twój błąd, Jonesy. Błąd ćwoka.

– Rozgryzłem to dopiero dzisiaj.

– Bujać to my, a nie nas.

Minęliśmy pochylnię i znów zaczęliśmy się wznosić. Pomyślałem: Pewnie mnie zastrzeli, kiedy wagonik będzie na samej górze. Potem albo palnie sobie w łeb, albo wypchnie mnie, przesunie się na moje miejsce i zeskoczy na pochylnię, kiedy wagonik zjedzie na dół. Rzykując, że złamie nogę albo obojczyk. Stawiałem na scenariusz z morderstwem i samobójstwem, lecz dopiero kiedy jego ciekawość zostanie zaspokojona.

– Jak chcesz, możesz mnie nazywać głupcem – powiedziałem – ale nie kłamcą. Wpatrywałem się w te zdjęcia i coś na nich widziałem, coś znajomego, tylko aż do dzisiaj nie



mogłem się połapać, co to takiego. To była ta czapka. Na zdjęciach nosiłeś baseballówkę z rybą, nie melonik, ale kiedy byłeś z Lindą Gray na Wirujących Filiżankach, miałeś ją przekrzywioną w jedną stronę, a na strzelnicy w drugą. Obejrzałem pozostałe fotki, te, na których widać was tylko w tle, i zobaczyłem to samo. Raz w jedną, raz w drugą stronę. Robisz to bez przerwy. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– To wszystko? Zastrana przekrzywiona czapka?

– Nie.

Po raz drugi zbliżaliśmy się do szczytu, ale miałem wrażenie, że jeszcze co najmniej jeden obrót przetrwam. Chciał tego wysłuchać. Nagle zerwał się deszcz, ulewa tak silna, jakby ktoś tam w górze odkręcił prysznic. Przynajmniej zmyje mi krew z twarzy, pomyślałem. Kiedy na niego spojrzałem, zauważyłem, że nie tylko to zmywała.

– Ktoregoś dnia zobaczyłem cię bez melonika i miałem wrażenie, że w twoich włosach widać pierwsze białe kosmyki. – Prawie krzychałem, żeby było mnie słychać wśród ryku wiatru i szumu deszczu. Zaciął nam prosto w twarz. – Wczoraj widziałem, jak wycierałeś sobie kark. Myślałem, że z brudu. Ale dzisiaj, kiedy rozgryzłem tę sprawę z czapką, zacząłem myśleć o tatuażu. Erin zauważyła, że rozmywał się od potu. Glinom to pewnie umknęło.

Widziałem mój samochód i pikapa Joylandu, rosnące w oczach, gdy wagonik po raz drugi zbliżał się do najniższego punktu swojego obrotu. Za nimi coś dużego – może porwana wiatrem płachta – sunęło po Joyland Avenue.

– Nie wycierałeś brudu, tylko farbę do włosów. Ściekała tak jak ten tatuaż. Tak jak ścieka teraz. Całą szyję masz nią umazaną. Te kosmyki, które widziałem, nie były białe, tylko blond.

Otarł szyję i spojrzał na czarną plamę na swojej dłoni. Wtedy prawie się na niego rzuciłem, lecz uniósł broń i nagle zobaczyłem przed sobą czarne oko. Małe, ale straszne.

– Kiedyś były blond – uściślił. – Teraz pod tą czernią jest głównie siwizna. Miałem stresujące życie, Jonesy. – Uśmiechnął się z żalem, jakby to był jakiś smutny żart znany nam obu.

Znów się wznosiliśmy i przemknęło mi przez myśl, że ten kształt sunący po Joyland Avenue – który wziąłem za dużą płachtę – to mógł być samochód z wyłączonymi światłami. Szaleństwem było mieć nadzieję, a mimo to ją miałem.

Chłostał nas deszcz. Mój sztormiak falował. Włosy Lane'a powiewały na wietrze jak poszarpana flaga. Liczyłem, że jeszcze przez jeden obrót karuzeli powstrzymam go przed pociągnięciem za spust. Może nawet dwa? Możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Kiedy dopuściłem do siebie myśl, że zabiłeś Lindę Gray... a nie było łatwo, Lane, po tym, jak wzięłeś mnie pod swoje skrzydła i wszystkiego nauczyłeś... zobaczyłem, co kryje się pod tą czapką, ciemnymi okularami i zarostem. Zobaczyłem ciebie. Wtedy nie pracowałeś tutaj...

– Jeździłem wózkami widłowymi w magazynie we Florence. – Zmarszczył nos. – Robota dla ćwoków. Nie znośłem tego.

– Pracowałeś we Florence, poznałeś Lindę Gray we Florence, ale interesował cię głównie Joyland tu, w Karolinie Północnej, prawda? Nie wiem, czy jesteś kuglarzem z kuglarzy, lecz zawsze cię ciągnęło do lunaparków. I kiedy zaproponowałeś jej krótką wycieczkę, zgodziła się.

– Byłem jej sekretnym chłopakiem. Powiedziałem, że tak trzeba. Bo byłem starszy. – Uśmiechnął się. – Kupiła to. Jak one wszystkie. Zdziwiłbyś się, w co młode laski są w stanie uwierzyć.

Ty skurwysynu, pomyślałem. Ty chory skurwysynu.

– Zabrałeś ją do Heaven's Bay, zatrzymaliście się w motelu, a potem zabiłeś ją tu, w Joylandzie, chociaż musiałeś wiedzieć, że po lunaparku kręcą się Gwiazdeczki z aparatami fotograficznymi. To wymagało nie lada zuchwałości. A przez to jeszcze bardziej cię rajcowało, prawda? Zrobiłeś to w miejscu pełnym szaraczków...

– Ćwoków – powiedział. Najsilniejszy jak dotąd podmuch wstrząsnął Spinem, ale on zdawał się tego nie czuć. Inna sprawa, że siedział po wewnętrznej stronie karuzeli, gdzie było trochę spokojniej. – Nazywaj ich tak, jak na to zasługują. To ćwoki. Niczego nie widzą. Zupełnie jakby mieli oczy połączone z dupami zamiast mózgów. Wszystko wlatuje z jednej strony, wylatuje z drugiej.

– Ryzyko cię kręci, prawda? Dlatego wróciłeś i się tu zatrudniłeś.

– Niecały miesiąc później. Przez cały ten czas mieli mnie pod nosem. I wiesz co? Od tamtego wieczoru w Straszonym Dworze byłem... no wiesz, grzeczny. Wszystko, co złe, zostawiłem za sobą. Mogłem dalej być grzeczny. Podoba mi się tu. Ułożyłem sobie życie. Miałem swój gadżet, zamierzałem go opatentować.

– Och, myślę, że prędzej czy później zrobiłbyś to znowu. – Byliśmy z powrotem w górze. Na wietrze i deszczu. Drżałem. Moje ubranie przesiąkło na wylot; policzki Lane'a były ciemne

od farby do włosów. Ściekała strużkami po jego skórze. Tak wyglądałby jego umysł, gdyby można go było zobaczyć, pomyślałem. Jego wewnętrzne oblicze, to, które nigdy się nie uśmiecha.

– Nie. Byłem uleczony. Muszę cię załatwić, Jonesy, ale tylko dlatego, że wsadziłeś nos w nie swoje sprawy. Szkoda, bo cię lubiłem. Naprawdę.

Wydawało się, że mówił szczerze, co czyniło tę sytuację jeszcze straszniejszą.

Opadaliśmy z powrotem ku ziemi. Świat w dole był wietrzny i zalany deszczem. Nie było żadnego samochodu ze zgaszonymi światłami, tylko porwana wiatrem płachta, która na chwilę przybrała jego kształt w mojej rozpaczliwie szukającej ratunku wyobraźni. Kawaleria nie nadciągała z odsieczą. Jeśli będę na nią czekał, zginę. Musiałem poradzić sobie sam i jedyną moją szansą było wyprowadzić go z równowagi. Rozwścieczyć.

– Kręci cię ryzyko, ale nie gwałt, co? Gdyby tak było, zabierałbyś je w jakieś ustronne miejsce. Myślę, że to, co twoje sekretne dziewczyny mają między nogami, tak cię przeraża, że ci nie staje. Co robisz potem? Leżysz w łóżku i walisz konia, myśląc, jaki to jesteś odważny, bo zarzynasz bezbronne dziewczyny?

– Zamknij się.

– Możesz je fascynować, ale nie możesz ich zerznąć. – Wiatr krzyczał; wagonik się kołysał. Miałem umrzeć i w tamtej chwili mi to wisiało. Nie wiedziałem, jak bardzo go rozwścieczam, ale byłem wystarczająco wściekły za nas dwóch. – Co sprawiło, że taki się stałeś? Matka spinała ci siusiaka klamerką do bielizny, kiedy robiłeś psi-psi po kątach? Wujek Stan zmusił cię, żebyś mu obciągnął? A może...

– Zamknij się! – Zerwał się do przysiadu, jedną ręką ściskając poprzeczkę zabezpieczającą, a drugą mierząc we mnie z pistoletu. Oświetlił go błysk pioruna: wybałuszone oczy, włosy w strąkach, ruszające się usta. I pistolet. – Zamknij tę parszywą...

– DEVIN, SCHYL SIĘ!

Nie pomyślałem, tylko to zrobiłem. Rozległ się trzask jak od uderzenia bicia, dźwięk niemal kryształowo czysty pośród wietrznej nocy. Kula musiała przelecieć tuż obok mnie, ale, w odróżnieniu od bohaterów książek, ani jej nie słyszałem, ani nie czułem. Nasz wagonik dostojnie minął miejsce załadunku i zobaczyłem Annie Ross stojącą na pochylni z karabinem w rękach. Za nią był van. Wiatr rozwiewał włosy wokół jej bladej twarzy.

Znów ruszyliśmy w górę. Spojrzałem na Lane'a. Znieruchomiał w przysiadzie z rozchyłonymi ustami. Czarna farba ściekała po jego policzkach. Oczy stanęły mu w słup, widać było tylko dolne połowy tęczęwek. Większa część nosa zniknęła. Jedno nozdrze zwisało u górnej wargi, ale reszta była czerwoną miazgą otaczającą czarny otwór wielkości dziesięcio-centówki.

Usiadł ciężko. Kilka przednich zębów wyleciało mu z ust. Wyjąłem pistolet z jego dłoni i wyrzuciłem z wagonika. Co czułem w tamtej chwili? Nic. Tylko gdzieś w najgłębszej głębi ducha powoli zaczynało do mnie docierać, że może jednak nie jest mi pisane umrzeć tej nocy.

– Och – powiedział. A potem: – Ach. – Głowa opadła mu na pierś. Wyglądał jak człowiek, który zastanawia się nad swoim następnym posunięciem.

Kiedy wagonik osiągnął szczyt, uderzył następny piorun. Oświetlił mojego współpasażera mgnieniem niebieskiego ognia. Powiał wiatr i Spin zaprotestował jękiem. Znów opadaliśmy ku ziemi.

Gdzieś na dole, ledwo słyszalne pośród sztormu:

– Dev, jak to zatrzymać?

W pierwszej chwili chciałem jej powiedzieć, żeby poszukała pilota, ale w tych warunkach mogłaby szukać pół godziny i go nie znaleźć. A nawet gdyby jej się udało, mogło się okazać, że rozwalił się przy upadku albo uległ zwarceniu w kałuży. Poza tym był lepszy sposób.

– Zajrzyj do silnika! – krzyknąłem. – Znajdź czerwony guzik! CZERWONY GUZIK, ANNIE! To zatrzymywanie awaryjne!

Mijając ją, zauważyłem te same dzinsy i sweter, które wcześniej miała na sobie, teraz przemoknięte i lepiące się do jej ciała. Żadnej kurtki ani czapki. Przyjechała w pośpiechu i wiedziałem, kto ją tu przysłał. O ileż wszystko byłoby prostsze, gdyby Mike od początku skupił się na Lanie Hardym. Ale przecież nawet Rozzie niczego nie podejrzewała, mimo że знаła go od lat, a później miałem się dowiedzieć, że Lane w ogóle Mike'a nie interesował.

Znów wjeżdżałem na górę. Woda ściekała czarnym deszczem z mokrych włosów Lane'a na jego kolana.

– Zaczekaj, aż będę z powrotem na dole!

– Co?

Nie próbowałem tego powtórzyć; i tak zagłuszyłby mnie wiatr. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie wciśnie czerwonego guzika, kiedy będę na szczycie karuzeli. Wagonik wzniósł się w najgorszy sztorm i błysnął kolejny piorun, tym razem z towarzyszeniem grzmotu. Jakby ten

hałas go obudził – może tak było – Lane podniósł głowę i spojrzał na mnie. Czy raczej próbował spojrzeć: jego oczy wróciły na środek oczodołów, ale skierowane były każde w inną stronę. Ten przerażający obraz na zawsze został mi w pamięci i powraca w najdziwniejszych chwilach: kiedy jestem w punkcie poboru opłat na autostradzie, kiedy piję poranną kawę w towarzystwie prezenterów CNN ujadających złymi wiadomościami, kiedy wstaję się wyszczać o trzeciej w nocy, w porze, którą jakiś poeta słusznie nazwał Godziną Wilka.

Otworzył usta i buchnęła z nich krew. Wydał zgrzytliwy, owadzi dźwięk, jakby cykady wwiercającej się w drzewo. Wstrząsnął nim spazm. Jego nogi przez chwilę stepowały na stalowej podłodze wagonika. Znieruchomiały i głowa opadła mu z powrotem na pierś.

Umrzyj, pomyślałem. Proszę, tym razem umrzyj.

Kiedy wagonik znów ruszył w dół, piorun uderzył w Thunderballa; zobaczyłem, że tory rozświetliły się na chwilę. Pomyślałem: To mogłem być ja. Najsilniejszy jak dotąd podmuch zakotłosał wagonikiem. Trzymałem się z całej siły. Lane przewalał się z boku na bok jak wielka szmaciana lalka.

Spojrzałem w dół, na Annie, na jej białą twarz – patrzyła w górę, oczy miała zmrużone od deszczu. Stała po wewnętrznej stronie poręczy, obok silnika. Jak dotąd nieźle. Osłoniłem usta dłońmi.

– Czerwony guzik!

– Widzę go!

– Zaczekaj, aż ci powiem!

Ziemia się zbliżała. Chwyciłem się poprzeczki zabezpieczającej. Kiedy za sterami stał nieżyjący już (taką miałem nadzieję) Lane Hardy, Spin zawsze zatrzymywał się łagodnie, tak że wagoniki na górze tylko lekko się bujały. Nie wiedziałem, jak wygląda hamowanie awaryjne, ale zaraz miałem się o tym przekonać.

– Teraz, Annie! Wciśnij teraz!

Dobrze, że się trzymałem. Wagonik raptownie znieruchomiał jakieś trzy metry od miejsca rozładunku, półtora metra nad ziemią. Przechylił się. Lane poleciał do przodu, jego głowa i tors przewiesiły się przez poprzeczkę. Bez namysłu chwyciłem go za koszulę i pociągnąłem w tył. Jego dłoń opadła mi na kolana i odtrąciłem ją z okrzykiem obrzydzenia.

Poprzeczka nie chciała się odblokować, więc musiałem wysunąć się spod niej.

– Uważaj, Dev! – Annie stała obok wagonika i trzymała ręce w górze, jakby chciała mnie złapać. Karabin, którym zakończyła żywot Hardy’ego, był oparty o obudowę silnika.

– Cofnij się – powiedziałem i przełożyłem nogę przez ściankę wagonika. Niebo przecięła następna błyskawica. Zawył wiatr, Spin zaskowyczał w odpowiedzi. Chwyciłem się belki rozporowej i wybiłem się drugą nogą. Moje dłonie ześliznęły się po mokrym metalu i spadłem. Wylądowałem na kolanach. Po chwili Annie podniosła mnie na nogi.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Ale to była nieprawda. Świat rozmywał mi się przed oczami, czułem, że zaraz zemdleję. Opuściłem głowę, oparłem ręce tuż nad kolanami i zacząłem głęboko oddychać. Przez chwilę balansowałem na krawędzi przytomności, ale w końcu wszystko zaczęło nabierać wyrazistych kształtów. Wyprostowałem się, uważając, by nie robić zbyt szybkich ruchów.

W takiej ulewie trudno to było stwierdzić, ale byłem prawie pewien, że płakała.

– Musiałam to zrobić. On by cię zabił. Prawda? Proszę, Dev, powiedz, że chciał cię zabić. Tak powiedział Mike, a ja...

– Możesz przestać się tym przejmować, wierz mi. I nie byłbym jego pierwszą ofiarą. Zabił cztery kobiety. – Pomyślałem o rozważaniach Erin na temat lat, w których nie było żadnych zamordowanych dziewczyn, przynajmniej odnalezionych. – Może więcej. Prawdopodobnie więcej. Musimy wezwać policję. Tam jest telefon...

Chciałem wskazać w stronę Pałacu Luster Mysterio, ale złapała mnie za rękę.

– Nie. Nie możesz. Jeszcze nie.

– Annie...

Zbliżyła twarz do mojej twarzy, prawie na odległość pocałunku, ale nie całowanie było jej w głowie.

– Skąd się tu wzięłam? Mam zeznać policji, że w środku nocy mojego syna odwiedził duch, który mu powiedział, że zginiesz na diabelskim młynie, jeśli nie przyjadę? Nie mogę mieszać do tego Mike’a i jeśli mi powiesz, że jestem nad-opiekuńczą matką... sama cię zabiję.

– Nie – odparłem. – Tego ci nie powiem.

– To skąd się tu wzięłam?

W pierwszej chwili nie wiedziałem. Musicie pamiętać, że sam wciąż jeszcze byłem przerażony. Zresztą słowo „przerażony” nie oddaje tego, co wtedy czułem. W najmniejszym

stopniu. Byłem w szoku. Zamiast do Pałacu Mysterio zaprowadziłem ją do vana i posadziłem za kierownicą. Potem obszedłem wóz i wsiałem od strony pasażera. Wtedy już miałem pewien pomysł. Jego zaletą była prostota, więc powinien wypalić. Zamknąłem drzwi i wyjąłem portfel z bocznej kieszeni spodni. Prawie wypadł mi z ręki, kiedy go otworzyłem; trząsałem się jak osika. W środku było dużo rzeczy, na których można pisać, ale nic do pisania.

– Proszę, powiedz, że masz długopis albo ołówek, Annie.

– Może w schowku. To ty będziesz musiał zadzwonić na policję, Dev. Ja wracam do Mike’a. Jeśli mnie aresztują za oddalenie się z miejsca zbrodni czy coś... albo za morderstwo...

– Nikt cię nie aresztuje, Annie. Uratowałaś mi życie. – Mówiąc, grzebałem w schowku. Była tam instrukcja obsługi samochodu, sterty rachunków z paliwowej karty kredytowej, paczka miętówek, torebka M&M-ów, nawet ulotka świadków Jehowy zapytująca, czy wiem, gdzie pójść po śmierci, ale żadnego długopisu ani ołówka.

– Nie można zwlekać... w takiej sytuacji... tak mnie uczyli... – Co chwila musiała przerywać, bo szczękały jej zęby. – Wycelować... i pociągnąć za spust, zanim się... no wiesz... zawahasz... mierzyłam między oczy, ale... wiatr... to zdaje się przez ten wiatr...

Wyciągnęła rękę i ścisnęła moje ramię tak mocno, że zabolalo. Jej oczy były okrągłe.

– Ciebie też trafiłam, Dev? Masz rozcięte czoło i krew na koszuli!

– Nie trafiłaś mnie. Przywalił mi pistoletem, to wszystko. Annie, tu nie ma nic do pisa...

Jednak był długopis w głębi schowka. Widniał na nim wytarty, ale wciąż czytelny napis: CHODŹMY DO KROGERA! Nie powiem, że ten długopis uratował Annie i Mike’a Rossów od poważnych kłopotów z policją, lecz oszczędził im wielu pytań o to, co sprowadziło Annie do Joylandu w taką ciemną, burzową noc.

Podąłem jej długopis i wyjętą z portfela wizytówkę odwróconą rewersem do góry. Wcześniej, kiedy siedziałem w moim samochodzie i bałem się, że Annie i Mike zginą przez to, że nie wymieniłem akumulatora, myślałem o tym, żeby wrócić do domu i do niej zadzwonić... tyle że nie miałem numeru. Teraz kazałem Annie go napisać.

– A pod numerem dopisz: „Zadzwoń, jeśli plany się zmieniają”.

Kiedy to robiła, włączyłem silnik vana i ustawiłem ogrzewanie na pełną moc. Oddała mi wizytówkę. Włożyłem ją do portfela, wcisnąłem portfel z powrotem do kieszeni i wrzuciłem długopis do schowka. Wziąłem Annie w ramiona i pocałowałem jej zimny policzek. Nie przestała drżeć, ale trochę się uspokoiła.

– Uratowałeś mi życie – powiedziałem. – Teraz dopilnujmy, żebyście ty i Mike na tym nie ucierpieli. Słuchaj bardzo uważnie.

Słuchała.



## 102.♥

Sześć dni później babie lato wróciło do Heaven's Bay na ostatnie krótkie rendez-vous. To była idealna pogoda na lunch na plaży za domem Rossów, lecz nie mogliśmy tam pójść. Obstawili ją reporterzy i fotografowie. Wolno im było tak zrobić, bo w odróżnieniu od hektara ziemi wokół wielkiego zielonego domu plaża była własnością publiczną. Opowieść o tym, jak Annie jednym strzałem załatwiła Lane'a Hardy'ego (który od tej pory miał być znany po wsze czasy jako Morderca z Lunaparku), rozeszła się po całym kraju.

Nie żeby miała złą prasę. Wprost przeciwnie. Zaczęło się od CÓRKA KAZNODZIEI BUDDY'EGO ROSSA UPOLOWAŁA MORDERCĘ Z LUNAPARKU w gazecie z Wilmington. „New York Post” był bardziej zwięzły: MAMA BOHATERKA! Pomogło to, że redakcje miały w archiwach zdjęcia Annie z lat młodości, na których była nie tylko piękna, ale i oszałamiająco seksowna. „Inside View”, najpopularniejszy wówczas tabloid, wydał specjalny numer. Autorzy wyszperali gdzieś zdjęcie siedemnastoletniej Annie na zawodach strzeleckich w Camp Perry. Ubrana w obciste dzinsy, T-shirt Stowarzyszenia Strzeleckiego i kowbojki, stała z zabytkową strzelbą Purdey przełamaną przez ramię i wolną ręką pokazywała do obiektywu błękitną wstęgę zwycięzcy. Obok tej uśmiechniętej dziewczyny była policyjna fotografia zrobiona dwudziestoletniemu Lane'owi Hardy'emu, kiedy został zatrzymany w Chicago – pod jego prawdziwym nazwiskiem, Leonard Hopgood – za obnażanie się w miejscu publicznym. Te dwa zdjęcia tworzyły cudowny kontrast. Nagłówek: PIĘKNA I BESTIA.

Ja, jako pomniejszy bohater, zasłużyłem na kilka zdań w prasie Karoliny Północnej, ale tabloidy praktycznie o mnie nie wspomniały. Chyba nie byłem dość seksowny.

Mike uważał, że fajnie mieć MAMĘ BOHATERKĘ. Annie nie znosiła całego tego cyrku i nie mogła się doczekać, kiedy prasa zajmie się jakąś nową sensacją. Wystarczał jej rozgłos, jaki zdobyła w czasach, kiedy była wyrodną córką świątobliwego męża, znaną z popisów tanecznych na kontuarach spelun Greenwich Village. Dlatego nie udzielała wywiadów, a pożegnalny piknik urządziliśmy w kuchni. Tak naprawdę było nas pięcioro, bo pod stołem siedział Milo, liczący na ochłapy, a jedno z krzeseł zajął Jezus – ten na latawcu Mike'a.

W korytarzu stały ich bagaże. Po lunchu miałem zawieźć Annie i Mike'a na lotnisko w Wilmington. Prywatny odrzutowiec podstawiony przez Buddy Ross Ministries, Inc. zabierze ich z powrotem do Chicago i tak oto nasze drogi się rozejdą. Policja z Heaven's Bay (nie wspominając o policji stanowej i może nawet FBI) niewątpliwie będzie jeszcze miała do niej pytania i Annie kiedyś zapewne wróci w te strony, żeby złożyć zeznania przed wielką ławą przysięgłych, ale nic jej nie będzie grozić. Była MAMĄ BOHATERKĄ i dzięki temu długopisowi reklamującemu sieć sklepów Kroger, który leżał w głębi schowka w wanie, „Post” nigdy nie opublikuje zdjęcia Mike'a pod nagłówkiem MEDIUM WYBAWCA!

Nasza wersja wydarzeń była prosta i Mike nie grał w niej żadnej roli. Zainteresowałem się morderstwem Lindy Gray z powodu legendy, że jej duch straszy w Joylandzie. Do pomocy zwerbowałem moją dociekliwą przyjaciółkę i koleżankę z pracy wakacyjnej, Erin Cook. Zabójca widoczny na zdjęciach z Lindą Gray kogoś mi przypominał, ale dopiero po wizycie Mike'a w lunaparku skojarzyłem, o kogo chodzi. Zanim mogłem to zgłosić policji, zadzwonił do mnie Lane Hardy i zagroził, że zabije Annie i Mike'a, jeśli natychmiast nie przyjadę do Joylandu. Tyle prawdy i tylko jedno małe kłamstewko: miałem numer telefonu Annie, żeby móc do niej zadzwonić, w razie gdyby plany wizyty Mike'a w lunaparku uległy zmianie (pokażałem wizytówkę detektywowi prowadzącemu śledztwo; ledwo na nią zerknął). Powiedziałem, że zadzwoniłem do Annie od pani Shoplaw, zanim pojechałem do Joylandu, kazałem jej pozamykać drzwi, wezwać policję i siedzieć w domu. Pozamykała drzwi, ale nie została w domu. Nie wezwała też policji. Bała się, że jeśli Hardy zobaczy migające niebieskie koguty radiowozów, zabije mnie. Dlatego wzięła z sejfów karabin i pojechała za Hardym ze zgaszonymi światłami, w nadziei że go zaskoczy. Co też uczyniła. I dlatego została MAMĄ BOHATERKĄ.

– Jak twój ojciec znosi to wszystko, Dev? – spytała Annie.

– Poza tym, że mówi, że jeśli tylko zechcesz, przyjedzie do Chicago i do końca życia będzie ci mył samochody? – Zaśmiała się, ale mój ojciec naprawdę tak powiedział. – Przyjął to ze spokojem. Za miesiąc wracam do New Hampshire. Spędzimy razem Święto Dziękczynienia. Fred poprosił mnie, żebym do tego czasu został i pomógł mu zapiąć wszystko na ostatni guzik przed zimą. Zgodziłem się. Nadal potrzebuję pieniędzy.

– Na studia?

– Uhm. Chyba wrócę na drugi semestr. Tata ma mi przysłać formularz podania.

– To dobrze. Powinieneś się uczyć, nie malować karuzele i wymieniać żarówki w parku rozrywki.

– Odwiedzisz nas w Chicago, jak obiecałeś, prawda? – spytał Mike. – Zanim będę zbyt chory?

Annie poruszyła się niespokojnie, lecz milczała.

– Muszę – powiedziałem i wskazałem latawiec. – Jak inaczej to oddam? Mówiłeś, że mi go tylko pożyczasz.

– Może poznasz mojego dziadka. Wprawdzie ma fioła na punkcie Jezusa, ale jest w porządku. – Spojrzał na matkę z ukosa. – Przynajmniej ja tak uważam. Ma w piwnicy świetną kolejkę elektryczną.

– Twój dziadek może nie chce się ze mną widzieć, Mike – stwierdziłem. – Prawie narobiłem twojej mamie masę kłopotów.

– Wie, że nie chciałeś. Nie twoja wina, że pracowałeś z tym facetem. – Mike się nachmurzył. Odłożył kanapkę, podniósł serwetkę do ust i zakaszał. – Pan Hardy wydawał się naprawdę miły. Woził nas na karuzelach.

Wiele dziewczyn też uważało, że jest naprawdę miły, pomyślałem.

– Nie miałeś... przecucia co do niego?

Mike pokręcił głową i jeszcze trochę pokasłał.

– Nie. Lubiłem go. I wydawało mi się, że on lubił mnie.

Przypomniałem sobie Lane'a na Carolina Spin, tę chwilę, kiedy nazwał Mike'a kalekim bachorem.

Annie położyła dłoń na cienkiej jak różdżka szyi Mike'a.

– Niektórzy ukrywają swoje prawdziwe oblicza, kochanie – powiedziała. – Czasem można poznać, że noszą maski, ale nie zawsze. Nawet ludzie o silnej intuicji mogą dać się nabrać.

Przyszedłem do nich zjeść lunch, zabrać ich na lotnisko i pożegnać się, lecz moja wizyta miała jeszcze jeden powód.

– Chcę cię o coś spytać, Mike. Chodzi o tego ducha, który obudził cię i powiedział, że jestem w Joylandzie i grozi mi niebezpieczeństwo. Mogę? To nie jest zbyt drażliwy temat?

– Nie, ale to nie wyglądało tak jak w telewizji. Nie było prześwitującej białej istoty, która latała po pokoju i robiła „huu-huu”. Po prostu obudziłem się... i duch był. Siedział na moim łóżku jak człowiek z krwi i kości.

– Wolałabym, żebyście o tym nie mówili – wtrąciła się Annie. – Dla niego może to nie jest drażliwy temat, ale dla mnie tak.

– Jeszcze tylko jedno pytanie i koniec.

– Dobrze. – Zaczęła sprzątać ze stołu.

We wtorek zabraliśmy Mike'a do Joylandu. Niedługo po północy w środę Annie postrzeliła Lane'a Hardy'ego na Carolina Spin, kończąc jego życie i ratując moje. Cały następny dzień upłynął na składaniu zeznań i unikaniu reporterów. Potem, w czwartek rano, przyszedł do mnie Fred Dean i jego wizyta nie miała związku ze śmiercią Lane'a Hardy'ego.

A może jednak miała.

– Chcę wiedzieć, Mike, czy to była dziewczyna ze Straszego Dworu. To ona przyszła i usiadła na twoim łóżku?

Mike otworzył oczy szeroko.

– Nie, no coś ty! Ona odeszła. Myślę, że jak odchodzą, to już nie wracają. To był facet.

## 103.♥

W 1991 roku, wkrótce po swoich sześćdziesiątych trzecich urodzinach, mój ojciec przeszedł dość poważny atak serca. Przeleżał tydzień w szpitalu w Portsmouth, po czym został odesłany do domu z kategorycznym nakazem zdrowego odżywiania się, zrzucenia dziesięciu kilogramów i rezygnacji z wieczornego cygara. Był jednym z tych rzadko spotykanych ludzi, którzy przestrzegają zaleceń lekarzy; w chwili, kiedy piszę te słowa, ma osiemdziesiąt pięć lat i pomijając chore biodro oraz słabnący wzrok, wciąż jest w niezłej formie.

W 1973 roku było inaczej. Według mojego nowego asystenta od zbierania informacji (Google Chrome) przeciętny pobyt w szpitalu trwał wówczas dwa tygodnie – pierwszy spędzony na intensywnej terapii, drugi na oddziale rehabilitacji kardiologicznej. Eddiemu Parksowi musiało się poprawić na OIOM-ie, bo w ten wtorek, kiedy Mike zwiedzał Joyland, postanowiono przenieść go piętro niżej. Wtedy doznał drugiego zawału. Umarł w windzie.

## 104.♥

– Co ci powiedział? – spytałem Mike’a.

– Żebym obudził mamę i kazał jej natychmiast pojechać do lunaparku, bo inaczej zabije cię zły człowiek.

Czy otrzymał to ostrzeżenie w czasie, kiedy jeszcze rozmawiałem z Hardym przez telefon w salonie pani Shoplaw? Na pewno niedużo później, bo wtedy Annie nie zdążyłaby na czas. Spytałem o to, ale Mike nie wiedział. Gdy tylko duch odszedł – takiego słowa użył Mike; nie zniknął, nie wyszedł drzwiami ani nie wyfrunął przez okno, po prostu odszedł – on wcisnął kciukiem guzik interkomu obok łóżka. Kiedy Annie odebrała, zaczął krzyczeć.

– Wystarczy – stwierdziła Annie tonem nieznoszącym sprzeciwu. Stała przy zlewie z rękami na biodrach.

– Ja nie mam nic przeciwko. – Khe-khe. – Naprawdę. – Khe-khe-khe.

– Twoja mama ma rację – powiedziałem. – Wystarczy.

Czy Eddie ukazał się Mike’owi, bo ocalałem temu opryskliwemu staremu pierdzielowi życie? Trudno zgłębić motywy tych z Tamtego Świata (określenie Rozzie, duże litery zawsze zasugerowane uniesieniem dłoni), ale wątpię. Bądź co bądź, załatwiłem mu jedynie tygodniowe odroczenie wyroku, a on nie spędził tych ostatnich kilku dni na Karaibach w otoczeniu rozneglizowanych piękności. Ale...

Odwiedziłem go, a na to nie zdobył się nikt oprócz być może Freda Deana. Przyniosłem mu nawet zdjęcie jego byłej żony. Jasne, nazwał ją żołą pierdoloną, która tylko mu dupę obrabiać umiała, i może na to zasłużyła, ale przynajmniej się postarałem. Koniec końców, on też. Wszystko jedno z jakiego powodu.

W drodze na lotnisko Mike wychylił się do przodu z tylnego siedzenia i powiedział:

– Wiesz, co było dziwne, Dev? Ani razu nie nazwał cię po imieniu. Mówił o tobie „młody”. Pewnie uznał, że będę wiedział, o kogo chodzi.

Też tak sądziłem.

Pieprzony Eddie Parks.

## 105.♥

To wszystko wydarzyło się dawno, dawno temu, w magicznym roku, kiedy ropa kosztowała jedenaście dolarów za baryłkę. To był rok, kiedy złamano mi serce. Rok, kiedy straciłem dziewictwo. Rok, kiedy uratowałem grzeczną dziewczynkę od uduszenia i dość wrednego starucha od śmierci na zawał serca (przynajmniej ten pierwszy). Rok, kiedy omal nie zginąłem z ręki szaleńca na diabelskim młynie. Rok, kiedy chciałem zobaczyć ducha i go nie zobaczyłem... choć, jak sądzę, przynajmniej jeden z nich zobaczył mnie. Był to też rok, w którym nauczyłem się mówić tajemnym językiem i tańczyć Hokey Pokey w przebraniu psa. Rok, w którym odkryłem, że może zdarzyć się coś gorszego niż utrata dziewczyny.

To był rok, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat i wciąż byłem żółtodziobem.

Od tamtej pory wiedzie mi się całkiem nieźle, nie przeczę, ale czasem mimo to nienawidzę świata. W chwili, kiedy piszę te słowa, Dick Cheney, ten apologeta waterboardingu, zbyt długo pełniący funkcję naczelnego kaznodziei Kościoła Celu Uświęcającego Środki, dostał nowe serce – i co wy na to? On żyje nadal; inni ludzie umarli. Utalentowani jak Clarence Clemons. Mądrzy jak Steve Jobs. Przyzwoici jak mój stary druh Tom Kennedy. Zwykle człowiek po prostu się z tym oswaja. Właściwie nie ma innego wyjścia. Jak zauważył W.H. Auden, kostucha zabiera tych, co w pieniądzech się pławią, tych, co do rozpuku bawią, i przez naturę wyposażonych dorodnie. Ale nie od nich Auden zaczyna swoją listę. Na pierwszym miejscu wymienia niewinnych młodych.

Wróćmy więc do Mike'a.

## 106.♥

Kiedy wiosną wróciłem na studia, wynająłem obskurne mieszkanie poza kampusem. Pewnego chłodnego wieczoru pod koniec marca, gdy pichciłem coś dla siebie i dziewczyny, w której zabijałem się prawie do szaleństwa, zadzwonił telefon. Odebrałem jak zwykle z żartobliwym tekstem:

- Wormwood Arms, Devin Jones, właściciel.
- Devin? Tu Annie Ross.
- Annie! O rany! Czekaj chwilę, tylko przyciszę radio.

Jennifer – dziewczyna, w której zabijałem się prawie do szaleństwa – spojrzała na mnie pytająco. Puściłem do niej oko, uśmiechnąłem się i znowu podniosłem słuchawkę.

– Przyjadę dwa dni po początku ferii wiosennych, możesz mu to obiecać. Kupię bilet w przyszłym ty...

- Dev, przestań. Przestań!

Usłyszałem głuchy smutek w jej głosie i cała moja radość z telefonu od niej przerodziła się w lęk. Przycisnąłem czoło do ściany i zamknąłem oczy. Tak naprawdę chciałem zamknąć ucho, przy którym trzymałem słuchawkę.

– Mike umarł wczoraj wieczorem, Dev. On... – Głos jej się załamał, po czym znów stał się pewny. – Przedwczoraj dostał wysokiej gorączki i lekarz kazał zabrać go do szpitala. Na wszelki wypadek, powiedział. Wczoraj jakby mu się polepszyło. Mniej kaszlał. Siedział w łóżku i oglądał telewizję. Mówił o jakimś ważnym turnieju koszykarskim. Potem... w nocy... – Urwała. Słyszałem jej chrapliwy oddech, gdy usiłowała wziąć się w garść. Ja nie dałem rady; łzy już płynęły. Były ciepłe, gorące.

– To stało się bardzo nagle – powiedziała. Potem, tak cicho, że ledwo dosłyszałem: – Serce mi pęka.

Poczułem dłoń na moim ramieniu. Jennifer. Nakryłem ją swoją dłonią. Byłem ciekaw, czy w Chicago jest ktoś, kto położyłby dłoń na ramieniu Annie.

- Jest z tobą ojciec?
- Pojechał na kruczatę. Do Phoenix. Wraca jutro.



– A bracia?

– Jest George. Phil ma przylecieć ostatnim samolotem z Miami. George i ja jesteśmy w... miejscu, gdzie mają... nie mogę na to patrzeć. Mimo że tego chciał. – Teraz już głośno płakała. Nie miałem pojęcia, o czym ona mówi.

– Annie, co mogę zrobić? Zrobię wszystko, co zechcesz.

Powiedziała mi.

## 107.♥

Zakończmy w słoneczny dzień kwietnia 1974 roku. Zakończmy na tym krótkim odcinku plaży w Karolinie Północnej, leżącym między miasteczkiem o nazwie Heaven's Bay a Joylandem, parkiem rozrywki, który zamknie swoje podwoje dwa lata później; potężniejsi konkurenci w końcu doprowadzili go do bankructwa mimo wysiłków Freda Deana i Brendy Rafferty. Zakończmy obrazem ładnej kobiety w spranych dżinsach i młodego mężczyzny w bluzie Uniwersytetu New Hampshire. Młodzieniec trzyma coś w ręku. Na końcu chodnika z desek, z pyskiem na łapie, leży Jack Russell terrier, którego dawny wigor ulotnił się bez śladu. Na stole piknikowym, na którym kobieta kiedyś stawiała koktajle owocowe, stoi ceramiczna urna. Wygląda trochę jak wazon bez bukietu. Kończymy nie całkiem tam, gdzie zaczęliśmy, ale prawie.

Prawie.

## 108.♥

– Znów pokłóciłam się z ojcem – powiedziała Annie – i teraz już nie ma wnuka, który trzymałby nas razem. Kiedy wrócił z tej swojej cholерnej kruczaty i dowiedział się, że skremowałam Mike’a, wściekł się. – Uśmiechnęła się blado. – Gdyby nie został na to ostatnie cholerne spotkanie modlitewne, może by mi to wyperswadował.

– Przecież tego chciał Mike.

– Dziwna prośba z ust dziecka, nie sądzisz? Ale tak, wyrażał się bardzo jasno. I oboje wiemy dlaczego.

Tak. Wiedzieliśmy. Ostatnia okazja do dobrej zabawy musi kiedyś nadejść i gdy widzisz nadciągającą ciemność, trzymasz się tego, co jasne i dobre. Trzymasz się ile sił.

– Prosiłaś w ogóle tatę...?

– Żeby przyjechał? O dziwo, tak. Tego chciałby Mike. Tata stwierdził, że nie będzie uczestniczyć w, jak to określił, „pogańskim obrzędzie”. I bardzo dobrze. – Wzięła mnie za rękę.

– To jest coś tylko dla nas, Dev. Bo byliśmy tu, kiedy on był szczęśliwy.

Podniosłem jej dłoń do ust, pocałowałem, lekko ścisnąłem i puściłem.

– Wiesz, on uratował mi życie w takim samym stopniu jak ty. Gdyby cię nie obudził... gdyby się choć zawahał...

– Wiem.

– Bez Mike’a Eddie nie mógłby nic dla mnie zrobić. Ja nie widzę ani nie słyszę duchów. Mike był medium.

– To takie trudne – powiedziała. – Tak trudno dać mu odejść. Nawet tej resztki, która została.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Tak. Dopóki mogę.

Wzięła urnę ze stołu piknikowego. Milo podniósł wzrok na ten ceramiczny pojemnik, po czym opuścił łeb z powrotem na łapę. Nie wiem, czy rozumiał, że w środku są szczątki Mike’a, ale wiedział, że Mike odszedł; wiedział to doskonale.

Podsunałem jej latawiec z Jezusem odwrócony spodem do góry. Tam, zgodnie z instrukcją Mike'a, wcześniej przykleiłem taśmą kieszonkę, dość dużą, by zmieściło się w niej może pół filiżanki drobnego szarego popiołu. Otworzyłem ją, a Annie przechyliła urnę. Napelniwszy kieszonkę, postawiła urnę na piasku między swoimi nogami i wyciągnęła ręce. Podałem jej szpulkę i odwróciłem się w stronę Joylandu i górującego nad horyzontem Carolina Spin.

„Lecimy!”, powiedział tamtego dnia, wznosząc ręce nad głowę. Żadne aparaty ortopedyczne nie trzymały go na ziemi ani wtedy, ani teraz. Myślę, że Mike był dużo mądrzejszy od jego zapatrzonego w Chrystusa dziadka. Może mądrzejszy od nas wszystkich. Które niepełnosprawne dziecko nie chciało choć raz w życiu wznieść się w przestworza?

Spojrzałem na Annie. Skinęła głową na znak, że jest gotowa. Podniosłem latawiec i puściłem go. Natychmiast wzbił się w niebo porwany rześką, chłodną bryzą od oceanu.

– Zrób to – powiedziała i wyciągnęła do mnie ręce. – To twoja rola, Dev. On tak powiedział.

Wziąłem od niej szpulkę i latawiec ciągnął mnie do siebie, gdy, teraz już żywy, szybował nad nami, kołysząc się na tle błękitu. Annie schyliła się po urnę i zeszła z nią po piaszczystej pochyłości. Pewnie wysypała jej zawartość na brzegu oceanu, ale ja nie odrywałem wzroku od latawca i kiedy zobaczyłem snującą się za nim cienką szarą smugę popiołu, który bryza poniosła w niebiosa, puściłem sznurek. Patrzyłem, jak uwolniony z uwięzi latawiec wzlatuje wyżej i wyżej. Mike na pewno chciałby zobaczyć, jak wysoko się wzbije, zanim zniknie.

Ja też chciałem to zobaczyć.

*24 sierpnia 2012*

# OD AUTORA

Puryści żargonu kuglarskiego (a tacy na pewno istnieją) niechybnie już zasiadają do pisania listów informujących mnie z mniejszym czy większym oburzeniem, że duża część tego, co nazwałem gadką, nie istnieje; że klientów nigdy nie nazywano szaraczkami, na przykład, a ładne dziewczyny nigdy nie były określane jako dzióbki. Tacy puryści mają rację, ale mogą sobie te listy i e-maile darować. Ludzie, nie bez powodu mówi się na to „fikcja”.

A poza tym większość użytych w tej książce terminów to rzeczywiście żargon kuglarski, język zarówno bogaty, jak i dowcipny. Diabelski młyn znany był jako *chump-hoister* albo *simp-hoister* (wciągarka jeleni albo łosi); na karuzele dla dzieci mówiło się *zamp rides*; wyjazd w pośpiechu rzeczywiście określało się jako *burning the lot* (palenie interesu). To tylko kilka przykładów. Ich znajomość zawdzięczam *The Dictionary of Carny, Circus, Sideshow & Vaudeville Lingo* Wayne’a N. Keysera. Słownik ten jest dostępny w Internecie. Możecie tam zajrzeć i poznać tysiące innych terminów. Możecie też zamówić książkę tego samego autora pod tytułem *On the Midway*.

Charles Ar dai redagował tę powieść. Dzięki, stary.

Stephen King